

Jules Verne

STRASZNY WYNAŁAZCA

Powieść fantastyczna z ilustracjami

42 ilustracje L. Benetta

Nakład Księgarni św. Wojciecha

Poznań – Warszawa – Wilno 1922

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I.....	3
Healthful-House.	3
ROZDZIAŁ II.....	8
Hrabia d' Artigas.	8
ROZDZIAŁ III.....	14
Podwójne porwanie.....	14
ROZDZIAŁ IV.....	20
Statek Ebba.	20
ROZDZIAŁ V.....	27
Gdzie jestem? (Dziennik inżyniera Simona Hart.).....	27
ROZDZIAŁ VI.....	33
Na pokładzie.....	33
ROZDZIAŁ VII.....	38
Dwa dni żeglugi.....	38
ROZDZIAŁ VIII.....	44
Back-Cup.	44
ROZDZIAŁ IX.....	50
Wewnątrz.	50
ROZDZIAŁ X.....	55
Ker Karraje.....	55
ROZDZIAŁ XI.....	61
Pięć dalszych tygodni.	61
ROZDZIAŁ XII.....	66
Rady inżyniera Serkō.....	66
ROZDZIAŁ XIII.....	72
Na los szczęścia.	72
ROZDZIAŁ XIV.....	76
Sword w walce z łodzią podwodną.....	76
ROZDZIAŁ XV.....	83
Oczekiwanie.....	83
ROZDZIAŁ XVI.....	89

Jeszcze kilka godzin.....	89
ROZDZIAŁ XVII	94
Jeden przeciwko pięciu.	94
ROZDZIAŁ XVIII.....	98
Na pokładzie statku Tonnant.	98

ROZDZIAŁ I

Healthful-House.

Piętnastego czerwca 189... dyrektorowi zakładu Healthful-House wręczono bilet wizytowy, na którym widniał prosty napis bez herbu i korony:

Hrabia d'Artigas.

Pod nazwiskiem w rogu biletu skreślono ołówkiem następujący adres: „Na statku Ebba, w porcie New Berne, Pamplico-Sound”.

Stolicą Północnej Karoliny, jednym z ówczesnych czterdziestu czterech Stanów Zjednoczonych, jest dość znaczne miasto Raleigh położone o jakie sto pięćdziesiąt mil od wybrzeża. Dzięki swemu dość środkowemu położeniu gród ten stał się siedzibą sądownictwa, pomimo że inne miasta, jak Wilmington, Charlotte, Fayette-ville, Edengton, Washington, Salisbury, Tarboro, Halifax, New Berne nie ustępują mu, a nawet przewyższają je pod względem rozwoju przemysłu i handlu. Wymienione New Berne wznosi się nad ujściem Neuze-river, która wpada do Pamplico-Sound, rodzaju obszernego morskiego jeziora, utworzonego przez naturalną tamę z wysp i wysepek wybrzeża karolińskiego.

Dyrektor Healthful-House'u nie byłby się nigdy domyślił znaczenia tego biletu, gdyby nie dołączona doń kartka, w której hrabia d'Artigas prosi go o pozwolenie zwiedzenia zakładu. Nie wątpiąc zaś, że dyrektor przychyli się do jego prośby, hrabia oznajmiał, iż zjawi się po południu z kapitanem Spade, komendantem statku Ebba.

Chęć zwiedzenia domu zdrowia, tak wówczas słynnego i tak poszukiwanego przez bogatych chorych Stanów Zjednoczonych, nie mogła wydawać się osobliwą ze strony tego cudzoziemca. Wszak niejedyn go zwiedzał i nie o tak wybitnym nazwisku jak hrabia d'Artigas, a nikt nie szczędził pochwał dyrektorowi Healthful-House'u. Nic więc dziwnego że dyrektor odpowiedział przychylnie, dodając, że będzie dla niego zaszczytem móc otworzyć podwoje swego zakładu przed hrabią d'Artigas. Healthful-House, wzorowo postawiony pod względem usługi i doboru pierwszorzędných sił lekarskich, był instytucją prywatną. A ponieważ podlegał równocześnie kontroli państwa, przeto łączył wszelkie warunki komfortu z gwarancją zdrowotności, jedne i druga wymagane przez bogatych pacjentów.

Miejsce, w którym ten dom był położony, wybrane było wyjątkowo szczęśliwie. Za pagórkami ciągnął się park, obejmujący dwieście akrów, pełen najrzadszych roślin, w które obfituje Ameryka Północna na szerokości geograficznej grupy wysp Kanaryjskich i Madery. Za dolną granicą park, znajdowało się ujście rzeki Neuze, stale odświeżane przez powiewy z jeziora Pamplico-Sound i wiatry morskie, przedostające się z oceanu ponad wątlą tamę wybrzeża.

Healthful-House, gdzie bogaci chorzy pielęgnowani byli w doskonałych warunkach higienicznych, było głównie przeznaczone dla pacjentów, dotkniętych chorobami chronicznymi; zarząd jednak nie odmawiał przyjmowania chorych umysłowo, o ile nie byli nieuleczalni.

Otóż właśnie w chwili gdy rozpoczynamy nasze opowiadanie, pewna bardzo rozgłośna osobistość przebywała w nim od osmnastu miesięcy pod ścisłą obserwacją.

Osobistością tą był niejaki Tomasz Roch, Francuz, lat czterdziestu pięciu. Nie ulegało to żadnej wątpliwości, że był umysłowo chory. Wszelako dotychczas psychiatrzy nie zauważyli

ostatecznego zaniku władz umysłowych. Pomimo że w najprostszych stosunkach życiowych zdradzał pewien brak zdrowego poglądu na rzeczy, niemniej jednak umysł jego ukazywał się w całej pełni żywotności, o ile w grę wchodził jego genjusz, któż zaś nie wie, że często genjusz i obłąd z sobą graniczą! Co prawda jego władze wzruszeniowe były głęboko naruszone. Brak w nich było równo wagi i ciągłości. Nic nie pamiętał, nie mógł skupić uwagi, nie zdawał sobie sprawy z niczego, i żadnego sądu wydać nie mógł. Słowem, ów Tomasz Roch był istotą pozbawioną zdrowego rozsądku, niezdolną do wystarczania sobie, a nawet pozbawioną tego przyrodzonego instynktu, którym obdarzone są zwierzęta, czyli instynktu zachowawczego; nie pozostawało więc nic innego, nad zajęcie się nim jak dzieckiem, którego z oczu spuścić nie można. To też dozorca pilnował go dniem i nocą w pawilonie 17, umieszczonym w dolnej części parku.

Na zwykły obłąd, o ile nie jest nieuleczalny, wpłynąć można tylko oddziaływaniem psychicznym. Medycyna i terapia są bezsilne, co już dawno stwierdzili specjaliści. Ale czy oddziaływanie psychiczne dałoby się zastosować do Tomasza Roch? Zważyć było można o tem nawet w tym spokojnym, zdrowotnym Healthful-House. Objawy niepokoju, zmienności usposobienia, drażliwości, dziwactwa, wstręt do wszelkiego poważniejszego zajęcia lub przyjemności nie zmniejszały się wcale. Lekarze przestali się łudzić, gdyż żadne środki lecznicze nie skutkowały.

Słusznie zauważono, że obłąd jest wpływem nadmiaru indywidualności, to jest stanem, w którym dusza pochłonięta pracą wewnętrzną, poddaje się zbyt mało wrażeniom zewnętrznym. U Tomasza Roch obojętność ta stała się prawie zupełna. Żył tylko życiem wewnętrznym trapiiony jakąś myślą nieodstępną, która doprowadziła go do obecnego stanu. Trudno było przypuszczać, ażeby wstrząśnienie silne lub jaka inna okoliczność zdolne były go wyprowadzić z tego odretwienia, nie było to jednak wykluczone.

Ale przede wszystkim musimy wyjaśnić, w jakich okolicznościach ten Francuz opuścił ojczyznę i udał się do Stanów Zjednoczonych i dlaczego rząd amerykański uważał za wskazane, a nawet konieczne, zamknąć go w domu zdrowia, gdzie najskrupulatniej zapisywać miano to, co nieświadomie wypowiadał podczas nawiedzających go ataków.

Przed ośmnastu miesiącami Tomasz Roch zwrócił się do ministra marynarki w Waszyngtonie z podaniem o uzyskanie posłuchania w sprawie pewnego wynalazku.

Po przeczytaniu nazwiska podawcy minister wiedział już, o jaki chodzi wynalazek i jakie stąd wynikną żądania, nie zawahał się jednakże natychmiast odpowiedzieć przychylnie prośbie jego.

Istotnie, rozgłos Tomasza Roch był tak wielki, iż minister, dbając o interesy swego państwa, nie mógł mu odmówić posłuchania i zlekceważyć sprawy, którą wynalazca przedstawić chciał osobiście.

Tomasz Roch bowiem był wynalazcą, genialnym wynalazcą. Niejeden ważny wynalazek rzucił światło na tę osobistość, samą przez się dość wybitną. Dzięki niemu pewne zagadnienia z dziedziny ściśle teoretycznej znalazły praktyczne zastosowanie. Nauka zawdzięczała mu wiele, nic więc dziwnego, że zajmował niepoślednie stanowisko w świecie naukowym. A jednak nie oszczędziło mu to zawodów, przykrości, rozczarowań, a nawet zniewag od dowcipniśców prasowych, które doprowadziły go wkońcu do obłądu i przymusowego pobytu w Healthful-House.

Ostatni jego wynalazek z dziedziny techniki wojennej nosił nazwę fulguratora Roch. Przyrząd ten według zapewnień wynalazcy miał tak znacznie przewyższać wszelkie inne znane dotychczas, że państwo, w którego po siadaniu znalazłby się, osiągnęłoby zupełną przewagę na lądzie i morzu.

Wiadomo zbyt dobrze, na jakie trudności narażają się wynalazcy, szczególnie zaś ci z nich, którzy mają do czynienia z ministerjalnymi komisjami. Możliwy byłoby przytoczyć niejeden

taki wypadek i to nie byle jaki. Lepiej jednakże zachować dyskrecję wobec ciemnego nieraz ich podłoża. Wszelako, co się tyczy Tomasza Roch, trudno nie przyznać, iż jak większa część jego poprzedników stawiał wymagania zbyt wygórowane, cenił tak nieprzystępnie wartość swego nowego przyrządu, że prawie niepodobieństwem było porozumieć się z nim.

Na jego usprawiedliwienie dodać należy, że wyzyskiwano z niesłychaną czelnością jego poprzednie wynalazki. Nie mogąc ciągnąć z nich zupełnie uprawnionych zresztą zysków, zaczął się buntować. Stał się nieufny, podejrzliwy, narzucał warunki nie do przyjęcia wymagając, aby wierzono mu ślepo, słowem, żądał sumy tak znacznej, wypłacalnej zgóry, że wszelkie porozumienie z nim było nie możliwe.

Najpierw Tomasz Roch zwrócił się ze swym wynalazkiem do Francji, oddając go do rozpatrzenia odpowiedniej komisji. Fulgurator Roch przedstawiał rodzaj samoporuszającego się pocisku, o konstrukcji swoistej, zaopatrzonego w wybuchowe materje nowego gatunku i działającego tylko pod wpływem również swoistego zapalnika.

Pocisk ten, w jakikolwiek bądź sposób wyrzucony, wybuchając nawet w odległości kilkuset metrów od celu, wywierał tak wielkie działanie na warstwy atmosferyczne, iż wszelka budowla albo okręt wojenny ulegał zniszczeniu w promieniu dziesięciu tysięcy metrów kwadratowych. Pneumatyczne działo Żalińskiego, wówczas już w użyciu, przedstawiało pocisk tego samego rodzaju, ale z siłą co najmniej stokroć zmniejszoną.

Wynalazek zatem Tomasza Roch zapewniał zwycięstwo, czy to w wypadku ofensywy, czy defensywy, państwu, które go posiada. Któż jednak mógł zaręczyć, że wynalazca nie przesadza jego doniosłości, pomimo że próby z podobnego rodzaju pociskami, wypadły pomyślnie? Należało wypróbować sam wynalazek, a na to Tomasz Roch zgodzić się nie chciał inaczej, jak po otrzymaniu żądanych milionów.

Świadczyło to o pewnem naruszeniu władz umysłowych wynalazcy. Można się było obawiać, że ten brak równowagi myślowej zakończy się ostatecznym obłędem. To też żadne państwo nie mogło przyjąć jego warunków. Komisja francuska przerwała wszelkie rokowania, a nawet dzienniki skrajnej opozycji przyznały, że sprawa ta musi upaść. Tak więc warunki Tomasza Roch odrzucone zostały bez obawy, ażeby inne państwa mogły je przyjąć.

Nic dziwnego, że Tomasz Roch, zadraśnięty w swej miłości własnej i tak zbyt wygórowanej, zatracił powoli wszelkie uczucia patryjotyczne. Trzeba przypomnieć, ku chwale natury ludzkiej, że już wtedy był on prawie niepoczytalny, odzyskując równowagę wyłącznie w dziedzinie swego wynalazku. Tu genjusz jego objawiał się w całej pełni. Ale wobec najprostszych zdarzeń życiowych zachowywał się on jak moralnie przygnębiony; z dnia na dzień przygnębienie jego potęgując się, czyniło go nieodpowiedzialnym za czyny.

Odmówiono przeto Tomaszowi Roch. Nie pomyślano jednak, że zwrócić mógł się gdzie indziej ze swym wynalazkiem. Był to wielki błąd.

Wkrótce bowiem, pod wpływem wzrastającego rozdrażnienia, uczucia patryjotyczne, tak swoiste każdemu obywatelowi, każdy obywatel bowiem należy wpierw do swego kraju, zanim sobą rozporządzać zacznie, zagasły w zawiedzionym wynalazcy. Zwrócił się do innych państw, zapomniał o nie dającej się zapomnieć przeszłości i zaproponował swój wynalazek Niemcom.

Lecz rząd niemiecki, dowiedziawszy się o wygórowanych warunkach Tomasza Roch, odmówił wszelkiego z nim zetknięcia. Ponieważ ministerjum wojny zajęte było opracowywaniem nowego typu pocisku, więc zlekceważyło wynalazek francuski.

Wtedy gniew Tomasza Roch przeszedł w nienawiść, żywiołową nienawiść dla całej ludzkości, szczególnie gdy jego zabiegi przy admiralicji Wielkiej Brytanji spełzły na niczem. Anglicy, jako ludzie praktyczni, nie od mówili mu wręcz, przeciwnie badali go i starali się ująć. Ale Tomasz Roch o niczem nie chciał słyszeć, dowodząc, że jego tajemnica warta jest miliony i że tylko za miliony ją sprzeda. Admiralicja była zmuszona z nim zerwać.

Przynaglony temi okolicznościami, z coraz większym brakiem równowagi umysłowej, wynalazca udał się do Ameryki na ośmnaście miesięcy prawie przed rozpoczęciem wypadków przez nas opisanych.

Amerykanie, bardziej praktyczni od Anglików, nie targowali się o cenę fulguratora Roch, którego oceniali niezwykle doniosłość, a licząc się ze sławą chemika francuskiego i uważając go za człowieka genialnego, dotkniętego chwilowo obłędem, otoczyli go odpowiednią opieką z zamiarem wynagrodzenia go odpowiednio w przyszłości.

Ponieważ zaś Tomasz Roch coraz widoczniej stawał się niepoczytalnym, władze zdecydowały w interesie samego wynalazku powierzyć go opiece lekarskiej.

Jak już wiadomo, nie oddano go do żadnego przytułku dla obłąkanych, lecz do zakładu Healthful-House, który przedstawiał wszystkie warunki skutecznego leczenia jego choroby. A jednakże, pomimo najusilniejszych starań, cel dotychczas nie został osiągnięty.

Musimy jeszcze raz zaznaczyć i to z całym naciskiem, że Tomasz Roch pomimo swej niepoczytalności odzyskiwał pełnię władz umysłowych, skoro rozmawiano z nim o wynalazku. Ożywiał się, mówił z pewnością człowieka, którego autorytet imponuje. Z całym zapałem i wymową wyszczególniał zalety swego fulguratora, mówił o skutkach jego działania. Ale nic więcej. Nie wspominał nigdy o istocie materiału wybuchowego, ani o zapalniku, ani o jego składnikach, ani o sposobie jego wytwarzania. W tym względzie milczał uparcie. Raz czy dwa razy, gdy się zapalił nie zwykle, łudzono się, że odkryje swą tajemnicę; przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności... Napróżno. Jeżeli zatracił swój własny instynkt zachowawczy, to gorliwie strzegł zachowania swej tajemnicy.

Pawilon 17 parku Healthful-House znajdował się w otoczonym żywopłotem ogrodzie, w którym Tomasz Roch używać mógł przechadzki pod opieką dozorca. Dozorca ten spał z nim w jednym pokoju, obserwował go dniem i nocą, nie opuszczając ani na godzinę. Przysłuchiwał się bacznie jego słowom podczas halucynacji, które go nawiedzały w międzyczasie między czuwaniem i snem, przysłuchiwał się nawet snom jego.

Dozorca nazywał się Gaydon. Wkrótce po zamknięciu Tomasza Roch, dowiedziawszy się, że poszukują dla niego dozorca, mówiącego biegle po francusku, zgłosił się do Healthful-House i został przyjęty na to stanowisko.

W rzeczywistości, zaś ten domniemany Gaydon, nazywał się Simon Hart i był francuskim inżynierem, wieloletnim współpracownikiem towarzystwa wyrobów chemicznych w New-Jersey. Simon Hart, lat czterdziestu, o czole szerokim, z wybitną na nim zmarszczką badacza, wyrażał całą swą postawą i ruchami energię połączoną z uporem. Bardzo biegły w sprawach ulepszeń broni współczesnej, mogących wpłynąć na zmianę jej wartości, był on powiadomiony o wszystkim, co miało styczność z różnego gatunku materiałami wybuchowymi, których było wtedy przeszło tysiąc sto, to też on więcej niż ktokolwiek był w stanie ocenić wartość człowieka tej miary, co Tomasz Roch. Nie wątpił ani chwili, że jego fulgurator jest zdolny wywołać zupełny przewrót w prowadzeniu wojny na lądzie i morzu, czy to w razie ofensywy, czy też defensywy. Wiedział, że Tomasz Roch pomimo swego obłędu pozostał człowiekiem nauki, którego umysł, częściowo dotknięty chorobą, zachował całą jasność i ogień geniuszu. Obawiał się przeto, że, o ile przypadkiem tajemnica zostanie odkryta, korzystać z niej będzie nie Francja, ale inny kraj. To go skłoniło do pełnienia urzędu dozorca przy Tomasz Roch; podał się więc za Amerykanina, władającego dobrze językiem francuskim, a pod pozorem powrotu do Europy zgłosił swą dymisję i zmienił nazwisko. Słowem, korzystając z nadarzającej się sposobności, przybył do Healthful-House i od piętnastu miesięcy odgrywał rolę dozorca przy chorym wynalazcy.

Postanowienie to świadczyło o jego rzadkiem poświęceniu, o szlachetnym patriotyzmie, czynność bowiem, na którą skazał się dobrowolnie, była nader ciężką dla człowieka tak jak on wychowanego i na takim jak on stanowisku. Spieszymy jednak dodać, że Simon Hart nie

myślał wcale wkraczać w prawa wynalazku Tomasza Roch i w razie odkrycia tajemnicy wynalazca miałby zapewnione należne mu prawa.

Otóż, od piętnastu miesięcy Simon Hart, a raczej Gaydon napróżno śledził, pytał, badał powierzonego mu chorego. Nie wpłynęło to bynajmniej na jego pogląd o doniosłości wynalazku. Obawiał się jedynie, ażeby ten częściowy obłąd nie zamienił się w obłąd ostateczny, lub, ażeby jaki nieprzewidziany wypadek nie zniweczył wraz z nim jego tajemnicy.

Tak więc Simon Hart trwał na swem stanowisku wytrwale, oddany całej sprawie swego kraju.

Tomasz Roch pomimo różnych przejść i zawodów nie nadwreżył swego zdrowia. Podniecenie nerwowe przyczyniło się wielce do zwalczania tych ujemnych wpływów. Był wzrostu średniego, głowę miał niezwyklej objętości, czoło otwarte, czaszkę wielką, włosy siwiejące, spojrzenie błędne czasami, lecz żywe, stanowcze, rozkazujące pod wpływem genialnej myśli, wąsy pełne, nos o ruchliwych nozdrzach, ustach z zaciśniętymi wargami, jak gdyby w obawie niezdradzenia tajemnicy, wyraz twarzy zamyślony i postawę świadczącą o przebytych walkach i gotowości do przeciwstawienia się nowym – takim był wizerunek Tomasza Roch wynalazcy, zamkniętego w pawilonie Healthful-House'u może nieświadomego swego więzienia i pozostającego pod opieką inżyniera Simona Hart, pod przybranem nazwiskiem dozorczy Gaydona.

ROZDZIAŁ II

Hrabia d'Artigas.

Właściwie kim był ten hrabia d'Artigas?... Być może że Hiszpanem, sądząc z nazwiska. Wszelako na jego statku widniał złotymi literami wypisany napis Ebba, nazwa czysto norweska. Gdyby zaś kto był spytał tej osobistości, jak się nazywa kapitan Ebby? odpowiedziałby, że Spade; starszy marynarz? Effrondat; kucharz? Helim – dziwnie różnobarzmiące nazwiska, wskazujące na narodowości zgoła odmienne od siebie.

Wnioskując o jego pochodzeniu z typu, który przedstawiał, również znaleźlibyśmy się w kłopotcie. Zabarwienie bowiem skóry, włosy czarne przemawiały za pochodzeniem hiszpańskim, tymczasem całokształt jego postaci nie przypominał wcale cech swoistych mieszkańców półwyspu Iberyjskiego.

Był to człowiek wzrostu powyżej średniego, bardzo silnej budowy, wieku co najwyżej lat czterdziestu pięciu. Chodem swym spokojnym i wyniosłym przypominał władców hinduskich, z przymieszką krwi przepysznych typów malajskich. Jeżeli z natury nie był obdarzony usposobieniem chłodnym, przynajmniej starał się je pozorować, nadając swym ruchom powagę, a mowie – zwięzłość. Językiem, którym się posługiwał on i jego załoga, było narzecze używane na wyspach oceanu Indyjskiego i mórz okolicznych. Skoro jednak w swych wycieczkach morskich dopłynął do wybrzeża starego lub nowego lądu, wyrażał się z wielką łatwością po angielsku, zaledwie dając poznać akcent cudzoziemski.

Jaką była przeszłość hrabiego d'Artigas, jakie koleje jego życia nader tajemniczego, czem była jego terażniejszość, skąd pochodzi ten jego majątek – zapewne znaczny, jeżeli pozwalał mu na życie wystawne gentelmana – gdzie znajduje się stałe miejsce jego zamieszkania, a przynajmniej gdzie jest stała przystań jego statku? Nikt o tem nie wiedział i nikt nie odważyłby się spytać go o to wobec jego nieprzystępnej postawy. Nie wyglądał na człowieka, któryby dał się wy ciągnąć na wywiad dziennikarski, nawet reporterom amerykańskim.

Wiadomości o nim czerpano tylko z dzienników, donoszących od czasu do czasu o obecności Ebby w jednym z portów świata, najczęściej zaś na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych.

Tu, w istocie, statek dopływał w stałych odstępach dla zaopatrzenia się we wszystko, co było niezbędne do długiej morskiej podróży. Hrabia d'Artigas nie tylko zaopatrywał się w żywność, jak mąka, suchary, konserwy, suszone i świeże mięso, woły i barany, wina, piwa i wódkę, lecz również w odzież, naczynia, przedmioty zbytku i pierwszej potrzeby, za wszystko zaś płacił wygórowane ceny w dolarach, gwinejach lub w innych monetach.

Stąd, pomimo że życie jego prywatne pozostało tajemnicą dla wszystkich, dobrze był znany w portach wybrzeża amerykańskiego, poczynawszy od półwyspu Florydzkiego aż do Nowej Anglii.

Dziwić się zatem nie można, że dyrektor Healthful-House'u uważał sobie za zaszczyt odpowiedzieć z gotowością na prośbę hrabiego.

Po raz pierwszy dopiero statek Ebba zatrzymał się w porcie New-Berne. Zdarzenie to należało odnieść na karb kaprysu jego właściciela, bo nic go nie przynaglało w te strony. Jeżeli chodziło o zaopatrzenie, to czyż Pamplico-Sound mógł się równać z portami takiego znaczenia jak Boston, New-York, Dover, Savannah, Wilmington w Północnej Karolinie, a

Charleston w Karolinie Południowej? Czy ujście Neuzy lub małego znaczenia rynek New-Bern'u byłyby w stanie dostarczyć hrabiemu d'Artigas odpowiednich towarów za jego piastry i banknoty? Wszak stolica hrabstwa Craven liczy zaledwie sześć tysięcy mieszkańców. Obrót handlowy tej miejsciny ogranicza się do wywozu nasion, nierogacizny, mebli i narzędzi morskich. Zresztą statek, kilka tygodni temu, w swym dziesięciodniowym postoju w Charleston zaopatrzył się całkowicie na czas dłuższy.

Należało zatem przypuszczać, że tajemniczy ten osobnik przyjechał tu wyłącznie w celu zwiedzenia Healthful-House'u. Nie byłoby w tem nic osobliwego, zważywszy, że zakład ten cieszył się wielką i istotnie zasłużoną sławą.

Może zresztą hrabia d'Artigas chciał poznać Tomasza Roch? Powszechny rozgłos francuskiego wynalazcy usprawiedliwiałby tę ciekawość. Nie zapominajmy bowiem, że Tomasz Roch był pomimo umysłowej choroby człowiekiem genialnym, którego wynalazki wywołać mogły zupełny przewrót w sztuce wojennej!

Po południu hrabia d'Artigas, tak jak sobie tego życzył, stawiał się w Healthful-House w towarzystwie kapitana Spade, dowódcy Ebby.

Stosownie do danego rozporządzenia obaj byli wprowadzeni do gabinetu dyrektora, który ich przyjął z całą uprzejmością, oświadczając, że sam będzie ich ciceronem, co goście przyjęli z gorącym podziękowaniem. Orowadzając ich po salach ogólnych i poszczególnych mieszkaniach, dyrektor nie przestawał wychwalać wszelkich dogodności i starań, jakimi otoczono chorych, twierdząc, że podobnie starannej kuracji nie mogliby przeprowadzić w domu i że świetne wyniki tego leczenia zakładowi zapewniły sławę.

Hrabia d'Artigas, nie pozbywając się swej zwykłej obojętności, był jakby przejęty wymową dyrektora, prawdopodobnie dla tem lepszego ukrycia prawdziwego celu swego przybycia. Atoli po godzinie przechadzki po zakładzie uważał za stosowne zapytać:

– Czy w zakładzie nie przebywa człowiek, o którym wiele mówiono w ostatnich czasach, a który niemało się przyczynił do zwrócenia szerszej uwagi na Healthful-House?

– O ile się nie mylę, panie hrabio rzekł dyrektor – ma pan na myśli Tomasza Roch.

– Tak istotnie, tego Francuza wynalazcę, dotkniętego obłędem.

– O, tak, dotkniętego wielkim obłędem, panie hrabio. Może to i lepiej, gdyż mojem zdaniem te wynalazki, zwiększające tylko moc środków destrukcyjnych, są i tak już zbyt liczne.

– Słusznie pan powiedział, panie dyrektorze, podzielam w zupełności zdanie pańskie. Nie tędy droga do prawdziwego postępu i uważam, że ci, co ją torują, są genjuszami zła. Ale czy w tym wynalazcy zanikły zupełnie władze umysłowe?...

– Zupełnie... nie... panie hrabio, o ile nie wchodzi w grę życie zwyczajne. Pod tym względem jest on całkiem niepoczytalny, ale jego władza wynalazcza pozostała nienaruszona i jestem pewny, że gdyby nie opierano się jego bezsensownym warunkom, mielibyśmy pocisk wojenny niezwyklej doniosłości, który zresztą wcale nie jest potrzebny...

– Bynajmniej nie jest potrzebny – powtórzył hrabia d'Artigas, co również potwierdził kapitan Spade.

– Zresztą osądzi pan sam, panie hrabio. Właśnie przybyliśmy do pawilonu zamieszkałego przez Tomasza Roch. O ile jego zamknięcie jest usprawiedliwione ze względów publicznego bezpieczeństwa, niemniej wszakże otoczono go opieką, słusznie mu należną i jakiej wymaga jego stan obecny. Przytem w Healthful-House jest zabezpieczony od ludzi, którzy mogliby korzystać...

Dyrektor dopowiedział swą myśl znaczącym ruchem głowy, co wywołało zaledwie dostrzegalny uśmiech na ustach nieznajomego.

– Czy jednak Tomasz Roch nie pozostaje nigdy sam? – spytał hrabia.

– Nigdy, panie hrabio. Towarzyszy mu niezmiennie dozorca, mówiący po francusku i wzbudzający w nas zupełne zaufanie. W razie gdyby w ten lub inny sposób Tomasz Roch zdradził cośkolwiek ze swej tajemnicy, dozorca nie omieszkaby nas powiadomić, wtedy zaś wiedzielibyśmy, jaki z tego mamy uczynić użytek.

Hrabia d'Artigas rzucił znaczące spojrzenie na kapitana Spade, ten zaś odpowiedział ruchem, wyrażającym, że je zrozumiał. Gdyby kto był zwrócił uwagę na kapitana Spade podczas tych odwiedzin, mógłby być dostrzec, iż przypatrywał się z osobliwą drobiazgowością części parku okalającej pawilon 17, nie pomijając ani jednego przejścia, które ułatwiało doń dostęp, prawdopodobnie w celu zgóry uplanowanym.

Ogród pawilonu graniczył z murem okalającym Healthful-House. Nazewnątrz mur ten dotykał do podnóża wzgóрка, którego zbocze dochodziło nieznaczną pochyłością do prawego brzegu rzeki Neuze.

Pawilon ten był domkiem parterowym z wzniesionym na nim tarasem. Składał się z dwu pokojów i przedpokoju, miał okna zabezpieczone kratą żelazną. Mieszkanie otoczone było pięknymi drzewami w tej porze roku bujnie pokrytymi listowiem. Przed domem zieleniły się wspaniale trawniki, ozdobione różnorodnymi krzewami i zachwycającym kwieciami. Całość, zajmująca mniej więcej pół akra, oddana była wyłącznie do użytku Tomasza Roch, który mógł korzystać dowolnie z ogrodu pod okiem dozorca.

W chwili gdy hrabia d'Artigas, kapitan Spade i dyrektor weszli do ogrodzenia, dozorca Gaydon stał na progu domu.

Hrabia d'Artigas rzucił badawcze spojrzenie na dozorcę, które uszło uwagi dyrektora.

Nie po raz pierwszy odwiedzano pawilon 17, gdyż wynalazca francuski, zresztą zupełnie słusznie, uchodził za najbardziej zajmującego chorego z zakładu. Wszelako Gaydon z nie zwykłą ciekawością przypatrywał się oryginalnym typom dwu nieznajomych niewiadomej narodowości. Wprawdzie nazwisko hrabiego nie było mu obce, nie miał jednak sposobności spotkania tego bogatego gentlemana w portach wschodnich, przez niego odwiedzanych, nie wiedział zaś, że statek Ebba zawitał do ujścia Neuze'y, u podnóża pagórka Healthful-house.

– Gaydon – spytał dyrektor – gdzie jest w tej chwili Tomasz Roch?

– Tam – odpowiedział dozorca, wskazując ręką na człowieka przechadzającego się krokiem nierównym pod drzewami za pawilonem.

– Hrabia d'Artigas, otrzymawszy pozwolenie zwiedzenia zakładu, nie chciał go opuścić, nie poznawszy Tomasza Roch, o którym zbyt wiele mówiono w ostatnich czasach...

– I o którym mówionoby jeszcze więcej, gdyby rząd amerykański nie był zawczasu zamknął go przezornie – odpowiedział hrabia.

– Przezorność ta była konieczną, panie hrabio.

– Konieczną w istocie, panie dyrektorze, i dla spokoju świata lepiej będzie, jeżeli tajemnicę tę zabierze z sobą.

Spojrząwszy na hrabiego d'Artigas, Gaydon nie wymówił ani słowa, w milczeniu zaprowadził obu nieznajomych w głąb ogrodu.

Uszedłszy kilka kroków, spotkali się z Tomaszem Roch.

Ten nie zauważył zbliżających się i być może, że i teraz nie zwrócił uwagi na ich obecność.

Kapitan Spade tymczasem nie tracił czasu, bacznie oglądał miejscowość, przypatrując się położeniu pawilonu 17, znajdującemu się w dolnej części parku Healthful-House'u. Przechadzając się wzwyż alei pochyłych ogrodu, z łatwością dostrzegł koniec masztów wystających ponad mur ogrodzenia. Przyjrząwszy się bliżej, upewnił się, że są to maszty statku Ebba i że z tej strony mur ciągnie się wzdłuż prawego wybrzeża Neuzy.

Hrabia! d'Artigas zaś obserwował wynalazcę francuskiego. Stwierdził, że Tomasz Roch nie stracił bynajmniej zdrowia podczas swego ośmnastomiesięcznego zamknięcia. Zato nie ulegało wątpliwości, że, sądząc po jego dziwacznym zachowaniu się, po oczach błędnych, ruchach nieskoordynowanych, po obojętności względem otoczenia, był to człowiek niepozorny o władzach umysłowych wielce osłabionych.

Tomasz Roch usiadł na ławce i pręcikiem, który trzymał w ręku, kreślić zaczął na drodze zarys fortyfikacji. Poczem ukląkł i zaczął układać małe stożki z piasku, prawdopodobnie mające wyobrażać bastjony, zerwawszy zaś kilka liści z sąsiedniego krzewu, umieścił je na wierzchołku stożków naksztalt maleńkich chorągwi. Przytem robiło zupełnie poważnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na przypatrujące mu się osoby.

Była to zabawa dziecinna, dziecko jednak nie byłoby się zachowało z tak charakterystyczną powagą.

– Czyż on jest skończonym warjatem? spytał hrabia d'Artigas, który, jak się zdawało, pomimo swej zwykłej obojętności odczuwał pewnego rodzaju rozczarowanie.

– Uprowadziłem pana, panie hrabio, że nie można wydobyć z niego nic a nic – rzekł dyrektor.

– Czy nie mógłby przynajmniej zwrócić na nas uwagi?

– Zmusić go do tego byłoby rzeczą trudną.

Obracając się zaś do dozorczy:

– Przemów do niego, Gaydonie – rzekł dyrektor – a może słysząc twój głos, zechce ci odpowiedzieć?

– Odpowie mi, może być pan dyrektor pewny – odparł Gaydon.

Poczem, dotknawszy ramienia chorego:

– Tomasz Roch? – wymówił głosem łagodnym.

Roch podniósł głowę i wyglądał tak, jak gdyby z pośród otaczających go czterech mężczyzn widział tylko postać dozorczy.

– Tomasz Roch – ciągnął dalej Gaydon po angielsku – oto nieznajomi, żądni widzenia ciebie... Pytają się o twoje zdrowie... o twoje prace...

Ostatnie tylko słowo zdołało go wyrwać z apatji.

– Moje prace? – odrzekł również w języku angielskim, którym władał jak rodowitym.

W tejsze chwili wziął kamyk w dwa palce złożone, jak chłopiec bierze kulkę do ręki, i rzucił go na jeden ze stożków, który się wnet rozsypał.

– Zburzony!... bastjon zburzony! – zawołał radośnie. – Mój pocisk zniszczył go za jednym zamachem.

Tomasz Roch podniósł się, zapal zwycięski błyszczał mu w oczach.

– Jak pan widzi, panie hrabio, myśl o wynalazku nie opuszcza go nigdy.

– I umrze wraz z nim! – dodał dozorca.

– Czy nie mógłbyś, Gaydonie, użyć jakiego sposobu, ażeby zaczął mówić o nowym fulguratorze?...

– Jeżeli pan dyrektor rozkaże... spróbuję.

– Spróbuj, bo wydaje mi się, że to zajmie Hrabiego d'Artigas...

– Istotnie – potwierdził hrabia, nie zdradzając wcale uczuć, które nim miotały.

– Muszę uprzedzić, że wywołać to może atak – zauważył dozorca.

– Wstrzymasz rozmowę, skoro uznasz za właściwe. Powiedz mu, że pewien nieznajomy chce nabyć od niego fulgurator...

– Ale czy pan nie obawia się, że zdradzi tajemnicę? – wtrącił hrabia d'Artigas.

Powiedział zaś te słowa z taką żywością, że Gaydon rzucił na niego mimowoli nieufne spojrzenie, które nie obeszło wcale tego nieprzeniknionego osobnika.

– Niema się czego obawiać – odpowiedział – i niema obietnicy, która zdołałaby wyrwać tajemnicę Tomaszowi Roch!... Dopóki nie będzie miał w ręku milionów, które żąda...

– Nie mam ich przy sobie – spokojnie odpowiedział hrabia d'Artigas.

Gaydon powrócił do chorego, i dotykając po raz wtóry jego ramienia:

– Tomasz Roch – rzekł – oto nieznajomi, którzy chcą nabyć wynalazek pański.

Tomasz Roch zerwał się.

– Mój wynalazek – zawołał – mój pocisk, mój zapalnik?...

Wzrastające podniecenie wskazywało na zbliżanie się ataku, nieuniknionego wobec tego rodzaju pytań.

– Za ile go chcecie nabyć... za ile? – dodał Tomasz Roch.

Można było śmiało obiecać mu największą sumę.

– Ile... ile? – powtarzał.

– Dziesięć milionów dolarów – odpowiedział Gaydon.

– Dziesięć milionów? – zawołał Tomasz Roch. – Dziesięć milionów... Fulgurator, którego siła przewyższa o dziesięć milionów wszystkie dotychczasowe pociski?... Dziesięć milionów... pocisk samodiałający, który zdoła w razie wybuchu zniszczyć wszystko w promieniu dziesięciu tysięcy metrów kwadratowych!... Dziesięć milionów... Sam zapalnik może wywołać wybuch... Wszystkie bogactwa świata nie wystarczyłyby, ażeby opłacić tajemnicę mojego pocisku, i raczejbym sobie język odgryzł, niżbym ją miał wyjawić za tę cenę!... Dziesięć milionów, gdy warta jest miliarda... miliarda... miliarda!...

Widoczne było, że Tomasz Roch traci zupełnie równowagę umysłową z chwilą gdy chodzi o cenę jego wynalazku. Gdyby Gaydon był powiedział dziesięć miliardów, skutek byłby jednaki.

Hrabia d'Artigas i kapitan Spade bacznie obserwowali całą scenę: hrabia jak zwykle z flegmą, pomimo że czoło miał zasepione, kapitan, potrząsając głową, jak gdyby chciał powiedzieć: stanowczo niema co się wdawać z tym nieszczęśliwym!

Tomasz Roch tymczasem uciekł, biegnąc po ogrodzie i wołając głosem zdławionym od gniewu:

– Miljardy... miljardy!

Gaydon zwrócił się do dyrektora i rzekł:

– Uprzedziłem pana!

Poczem pobiegł za swoim chorym, dogonił go, wziął pod rękę, i nie doznając oporu, zaprowadził do pawilonu. zamknawszy drzwi za sobą.

Hrabia d'Artigas pozostał sam z dyrektorem, podczas gdy kapitan Spade po raz ostatni starannie obejrzał wewnętrzną stronę muru.

– Nie przesadziłem, panie hrabio oświadczył dyrektor. – Choroba Tomasza Roch postępuje z dnia na dzień. Mojem zdaniem jest to obłęd nieuleczalny. Nawet gdyby mu ofiarowano sumę, którejby zażądał, nie dowiedzianoby się od niego niczego.

– Jest to prawdopodobne – odpowiedział hrabia d'Artigas – a jednakże, gdyby nawet żądania jego graniczyły z absurdem, nie mniej pozostanie prawdą, że pocisk jego posiada moc, że się tak wyrażę, nieskończoną...

– Jest to pogląd osób fachowych, panie hrabio; ale to co wynalazł, niebawem zniknie wraz z nim w jednym z ataków, które stają się coraz częstsze i silniejsze. Wkrótce nawet, czynnik interesu, jedyny, który przeżył jego władze umysłowe, zniknie...

– Pozostanie może czynnik nienawiści! szepnął hrabia d'Artigas w chwili, gdy kapitan Spade złączył się z nim przy bramie ogrodowej.

ROZDZIAŁ III

Podwójne porwanie.

W pół godziny potem hrabia d'Artigas i kapitan Spade szli drogą wysadzoną stuletnie mi bukami, dzielącą prawy brzeg Neuzy od zakładu Healthful-House. Obaj pożegnali się z dyrektorem, który dziękował im za zaszczytne odwiedziny, oni zaś jemu za uprzejme przyjęcie. Sto dolarów zostawionych służbie zakładu świadczyło o hojnym usposobieniu hrabiego d'Artigas. Był to – czyż można nawet wątpić? – cudzoziemiec wyjątkowo dystyngowany, o ile hojność ma być miarą dystynkcji.

Wyszedszy przez żelazną bramę, umieszczoną na stoku pagórka, hrabia d'Artigas i kapitan Spade obeszli mur, którego wysokość uniemożliwiała wszelką ucieczkę. Hrabia był zamyślony, towarzysz zaś zwykł był czekać, aż się odezwie.

Obejrzawszy uważnie wierzchołek muru, za którym wznosił się pawilon 17, hrabia spytał.

– Czy miałeś dość czasu, ażeby zaznajomić się dokładnie z miejscowością?

– Zaznajomiłem się dokładnie, panie hrabio – odpowiedział kapitan Spade, szczególnie nacisk kładąc na tytuł, z którym się zwracał do nieznanego.

– Nic nie uszło twojej uwagi?

– Nic, co mogłoby być użyteczne. Pawilon znajduje się w bliskości tego muru, łatwo więc jest przystępny i jeżeli pan trwa w zamiarze...

– Trwam, Spade.

– Pomimo stanu umysłowego Tomasza Roch?

– Pomimo tego stanu i jeżeli uda się nam go porwać...

– A to już moja rzecz. Za nadejściem nocy niedostrzeżony dostanę się do parku Healthful-House'u, następnie do pawilonu...

– Czy bramą wchodową?

– Nie... z tej strony.

– Ależ z tej strony jest mur, nawet jeśli go przekroczysz, jakże wrócisz razem z Tomaszem Roch, skoro ten warjat, stawiając opór, będzie wołał na pomoc... lub jego dozorca podniesie alarm...

– Niech pan będzie spokojny... Wejdziemy i wyjdziemy tą oto furtką.

Kapitan Spade wskazał na wąskie wejście, znajdujące się pośrodku muru, ułatwiające zapewne służbie domowej dostanie się w razie potrzeby do brzegu Neuzy.

– Tędy – ciągnął dalej kapitan Spade dostaniemy się do parku bez pomocy drabiny.

– Wszak furtka ta jest zamknięta...

– Otworzy się.

– Czyż nie jest opatrzona rygłem?

– Odsunąłem go podczas przechadzki, dyrektor tego nie zauważył...

Hrabia d'Artigas zbliżył się do furtki.

– Jakże ją otworzysz?

– Oto klucz – odpowiedział kapitan Spade, pokazując klucz, który wyjął był z zamka po odsunięciu rygla.

– Wyśmienicie – rzekł hrabia d'Artigas – porwanie nie powinno przedstawiać wielkich trudności. Wróćmy na statek. Około ósmej godziny, skoro się ściemni, opuścisz statek z pięcioma ludźmi...

– Tak... pięcioma – odpowiedział kapitan Spade. – Wystarczą, nawet gdyby nam co groziło ze strony dozorczy i gdybyśmy zmuszeni byli się go pozbyć...

– Pozbyć go się – powtórzył hrabia d'Artigas – dobrze... ale jeżeli to będzie nieodzowną rzeczą... Wolałbym go jednak mieć na statku Ebba. Kto wie, czy Gaydon nie posiada częściowo tajemnicy Tomasza Roch?...

– Słusznie.

– Przytem Tomasz Roch przyzwyczał się do niego, nie chciałbym zaś wytrącać go ze zwykłego trybu życia.

Odpowiedzi hrabiego d'Artigas towarzyszył uśmiech tak znaczący, iż kapitan Spade nie mógł wątpić o roli, jaką odegrać miał dozorca wynalazcy.

Plan zatem porwania obu ludzi był postanowiony, i o ile w ciągu dwu godzin, które pozostawały jeszcze do nadejścia nocy, nie spostrzeżonoby, że klucza od furtki niema i że rygiel jest odsunięty, kapitan Spade i jego pomocnicy mieli zapewnione wejście do parku.

Należy zresztą, zwrócić uwagę, że oprócz Tomasza Roch żaden chory nie był powierzony specjalnemu dozorowi. Zajmowali pawilony lub pokoje głównych gmachów zakładu w górnej części parku. Wszystko więc przemawiało za tem, iż w razie napadu Tomasz Roch i Gaydon napróżno stawialiby opór, wołając o pomoc, co ułatwiałoby znakomicie kapitanowi Spade wykonanie tego śmiałego przedsięwzięcia.

Nieznajomy i jego towarzysz udali się do małej przystani, gdzie czekała na nich łódka. Ebba stała w porcie w odpowiedniej od lądu odległości, jej żagle schowane były w pochwy żółtawe; drągi masztowe zaś złożone prawidłowo, jak to się zwykle dzieje na statkach spacerowych. Żadna flaga nie powiewała na niej, jedynie na szczycie wielkiego masztu wiatr poruszał wąskim czerwonym pasemkiem, które zaledwie dojrzeć było można.

Hrabia d'Artigas i kapitan Spade dopłynęli przy pomocy czterech wiosł do statku, na który dostali się boczną drabiną.

Hrabia d'Artigas udał się natychmiast na tył okrętu do swej kajuty, a kapitan Spade na przodzie okrętu wydawał ostatnie rozporządzenia.

Doszedłszy do najwyższej burty statku, nachylił się nad prawą stronę parapetu, szukając oczyma przedmiotu, który pływał o kilka sążni od statku.

Była to mała boja, kołysząca się na falach Neuzy.

Noc się zbliżała. Od strony lewego wybrzeża wijącej się rzeki, niewyraźnie zarysowywająca się sylwetka New-Berne'u znikać poczęła. Zarysy domów odcinały się linią czarną od czerwonej smugi, okalającej obłoki z zachodu. Na wschodzie niebo było zaciemnione kilku gęstymi chmurami; deszczu jednak nie należało się obawiać, gdyż były wysoko.

Około siódmej zabłyśły pierwsze światelka New-Berne'u, zjawiając się kolejno na różnych piętrach domów, podczas gdy, te same światelka w dolnej dzielnicy odbijały się w różnorodnych kierunkach w wodach rzeki, słabo zaledwie drgając, bo powiew ku wieczorowi ustawał. Barki rybaków powracały do przystani, jedne z rozpiętymi żaglami, drugie poruszane wiosłami, których krótkie, rytmiczne uderzenia odzywały się zdaleka. Dwa parowce przepłynęły, wyrzucając kłęby dymu i snopy iskier z podwójnych kominów, prując wodę potężnymi kołami, podczas gdy wahadło maszyny wznosiło się i spadało nad pomostem, rżąc jak potwór morski.

O godzinie ósmej hrabia d'Artigas ukazał się na pokładzie statku w towarzystwie mężczyzny wieku lat około pięćdziesięciu, do którego rzekł:

– Już czas, Serkō.

– Idę uprzedzić Spade'a – odrzekł tenże.

Kapitan podążył za nim.

– Pora wyruszyć – odezwał się hrabia.

– Jesteśmy gotowi.

– Tylko ostrożnie, aby nie wzbudzić alarmu w Healthful-House, i aby nikt domyślić się nie mógł, że Tomasz Roch i jego dozorca uprowadzeni zostali na pokład Ebby.

– Napróżnoby szukano ich na statku – odrzekł wesoło Serkō, wzruszając ramionami.

– W każdym razie lepiej nie dawać pola do podejrzeń – dodał hrabia d'Artigas.

Łódka była gotowa. Kapitan Spade i pięciu ludzi niebawem zajęli w niej miejsce. Czterech z nich pochwyciło za wiosła. Piąty, Effrondat starszy załogi, który miał strzec łódki, usiadł przy kapitanie Spade.

– Powodzenia, Spade! – zawołał z uśmiechem Serkō – a spraw się cicho, jak kochanek, porywający panią swego serca...

– Tak... o ile ten Gaydon...

– Musimy mieć Rocha i Gaydona rzekł hrabia d'Artigas.

– Rozumiem! – odparł kapitan Spade.

Łódka odплыnęła od brzegu, a marynarze odprowadzili ją wzrokiem, dopóki nie zginęła w ciemności.

Należy zaznaczyć, że Ebba wcale nie czyniła przygotowań do odjazdu. Zapewne nie myślała opuszczać portu New-Berne po dokonaniu porwania. Co prawda było to w tej chwili niepodobieństwem, nie było bowiem najłżejszego powiewu, a za pół godziny przypływ morza da się odczuć na kilka mil w górę rzeki Neuze. To też statek nie uniósł się na kotwicy.

Ebba, stojąc w podwójnej odległości od brzegu, mogła być zbliżyć się doń bardziej, gdyż głębokość wody wynosiła jeszcze od piętnastu do dwudziestu stóp; ułatwiłoby to dostanie się łódki do statku. Ale widać nie leżało to w zamiarach hrabiego d'Artigas.

Łódka przepłynęła w kilka minut odległość nieostrzeżenie.

Wybrzeże było puste, jak również droga bukowa, prowadząca do parku.

Po silnym przymocowaniu łódki, kapitan Spade i czterej marynarze wylądowali, a zostawiając na straży starszego załogi, znikli niebawem z jego oczu.

Dotarłszy do muru parku, kapitan Spade zatrzymał się, marynarze zaś stanęli po obu stronach furtki.

Nie pozostawało nic więcej jeno otworzyć furtkę zabranym kluczem, o ile kto ze służby zakładu, zauważywszy, że jest otwarta, nie zasunął był rygla.

W takim razie porwanie byłoby wielce utrudnione, nawet gdyby można je uskutecznić poprzez szczyt muru.

Pierwszym ruchem kapitana Spade było przyłożenie ucha do furtki.

W parku panowała zupełna cisza, z pawilonu 17 nie dochodził najłżejszy szmer. Nawet liść na drzewach nie poruszał się. Była to cisza wiejska podczas pogodnej nocy.

Kapitan wyciągnął klucz, wsunął go do zamku, obrócił ostrożnie i furtkę otworzył z łatwością.

Nic więc nie zmieniło się od czasu, gdy opuścili Healthful-House zwiedzający go przybysze.

Kapitan Spade wszedł do ogrodzenia, obejrzawszy się bacznie, czy nikogo niema w pobliżu; marynarze szli za nim.

Furtkę pozostawili lekko przymkniętą, ażeby w razie potrzeby łatwy mieć dostęp do łódki.

Część parku, w której się znajdowali, była tak ocieniona drzewami, zarośnięta krzewami, że z trudnością byliby rozpoznali pawilon, gdyby nie silne światło, wydobywające się z jednego okna.

Nie ulegało wątpliwości, że było to światło, płonące w pokoju Tomasza Roch, jak również dozorca Gaydona, nieodłącznego jego towarzysza. Kapitan Spade był przygotowany, że go tam spotka.

Ostrożnie stąpając, aby odgłos kamyka lub chrzęst gałęzi nie zdradził ich obecności, zbliżyli się do bocznych drzwi pawilonu, znajdujących się w pobliżu oświetlonego okna.

Czy jednakże drzwi te nie były zamknięte? Kapitan nie posiadał od nich klucza; byłby więc zmuszony rozbić jedną z szyb okna i otworzyć ręką zasuwę, dostać się do pokoju i ubezwładnić Gaydona, zanim ten mógłby zawołać o pomoc. Nic innego nie pozostawało.

Kapitan Spade zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Wyboru wszelako nie było. Główną rzecz stanowiło w tym razie porwanie Tomasza Roch – i o ile się uda, Gaydona, stosownie do życzenia hrabiego – i to za wszelką cenę.

Zbliżywszy się do okna, wspiął się na palcach i przez szparę od firanki, ogarnął wzrokiem pokój.

Gaydon zajęty był przy Tomaszu Roch, którego atak trwał w dalszym ciągu. Przy chorym czuwał lekarz, przysłany natychmiast przez dyrektora do pawilonu 17.

Obecność lekarza znacznie pogarszała położenie.

Tomasz Roch leżał na szezlongu w ubraniu. W tej chwili był spokojny. Atak zmniejszał się powoli i niebawem miał przejść w stan długiego odrętwienia.

Widząc to, doktor zbierał się ku wyjściu, właśnie kiedy kapitan zaglądał przez okno. Wyteżywszy słuch, mógł zrozumieć, że lekarz zapewnia dozorcę, iż atak nie powtórzy się tej nocy, jego pomoc więc jest już zbyteczna.

Mówiąc to doktor skierował się ku drzwiom, przed którymi czekali kapitan i marynarze.

Nie było chwili do stracenia. Na znak dany przez kapitana, marynarze rozpięzchli się, on sam zsunął się wzdłuż muru. W tej chwili na ganku stanęli lekarz i dozorca. Na szczęście lampa pozostała w pokoju i promienie światła nie zdradziły ich obecności.

Przy pożegnaniu się z dozorcą lekarz, zatrzymując się na pierwszym stopniu, rzekł:

– Oto jeden z najcięższych ataków, które nawiedziły chorego! Jeszcze dwa albo trzy te go rodzaju, a straci doreszty tę trochę rozumu, który mu pozostał!

– Dlaczegoż dyrektor nie zabrania wstępu do pawilonu zwiedzającym zakład?... Wskutek wizyty niejakiego hrabiego d'Artigas i rozmowy z nim, chory znajduje się dzisiaj w tym stanie.

– Zwróć na to uwagę dyrektora – odpowiedział lekarz.

Poczem zszedł ze stopni ganku, zostawiając drzwi napół uchylone. Gaydon podążył za nim.

Zaledwie oddalili się o jakie dwadzieścia kroków, kapitan Spade podniósł się, marynarze zaś stanęli przy nim.

Nadarzała się doskonała sposobność, ażeby wejść do pokoju, porwać Tomasza Roch, nawpół drzemiącego i czekać powrotu Gaydona.

Ale dozorca mógł powrócić i stwierdziwszy nieobecność Tomasza Roch, wszczać alarm... lekarz zarazy przybiegł, w całym zakładzie powstałby popłoch... kapitan Spade nie miałby możliwości nawet dostać się do furtki...

Zresztą nie było już czasu do zastanawiania się. Szelest kroków na piasku świadczył o powrocie dozorca. Najlepiej byłoby rzucić się na niego, i ubezwładnić go, zanimby się opamiętał. W czterech czy w pięciu opanowaliby go łatwo i wyciągnęli za obręb parku. Z Tomaszem Roch rzecz poszłaby gładko, nie szczęśliwy ten bowiem nie wiedziałby nawet, co się z nim dzieje.

Tymczasem Gaydon kierował się ku stopniom ganku. W chwili gdy wstępował na pierwszy stopień, czterej marynarze rzucili się na niego, rozciągnęli na ziemi, zawiązali mu chustką usta, opaskę zarzucili na oczy, skrępowali ręce i nogi, tworząc z niego masę bezwładną.

Dwu z nich pozostało przy nim, dwu zaś z kapitanem udało się do pokoju Tomasza Roch, który, leżąc w stanie zupełnego odrętwienia, nie zauważył nawet wchodzących. Gdyby nie silny oddech, można byłoby go wziąć za umarłego. Wszelkie skrępowanie było zbyteczne. Marynarze pochwyciwszy go za nogi i głowę, wynieśli z pokoju.

Wszystko to odbyło się w przeciągu krótkiej chwili. Kapitan Spade wyszedł ostatni po zagaszeniu światła i zamknięciu drzwi. W ten sposób wieść o porwaniu mogła dojść do zakładu dopiero nazajutrz w rannych godzinach.

Gaydona przeniesiono równie łatwo jak Tomasza Roch. Dwaj marynarze wzięli go na ręce, a obchodząc krzewy, dostali się z nim do furtki ogrodowej.

Park pograżył się w zupełnym mroku. Znikły nawet z przed oczu światła mieszkań górnej części parku i dalszych pawilonów Healthful-House'u.

Kapitanowi Spade nie pozostawało już nic więcej prócz otworzenia furtki. Gdy to szczęśliwie dokonane zostało, marynarze wynieśli najpierw dozorcę, następnie Tomasza Roch. Korowód zakończył kapitan Spade, który zamierzał wrzucić klucz do rzeki skoro dotrą do łódki.

Nikogo nie było na drodze, nikogo na wybrzeżu. Wkrótce też ujrzeli Effrondata, siedzącego u podnóża pochyłości.

Tomasza Roch i Gaydona umieszczono w tylnej części łódki; zajęli tam miejsca również kapitan i marynarze.

– Odwiąż łódkę i to prędko – rozkazał kapitan.

Starszy marynarz wypełnił rozkaz, poczem usunął się do łódki.

Wiosła zagłębiły się w wodę i łódka popłynęła w stronę statku, kierując się światelkiem, błyszczącym na maszcie.

W dwie minuty później łódka przybijała do Ebby.

Hrabia d'Artigas stał oparty o parapet przy drabinie.

– Zrobione, Spade? – spytał.

– Zrobione.

– Obaj?

– Obaj, dozorca i chory.

– Nie zauważono nic w Healthful-House?

– Nie.

Gaydon, z opaską na oczach i uszach, nie mógł rozpoznać głosu, Hrabiego d'Artigas i kapitana Spade.

Należy zaznaczyć, że ani Tomasz Roch ani Gaydon nie byli odrazu wciągnięci na statek. Przez pewien czas słychać było ruch przy boku okrętu. Dopiero w jakie pół godziny Gaydon, który nie stracił zimnej krwi, uczył się wzniesiony, a następnie zniesiony na spód okrętu.

Po dokonaniu porwania zdawałoby się, że Ebba powinna była opuścić miejsce postoju, przepłynąć Pamplico Sound i wypłynąć na szerokie morze. Tymczasem na pokładzie panował spokój nie zapowiadający zgoła wypłynięcia okrętu na pełne wody.

Czyż pozostawanie na miejscu po dokonaniu podwójnego tego porwania było rzeczą bezpieczną? Czyż hrabia d'Artigas mógł ukryć tak dobrze swych więźniów, że nie znalezionoby ich w razie gdyby Ebbę, której bliski postój w okolicach zakładu mógł wydawać się podejrzany, zechcieli odwiedzić agenci z New-Berne?...

Bądź co bądź, w godzinę po powrocie łódki – oprócz ludzi pełniących straż na przodzie okrętu, – wszyscy, załoga, hrabia d'Artigas, Serkō, kapitan Spade, spali w swych kajutach na statku nieruchomie stojącym w spokojnej przystani ujścia Neuzy.

ROZDZIAŁ IV

Statek Ebba.

Dopiero nazajutrz i to bez żadnego pośpiechu zaczęto się przygotowywać do odjazdu. Z nadbrzeża New-Berne można było dostrzec, jak po umyciu pokładu załoga wyjmowała z futerałów żagle pod kierunkiem starszego marynarza Effrondata, wydobywała liny i wyciągała łodzie, szykując się do drogi.

O ósmej rano na pokładzie nie było jeszcze hrabiego d'Artigas. Jego towarzysz, inżynier Serkō, – tak nazywano go na statku, również był nieobecny. Tylko kapitan Spade wydawał marynarzom rozkazy, świadczące o natychmiastowym odjeździe.

Ebba była jachtem doskonale przystosowanym do szybkiej jazdy, pomimo że nie brała nigdy udziału w konkursach rozgrywanych w Ameryce Północnej lub Anglii. Wysokie maszty, znaczna powierzchnia żagli, krzyżowanie rei, zanurzenie, zapewniające mu do stateczną równowagę nawet przy rozwinięciu wszystkich żagli, wysmukłe kształty, wszystko wskazywało, że to okręt o niezmiernej szybkości, zdolny do stawienia czoła największym burzom.

W istocie przy odpowiednim wietrze Ebba rozwinąć mogła szybkość dwunastu mil na godzinę.

Wprawdzie żaglowce zawsze są zależne od zmian atmosferycznych. Skoro prądy powietrzne ustana, muszą zaniechać podróży. Toteż, jakkolwiek pod względem zalet morskich przewyższają parowce, nie mają tej swobody działania, co te ostatnie.

Wziąwszy to pod uwagę, najlepszym okrętem okazałby się statek poruszany jednocześnie żaglami i śrubą. Nie był to widać pogląd hrabiego d'Artigas, skoro zadawała się swym żaglowcem w wycieczkach morskich nawet poza Atlantyck.

Tego to rana wiatr dął od zachodu. Ebba zatem mogła opuścić przystań Neuzy, ażeby dostać się poprzez Pamplico-Sound do jednej z cieśnin łączących jezioro z oceanem.

W dwie godziny później Ebba kołysała się jeszcze na kotwicy, której łańcuch napręzał się w miarę odpływu morza. Statek obracając się zwolna pod wpływem odpływu, skierował się przednią częścią ku ujściu Neuzy. Boja, pływająca dnia poprzedniego po lewej stronie okrętu, musiała być usunięta podczas nocy, gdyż nie widać jej było wcale.

Nagle rozległ się wystrzał działa na odległość mili. Odpowiedziano mu kilku wystrzałami z armat, znajdujących się na długim łańcuchu wysp, okalających wybrzeże.

W tej chwili hrabia d'Artigas i inżynier Serkō zjawili się na pomoście.

Kapitan Spade, przypadłszy do nich, zwrócił ich uwagę na odgłos strzału.

- Spodziewaliśmy się tego – odrzekł inżynier Serkō, wzruszając lekko ramionami.
- Znaczy to, że w Healthful-House wiedzą już o porwaniu – dodał kapitan Spade.
- Zapewne – odparł inżynier Serkō – a wystrzały oznaczają rozkaz zamknięcia wyjść.
- Co nas to może obchodzić? – rzekł spokojnie hrabia d'Artigas.
- Nic zupełnie – odpowiedział inżynier.

Kapitan Spade nie mylił się. W Healthful-House zauważono zniknięcie Tomasza Roch i jego dozorczy.

Lekarz, zwykle w rannych godzinach odwiedzający pawilon 17, znalazł pokój pusty. Zawiadomiony o tem dyrektor kazał przeszukać wnętrze parku. Poszukiwania stwierdziły, że aczkolwiek furtka w murze była zamknięta na klucz, klucza nie było i rygiel był odsunięty.

Nie ulegało wątpliwości, że porwanie zostało dokonane przez tę furtkę w nocy. Ale kto mógł się tego dopuścić? Było to niezgłębioną tajemnicą. Wiedziano tylko, że wieczorem około pół do ósmej jeden z lekarzy był wezwany do Tomasza Roch, który uległ silniejszemu niż zwykle atakowi. Po udzieleniu mu skutecznej pomocy lekarz, widząc, że chory wpadł w stan odrętwienia, opuścił go, odprowadzony do bocznej alei przez Gaydona.

Co później zaszło?.. nie wiedziano.

O wypadku zatelegrafowano do New Berne, a stąd do Raleigh. Naczelnik stanu Karoliny Północnej telegraficznie wydał rozkaz, ażeby nie wypuszczano z Pamplico-Sound ani jednego okrętu bez szczegółowego zrewidowania, i równocześnie wysłał drugi telegram na statek Falcon, polecając mu wykonanie tego zlecenia. Nie omieszkało również wydać najsurowszych rozporządzeń dla wszystkich miast i wsi okolicznych.

Na skutek tych rozkazów hrabia d'Artigas mógł być widzieć o dwie mile na wschód od ujścia, jak statek Falcon przygotowywał się do odjazdu. Ponieważ jacht był gotów, mógł zatem bez obawy natychmiastowego pościgu, płynąć co najmniej godzinę.

– Czy należy podnieść kotwicę? – spytał kapitan Spade.

– Tak, gdyż wiatr sprzyja, nie spieszcie się jednak – odrzekł hrabia.

– Co prawda – dodał inżynier Serkō – to wszystkie przesmyki Pamplico-Sound muszą być pilnowane i żaden okręt nie wydobędzie się na pełne morze przed odwiedzinami gentlemanów zarówno ciekawych jak nie dyskretnych.

– W każdym razie ruszajmy – rozkazał hrabia d'Artigas. – Skoro oficer krążownika lub urzędnik celny dokonają rewizji na Ebbie, będziemy już wolni od postoju i dziwiłbym się bardzo, gdyby nas nie przepuszczono.

– I po przeproszeniu stokrotnem nie życzo nam pomyślnej podróży i prędkiego powrotu! – dokończył inżynier Serkō, śmiejąc się przeciągle.

Tymczasem w New Berne zastanowiono się, czy Tomasz Roch i dozorca uciekli, czy też zostali porwani. Co do ucieczki, to ta nie byłaby możliwa bez współudziału Gaydona. Że zaś dyrektor i cały zarząd bezwzględnie mu ufali, przeto o ucieczce nie mogło być mowy.

Pozostawało tylko porwanie, fakt ten zaś wywarł silne wrażenie na wszystkich mieszkańcach New-Berne. Jakto, wynalazca francuski, tak pilnie strzeżony, miałby zniknąć a wraz z nim tajemnica pocisku, której posiąść nikt nie był w stanie?... Wszak pociągnie to za sobą oplakane skutki!... Wynalazek tak wielkiej doniosłości miałby być stracony dla Ameryki?...

Jeżeli jakiegokolwiek inne państwo dopuściło się tego zamachu, czyż nie potrafi wydobyc z Tomasza Roch tego, czego nie potrafił rząd amerykański? Zresztą czy można nawet przypuścić, że zwykły śmiertelnik byłby się odważył na takie przedsięwzięcie!

To też rozporządzenia były słane do wszystkich hrabstw Karoliny Północnej. Nadzorowi uległy wszystkie drogi, koleje żelazne, mieszkania miejskie i okoliczne. Wybrzeże morskie było zamknięte od Wilmington do Norfolku. Każdy okręt podlegał ścisłej rewizji oficerów i urzędników, i miał być zatrzymany w razie najmniejszej wątpliwości. I nie tylko Falcon przygotowywał się do swej czynności, lecz i inne parowce, stojące w rezerwie w Pamplico-Sound miały popłynąć we wszystkich kierunkach, aby przetrząsnąć od góry do spodu wszystkie handlowe okręty, statki spacerowe i łodzie rybackie.

Wszelako statek Ebba przygotowywał się do podniesienia kotwicy. Hrabia d'Artigas jakby nie zwracał wcale uwagi ani na dane rozporządzenia, ani na to, na co się narażał w razie, gdyby znaleziono na jego statku Tomasza Roch i jego dozorcę.

Okolo dziewiętej ostatnie przygotowania były skończone. Załoga statku zaczęła podnosić kotwicę. Łańcuch wznosił się poprzez otwór na przodzie statku i w chwili, gdy kotwica stanęła prostopadle, rozwinięto szybko żagle.

Kilka chwil później Ebba z rozwiniętymi swemi dwoma trójkątnymi żaglami, wielkim żaglem i szczytowemi, skierowała się na wschód, aby przepłynąć wzdłuż lewego wybrzeża Neuzy.

O dwadzieścia pięć kilometrów od New Berne ujście rzeki zawraca nagle i na przestrzeni prawie równej rozszerzając się, płynie w kierunku północno-zachodnim. Po przepłynięciu przed Croatan i Havelock Ebba dotarła do zakrętu i posunęła się na północ, trzymając się lewego wybrzeża. O jedenastej godzinie, nie spotkawszy ani krążownika ani parowców, dostała się do krańca wyspy Sivan, poza którą zaczyna się Pamplico-Sound.

Wodna ta powierzchnia, liczy sto kilometrów od wyspy Sipan do wyspy Roadoke. Od strony morza ciągnie się łańcuch długich i wąskich wysp, jak gdyby tyleż tam naturalnych, ciągnących się od południa i północy, od przylądka Look-out do przylądka Hatteras, a od tego ostatniego do przylądka Henri, na wysokość miasta Norfolk, położonego w stanie Wirginji, sąsiadującym z Karoliną Północną.

Pamplico-Sound jest otoczony mnóstwem latarni, rozmieszczonych po wyspach i wysepkach, ażeby umożliwić żeglugę w nocy. Jest to wielkie ułatwienie dla okrętów, chcących się schronić przed burzliwymi falami Atlantyku, a pewnych, że znajdą tam bezpieczny postój.

Kilka przesmyków łączy Pamplico-Sound z oceanem Atlantyckim. Nieco zdala od wyspy Sivan znajduje się przesmyk Ocracoke, za nim Hatteras, następnie zaś idą trzy inne: Logger-Head, New-inlet i Oregon.

Wskutek tego Ebba musiała przepłynąć przesmyk Ocracoke, o ile nie chciała zwinąć żagli.

Wprawdzie Falcon pilnował wtedy tej części Pamplico-Sound'u, przetrząsając zbierające się do wypłynięcia na pełne morze statki handlowe i łodzie rybackie. O tej właśnie godzinie, stosownie do danych rozporządzeń, wszystkie przesmyki były strzeżone przez rządowe okręty, nie mówiąc już o baterjach znajdujących się na wybrzeżu.

Dotarwszy do Pamplico-Sound, przez Ocrako-inlet, Ebba płynęła sobie z całą swobodą spacerowego jachtu na rannej wycieczce, nie unikając, ani też zbliżając się do parowców, krążących po jeziorze. W ten sposób starek dążył ku cieśninie Hatteras, przez którą hrabia d'Artigas wydobyć się chciał na pełne morze.

Dotychczas statek Ebba nie był zaczepiony, ani przez urzędników celnych, ani przez oficerów krążownika, pomimo że nie ukrywał się wcale. Czyż bowiem byłby się mógł ukryć?

A zatem może władze chciały mu oszczędzić niepokojących odwiedzin... Być może, iż stanowisko hrabiego d'Artigas nie pozwalało przeszkadzać jego żegludze bodaj przez jedną godzinę. – Trudno byłoby wszelako tak sądzić wobec faktu, że jakkolwiek uważano go za nieznajomego, prowadzącego tryb życia niezwykle wystawny, nikt nie wiedział, kim był, skąd przybywał i dokąd dążył.

W każdym razie statek płynął sobie swobodnie po Pamplico-Sound. Jego flaga czerwona, ozdobiona w rogu półksiężycem złotym, powiewała na maszcie.

Hrabia d'Artigas siedział wtył przechylony na jednym z trzcinowych foteli, używanych zwykle na spacerowych statkach, i rozmawiał z inżynierem Serkō i kapitanem Spade.

– Nie śpieszą się jakoś panowie oficerowie rządowej marynarki, aby nas powitać – zauważył inżynier Serkō.

– Niech przyjdą, kiedy zechcą – odpowiedział hrabia z największą obojętnością.

– Zapewne czekają na nas u wejścia do cieśniny Hatteras – dodał kapitan Spade.

– Niech czekają – zakończył bogaty właściciel jachtu, powróciwszy do swej zwykłej mu flegmatycznej postawy. Słowa kapitana Spade musiały się sprawdzić, gdyż widoczne było, że Ebba kierowała się ku wskazanej cieśninie. O ile więc Falcon nie zbliży się do niej po drodze, nie omieszka tego uczynić, skoro stanie w przesmyku.

Zresztą Ebba nie unikała wcale kontroli. Zapewne Tomasz Roch i dozorca byli tak dobrze ukryci, iż nie obawiano się oficerów ani urzędników celnych.

Tymczasem bytność nieznanego w Healthful-House zwróciła na niego uwagę. Oczywiście, dyrektor nie mógł domyślić się, jakie pobudki skłoniły go do tych odwiedzin. Gdy jednak w kilka godzin po opuszczeniu przez niego zakładu, chory i dozorca zostali porwani, pomimo że nie odwiedzał nikt pawilonu 17 od tego czasu, zarząd zaczął podejrzewać tę zagadkową osobistość. Czyż bowiem towarzysz hrabiego po dokładnym rozpatrzeniu miejscowości nie mógł odsunąć rygla, zabrać klucza i nocą dostać się do parku, a stąd z niewielką trudnością porwać obu mężczyzn, zważywszy, że Ebba znajdowała się tak niedaleko od muru parku.

Podejrzenia te wzrosły jeszcze, gdy ujrano statek opuszczający ujście Neuzy i kierujący się ku przesmykowi, łączącemu rzekę z Pamplico-Sound.

To też władze z New-Berne rozkazały Falconowi i łodziom parowym celnym podążyć za Ebbą i poddać ten statek najściślejszej rewizji, nie opuszczając nawet najmniejszej części kajut, budek, zakamarków i spodu okrętu, i nie wypuszczać go dopóki nie osiągną pewności, iż Tomasza Roch i dozorca niema na statku.

Hrabia d'Artigas nie domyślał się tego zapewne, że rozciągnięto nad nim tak baczna opiekę, ale nawet gdyby o niej wiedział, jego duma i wyniosłość nie pozwoliłyby mu zastanawiać się nad tem. Około trzeciej po południu statek, oddalony o milę od Hatteras-inlet, obrał taką drogę, ażeby przepłynąć cieśninę pośrodku.

Falcon zaś, zrewidowawszy kilka łodzi rybackich, zatrzymał się u wejścia do przesmyku. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Ebba, nie miała zamiaru wymknąć się niepostrzeżona, lub przyśpieszyć biegu, ażeby ominąć prawa, którym podlegały wszystkie okręty, płynące po Pamplico-Sound. Czyż prosty ten żaglowiec mógł iść w zawody ze statkiem wojennym, który zmusiłby go do posłuszeństwa jednym lub dwoma wystrzałami?

Jakoż w tej chwili łódź z dwoma oficerami i dziesiątkiem marynarzy odpłynęła od krążownika, kierując wiosłami w ten sposób, ażeby przeciąć drogę Ebbie.

Hrabia d'Artigas z miejsca, które zajmował w tyle statku, obojętnie patrzył na ten manewr, paląc hawańskie cygaro.

Skoro łódź zbliżyła się na pół węzła, jeden z marynarzy wstał i rozwinął flagę.

– Sygnał zatrzymania się – rzekł inżynier Serkö.

– Istotnie – odparł hrabia d'Artigas.

– Musimy się zatrzymać...

– Zatrzymajmy się.

Kapitan Spade wydał stosowne rozporządzenie. Trójkątne żagle, maszty sztabowe i wielki żagiel ustawione zostały wpoprzek i zwinięte.

Bieg statku stał się wolniejszy, wreszcie ustał zupełnie, poddając się tylko działaniu odpływu.

Po kilku uderzeniach wiosłami łódź Falconu zbliżyła się do Ebby. Bosak, to jest drąg o haku prostym i drugim krzywym, zaczepił ją o sznurową drabinkę wielkiego masztu. Rozwinięto drabinę u wejścia statku, po której dwu oficerów i ośmiu marynarzy weszło na pokład, dwaj zaś zostali w łodzi.

Załoga jachtu ustawiła się w szeregu na przedniej wyniosłości statku.

Starszy oficer – porucznik marynarki zbliżył się do właściciela Ebby, który powstał ze swego miejsca.

– Czy jacht ten należy do hrabiego d’Artigas, z którym mam zaszczyt mówić? – rzekł oficer.

– Tak, panie.

– Mieni się?

– Ebba.

– Dowodzi nim?

– Kapitan Spade.

– Jakiej narodowości?

– Indo-malajskiej.

Oficer spojrział na flagę statku; hrabia d’Artigas dodał:

– Czy mogę wiedzieć, czemu mam zawdzięczać odwiedziny pana na statku?

– Otrzymałem rozkaz – rzekł oficer – poddać rewizji wszystkie statki, znajdujące się w tej chwili w Pamplico-Sound lub mające zamiar je opuścić.

Nie kładł jednak nacisku, że stosowało się to w szczególności do statku Ebby.

– Pan zapewne, panie hrabio, nie będzie się temu sprzeciwiał..

– Bynajmniej, panie – odpowiedział Hrabia d’Artigas. – statek mój jest do pańskiego rozporządzenia od szczytu masztów do spodu okrętu. Czy mogę się tylko spytać, dlaczego statki, znajdujące się na Pamplico-Sound, są dzisiaj poddane rewizji?...

– Nie mam żadnego powodu do ukrywania przed panem, panie hrabio, celu mego przybycia – odrzekł oficer. – Rząd Karoliny Północnej został powiadomiony o porwaniu dwu osobników, przebywających w Healthful-House; mamy rozkaz sprawdzenia, czy nie znajdują się na którymś statku.

– Czy podobna? – rzekł hrabia d’Artigas, udając zdziwienie. – Któż to jest?

– Wynałazca, dotknięty obłędem i jego dozorca padli ofiarą tego zamachu.

– Dotknięty obłędem! Czy przypadkiem nie chodzi to o Tomasza Roch?

– O niego samego.

– O tego Tomasza Roch, którego wczoraj odwiedzałem... i któremu zadawałem pytania w obecności dyrektora... który uległ silnemu atakowi w chwili, gdy opuszczaliśmy zakład, kapitan Spade i ja?

Oficer uważnie spoglądał na nieznanego, chcąc się upewnić, czy nie zdradzi się czemkolwiek.

– To nie do uwierzenia! – dodał hrabia d’Artigas, mówiąc tak, jak gdyby pierwszy raz słyszał o porwaniu.

– Panie – ciągnął dalej – rozumiem dobrze, że zarząd zakładu musi być zaniepokojony zniknięciem osobistości tej miary co Tomasz Roch, i pochwalam rozporządzenie dane w tym względzie. Uważam za rzecz zbyteczną upewnić pana, że ani francuski wynalazca, ani jego dozorca nie znajdują się na moim statku. Zresztą, przekona się pan o tem, przeszukawszy statek z całą starannością. Kapitanie Spade, zechciej towarzyszyć panom.

Po tych słowach hrabia d’Artigas, skłoniwszy się chłodno oficerowi, usiadł w fotelu i zapalił cygaro.

Dwaj oficerowie i ośmiu marynarzy rozpoczęli natychmiast poszukiwania.

Najpierw zeszli do salonu, znajdującego się w tyle statku. Był on wytwornie urządzony, o ścianach z cennego drzewa, o wykwintnych meblach, obiciach, dywanach i dziełach sztuki.

Nie potrzebujemy dodawać, że salon ten i przylegające kajuty, jak również pokój hrabiego d'Artigas, przeszukane były ze sprawnością najwytrawniejszych agentów policji. Kapitan Spade zezwalał na wszystko, nie chcąc budzić swym oporem najmniejszych podejrzeń.

Po obejrzeniu tylnej części, przeszli do sali jadalnej, również bogato ozdobionej. Przeszukano następnie pokoje służby, kuchnię i kajuty kapitana Spade i starszego marynarza, poczem pomieszczenie marynarzy.

Pozostawał spód okrętu i rozmaitego rodzaju kryjówek. To też po otwarciu zasuw trzeba było zapalić dwie latarnie dla ułatwienia rewizji.

Na spodzie okrętu znajdowały się tylko skrzynie z wodą, prowianty różnego rodzaju, baryłki z winem, oksefty ze spirytusem, beczki z wódką zbożową i winną, z piwem, zapas węgla, wszystko w większej ilości, jak gdyby jacht miał na widoku dłuższą podróż. Marynarze amerykańscy oglądali puste miejsca między ładunkami, oglądali nawet wewnętrzną ścianę z desek, dostali się pod spód okrętu, gdzie znajduje się oparcie dla masztu głównego, wreszcie przetrząsali pakunki i worki... Nie żalowali trudu, lecz napróżno.

Stawało się rzeczą oczywistą, że posadzono niesłusznie hrabiego d'Artigas o współudział w porwaniu Tomasza Roch i dozorczy.

Po dwu godzinach daremnie straconych oficerowie i marynarze Falconu powrócili o pół do szóstej na pokład statku, przekonawszy się naocznie, że ani Tomasza Roch ani dozorczy nie było na statku Ebba. Obejrzeliby jeszcze zewnętrzną stronę statku, wyniosłość znajdującą się na pomoście i łódzie, stwierdziwszy jeszcze raz, że popełniono pomyłkę, podejrzewając hrabiego d'Artigas.

Dwaj oficerowie zbliżyli się do hrabiego, ażeby się z nim pożegnać.

– Pan nam wybaczy, panie hrabio, że ośmieliliśmy się go niepokoić – rzekł porucznik.

– Spełniłście tylko, panowie, swój obowiązek, stosując się do danego rozporządzenia...

– Uważaliśmy to zresztą za czczą formalność – dodał oficer.

Hrabia d'Artigas lekkim skłonieniem głowy życzliwie niby przyjął odpowiedź.

– Mówiłem wam, panowie, że nie brałem udziału w porwaniu.

– Nie wątpimy o tem, panie hrabio, i nie pozostaje nam nic innego, jeno powrócić. do naszego statku.

– Proszę bardzo... – Czy statek Ebba może już przepłynąć swobodnie cieśninę?

– Oczywiście.

– Dowidzenia, panowie, dowidzenia, gdyż jestem częstym gościem na tem wybrzeżu i nie omieszkam wkrótce tu powrócić. Mam nadzieję, że po powrocie dowiem się, kto był sprawcą tego zamachu i że zastanę Tomasza Roch w Healthful-House. Tego życzyliby należało nie tylko w interesie Stanów Zjednoczonych, lecz i całej ludzkości.

Po tych słowach dwaj oficerowie skłonili się grzecznie, hrabia d'Artigas zaś odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

Kapitan Spade odprowadził ich do wyjścia, skąd udali się na łódź, ażeby dopłynąć do statku Falcon, oddalonego o dwa węzły.

Na znak dany przez hrabiego d'Artigas kapitan Spade zajął się przygotowaniem do podróży. Wiatr się wzmógł, więc Ebba szybko zbliżyła się ku cieśninie Hatteras.

Po upływie półgodziny jacht wypłynął na szerokie morze, kierując się na północo-wschód.

Ale, jak to zwykle bywa, wiatr o kilka mil od wybrzeża stracił na sile, tak iż po godzinie Ebba z opuszczonemi żaglami i beczynnym sterem stanęła na powierzchni morza.

Zdawało się więc, że statek został unieruchomiony na całą noc.

Kapitan Spade tymczasem stał na przedzie okrętu, nie przestając patrzeć to na lewo, to na prawo, jak gdyby szukał oczyma jakiegoś przedmiotu, pływającego w tych stronach.

I nagle zawołał donośnym głosem:

– Zwinąć żagle na maszty!

Na ten rozkaz marynarze popuścili liny, i opuszczone żagle zostały skrócone na drągach, choć nie przykryto ich futerałami.

Czy hrabia d'Artigas miał doczekać się świtu na tem samem miejscu i z pierwszym rannym powiewem ruszyć dalej? W takim razie nie powinien był zwinąć żagli, które ułatwiłyby dalszą drogę.

Łódź spuszczo na morze. Kapitan Spade wszedł do niej wraz z marynarzem, który kierował ją do przedmiotu pływającego na falach o dziesiątek sążni od lewego burtu okrętu.

Przedmiotem tym była mała boja, podobna do tej, która pływała po wodach rzeki Neuzy podczas gdy Ebba stała w pobliżu Healthful-House.

Dotarwszy do boi, schwycili linę uwiązaną do niej i łódź zawróciła, kierując się ku przedniej stronie okrętu.

Wtedy starszy marynarz rozkazał rzucić linę ze statku, którą związano z liną umocowaną do boi, poczem kapitan Spade i marynarz wrócili na pokład statku, łódka zaś została wciągnięta za nimi.

Prawie w tej samej chwili lina wyprężyla się, i Ebba, ze zwiniętymi żaglami popłynęła na wschód z szybkością co najmniej dziesięciu mil.

Noc była ciemna; ogień latarni wybrzeża amerykańskiego znikły niebawem w mgłach horyzontu.

ROZDZIAŁ V

Gdzie jestem? (Dziennik inżyniera Simona Hart.)

Gdzie jestem?... Co się stało od czasu tego nagłego napadu, którego padłem ofiarą o kilka kroków od pawilonu?...

Rozstawszy się z doktorem, podążyłem do siebie, ażeby czuwać nad Tomaszem Roch, gdy kilku ludzi napadło na mnie i rzuciło na ziemię... Co za jedni? Nie mogłem im się przyjrzeć, mając opaskę na oczach... Nie mogłem wołać o pomoc, mając zawiązane usta... Nie mogłem się opierać, skrępowali mi bowiem ręce i nogi... Po jakimś czasie uczułem, że unieśli mnie i przenieśli na odległość jakichś stu kroków... następnie, że mnie wciągano... poczem spuszczano... ze mnie złożono...

Gdzie?... gdzie?...

A co się stało z Tomaszem Roch?... Prawdopodobnie chodziło tu bardziej o niego, niż o mnie. Wszak dla wszystkich byłem tylko dozorcą Gaydonem, nie zaś inżynierem Simonem Hart, którego stanowiska i narodowości nie domyślano się nawet; nacóż więc mianoby zawładnąć prostym dozorcą szpitalnym?

Nie ulega wątpliwości, że chodziło o wynalazcę francuskiego. Jeżeli porwali go z Healthful-House, to zapewne w nadziei odkrycia jego tajemnicy.

Rozumuję tak, jak gdybym był pewien, że Tomasz Roch znikł wraz ze mną... Czy tak jest istotnie?... Tak... tak być musi... tak jest... nie mogę wątpić o tem. – Nie znajduję się w rękach złoczyńców, którzy mieliby zamiar mnie ograbić... Wzięliby się inaczej do rzeczy... Po ubezwładnieniu mnie i rzuceniu w kąć ogrodu pomiędzy krzaki... po zabraniu Tomasza Rocha... nie byłoby mnie zamknęli tu... gdzie obecnie się znajduję.

Gdzie?... Jest to pytanie, do którego ciągle powracam, nie mogąc go rozwiązać.

Bądź co bądź, wplątano mnie w jakąś nadzwyczajną przygodę, która się zakończy... w jaki sposób, nie wiem... i nie śmiem nawet pomyśleć o tem. W każdym razie mam zamiar zapamiętać, minuta po minucie, najdrobniejsze okoliczności tego zdarzenia, ażeby, o ile to będzie możliwe, przelać na papier codzienne moje wrażenia. – Kto wie, co mnie czeka w przyszłości, i czy nie będę mógł odkryć w nowych warunkach, w jakich się znalazłem, tajemnicy Tomasza Roch?... Trzeba, aby świat o niej się dowiedział, o ile wolność odzyskam, jak również, kto był sprawcą czy sprawcami tego zbrodniczego zamachu, mogącego pociągnąć za sobą niezwykle doniosłe następstwa!

Wracam ciągle do pytania: gdzie jestem? w nadziei, że przypadek mi odpowie.

Zacznijmy rzecz od początku.

Gdy mnie wyniesiono na rękach z Healthful-House, czułem, że mnie złożono, zresztą nie brutalnie, na ławkach łodzi, przechylającej się – zapewne łódki małego rozmiaru...

Po tem pierwszym przechyleniu nastąpiło drugie, – wydało mi się, że złożono drugą osobę. Czy mogłem wątpić, że był nią Tomasz Roch?... Nie potrzebowano go wiązać, ani krępować. Musiał być jeszcze w stanie odrętwienia, które wyklucza wszelki opór, wszelką świadomość zamachu na nim spełnionego. Przypuszczenie moje potwierdziła woń eteru, która przeniknęła moją opaskę. Otóż wczoraj doktor przed odejściem dał choremu kilka kropel eteru, pamiętam zaś, że z powodu gwałtownych ruchów chorego kilka kropel upadło na jego ubranie. Nic więc dziwnego, że woń ta, doleciawszy do mnie, wskazała mi na

obecność Tomasza Roch... Gdybym był przybył kilka minut później, porwanoby go beze mnie.

Myślę jednak, dlaczego temu hrabiemu d'Artigas przyszło do głowy, tak niefortunnie zresztą, odwiedzić Healthful-House? Gdyby Tomasz Roch nie był się z nim widział, nie uległby atakowi. Wszak to rozmowa o jego wynalazku wywołała ten niezwykły atak. Przedewszystkiem należy obwiniać dyrektora, że nie posłuchał ostrzeżeń moich... Gdyby się był z nimi liczył, nie potrzeba byłoby wzywać lekarza, drzwi pawilonu byłyby zamknięte i zamach nie byłby się udał...

Co zaś do korzyści, jaką porwanie Tomasza Roch przynieść może pojedynczemu osobnikowi, czy też jednemu z państw starego kontynentu, to nie warto nawet zastanawiać się nad tem. Jestem w zupełności przekonany, że jeżeli nie zdołałem odkryć tajemnicy przez piętnaście miesięcy, to nie dokona tego nikt obecnie, kiedy stan umysłowy mojego ziomka jest na drodze do ostatecznego obłędu, nawet w objawach dotąd zupełnie normalnych.

Słowem, nie chodzi tu w tej chwili o Tomasza Roch, lecz o mnie samego.

Wracam do swego opowiadania. Po dość silnem kołysaniu łódź poddała się kierunkowi wioseł. Płynęła nie dłużej nad minutę. Nastąpiło lekkie wstrząśnienie. Na pewno łódź, uderzywszy o bok statku, cofała się. Powstało zamieszanie. Mówiono, wydawano rozkazy, manewrowano łodzią... Mając zawiązane oczy i uszy, zaledwie mogłem rozróżnić niewyraźny pomruk głosów, trwający pięć do sześciu minut...

Jedyna myśl, która przemknęła mi przez głowę, była ta, że przeniosą mnie z łodzi na statek, że zamkną mnie na spodzie okrętu, dopóki statek nie wypłynie na pełne morze. Oczywiście, że dopóki statek będzie na Pamplico-Sound, ani Tomasz Roch ani jego dozorca nie znajdą się na pokładzie...

Istotnie uchwycono mnie za ramiona i za nogi. Miałem wrażenie, że zamiast podnosić, zsuwają mnie... Czy chcą mnie wrzucić do wody, aby się pozbyć niepotrzebnego świadka? Myśl ta przejęła mnie dreszczem od stóp do głowy. Instynktownie westchnąłem głęboko, jak gdybym już wkrótce przestać miał oddychać....

Ale nie! spuszczone mnie dość ostrożnie na podłogę, która wydawała mi się zimną jak metal. Położono mnie wzdłuż. Ku wielkiemu memu zdziwieniu odrzucono krępujące mnie więzy. Nie słyszałem kroków dokoła. Po chwili jakieś drzwi zatrzasnęły się za mną...

Otóż jestem... Gdzie?... A najpierw, czy jestem sam?... Odrywam opaskę od oczu i knebel od ust...

Mrok mnie otacza. Ani promyka jakiegokolwiek światła, nawet tego odbicia światła, które zachowuje źrenica w pokojach hermetycznie zamkniętych...

Wołam... wołam kilkakrotnie. – Żadnej odpowiedzi. Głos mój jest przygłuszony, jak gdyby odbijał się o przestrzeń nie przepuszczającą dźwięków...

Co więcej, powietrze, którem oddycham, jest gorące, ciężkie, zgęszczone, i płuca działają z coraz większą trudnością, niebawem zaś przestaną działać, o ile powietrze nie będzie odświeżone...

Wyciągani ręce i poznaję dotykiem, że jestem w pokoju o ścianach z żelaza, nie większym nad trzy lub cztery metry kubiczne. Prowadząc ręką po ścianach, stwierdzam, że połączone są nitami jak ściany okrętu.

Wydaje mi się, że na jednej ścianie natrafiłem na zarys drzwi, których zawiasy wystają na kilka centymetrów od muru. Drzwi te muszą się otwierać z zewnątrz do wewnątrz prawdopodobnie niemi zostałem wniesiony.

Przykładam ucho do drzwi, najmniejszego ruchu nie słyszę. Cisza jest równie absolutna jak mrok, – cisza dziwaczna, przerywana tylko odgłosem metalowej podłogi, przy poruszaniu. Nie dochodzą do mnie ani głuche odgłosy statku. ani ocieranie się nurtu, ani pluskanie fali.

Nie odczuwam również owego kołysania, któremu ulegał statek w przystani Neuzy, pod wpływem falistych ruchów morza.

Skądże jednak wiedzieć mogę, że miejsce mojego uwięzienia znajduje się na statku?... Czy mogę twierdzić, że jestem w przystani, pomimo że przewiezienie trwało zaledwie minutę?... Dlaczego bowiem łódź nie miałaby mnie odwiedzić w kierunku przeciwnym?... A w takim razie dlaczego miejsce mego pobytu nie miałoby się znajdować w głębi ziemi, w piwnicy?... Mógłbym wtedy wytłumaczyć sobie tę zupełną nieruchomość... Ale skądinąd te ściany metalowe, te blachy połączone nitami, to powietrze przesycone solą, – powietrze sui generis, tak zwykle we wnętrzu okrętów, a które znam tak dobrze...

Mniej więcej cztery godziny upłynęły od chwili mego uwięzienia. Zatem jest północ. Czy mam tu pozostać do rana?... Dobrze, że jadłem obiad o szóstej, stosownie do regulaminu Healthful-House'u. Głodny nie jestem, odczuwam raczej nieprzepartą chęć do snu. Mam wszakże nadzieję, że sen przewycięzę... Muszę mieć baczność na to, co się dzieje z zewnątrz. – Ale jakim sposobem? Ani światło, ani dźwięk nie przenika do tego blaszanego pudła... Cierpliwości! – Może jakikolwiek szmer doleci mych uszu... To też w słuch obracam się cały... A przytem, o ile nie znajdowałbym się pod ziemią, muszę zwrócić uwagę, czy jakikolwiek ruch, jakiegokolwiek kołysanie nie będzie dla mnie wskazówką. – Przypuściwszy, że statek nie podniósł jeszcze kotwicy, niebawem musi to uczynić... albo... nie rozumiałbym wcale, dlaczego nas porwano...

Nareszcie – – nie, to nie jest złudzenie... czuję lekkie kołysanie... więc nie jestem pod ziemią... choć kołysanie to jest dziwnie łagodne – bez najmniejszego wstrząśnienia... – Jest to raczej posuwanie się po powierzchni wód.

Rozważmy rzecz spokojnie. Jestem na jednym ze statków, stojących u ujścia Neuzy, który czekał na wynik porwania. Łodzią przywieźli mnie tutaj; ale, powtarzam, nie miałem wrażenia, ażeby mnie wciągano na statek. – Czyż mieli mnie wsunąć przez otwór boczny okrętu?... Mniejsza zresztą o to! Czy jestem na spodzie okrętu, czy nie, czuję, że płynę...

Zapewne odzyskam wolność niebawem, jak również i Tomasz Roch, o ile go zamknęli tak szczelnie jak mnie. Przez wolność rozumiem możliwość przechadzania się dowoli po statku. W każdym razie nie nastąpi to prędko, gdyż mogliby nas dostrzec. A zatem odetchniemy świeżem powietrzem dopiero wtedy, kiedy będziemy na pełnym morzu. Jeżeli to żaglowiec, będzie musiał czekać na pomyślny powiew, powiew, który nadciąga od strony wybrzeża przy wschodzie słońca i ułatwia żeglugę na Pamplico-Sound, Jeżeli zaś jest to parowiec...

Ale nie!... statek parowy wydziela z siebie wyziewy węgla, tłuszczów, opary z palenisk... Nie czuję zaś ich bynajmniej... A przytem ruchy śruby lub kół, drganie maszyn, ruchy tłoków... cośkolwiek odczućbym musiał...

Słowem najlepiej uzbroić się w cierpliwość. Dopiero jutro wydostanę się z tej dziury. Zresztą, jeżeli nie odzyskam wolności, w każdym razie nakarmią mnie. Z jakiego powodu mieliby mnie zagłodzić?... Wygodniej byłoby wrzucić mnie od razu do rzeki... Na pełnym morzu nie będą mieli obawiać się czego... Głos mój będzie bez skutku... Opór – zbyteczny, oskarżenie – tem bardziej zbyteczne!

Przytem, czem jestem dla sprawców zamachu?... Skromnym dozorcą Gaydonem bez znaczenia... o Tomasza Roch chodziło im tylko... Ja... byłem tylko dodatkiem... ponieważ w tej chwili wróciłem do pawilonu...

Bądź co bądź, wobec kogokolwiek się znajdę, i gdziekolwiek przebywać będę, postanawiam sobie nie wyjść z mojej roli dozorczy. Nikt nigdy, wiedzieć nie będzie, że pod postacią Gaydona ukrywa się inżynier Simon Hart. Stąd wypływają dwie korzyści: najpierw nie będą się strzegli biednego dozorczy, powtóre będę mógł odkryć niecny ten spisek i uczynić z tego użytek, o ile uda mi się uciec...

Myśl moja błędzić zaczyna!... Nie dojechałem jeszcze do miejsca swego przeznaczenia, a myślę już o ucieczce... Na to będę miał zawsze czas... Jak dotąd, najważniejszą rzeczą, aby nikt nie wiedział, kim jestem, a tego wiedzieć nie będą.

Tymczasem nie ulega wątpliwości, że płyniemy. Wracam jednak do pierwszej swej myśli. Nie! – statek, którym płyniemy, jakkolwiek nie jest parowym statkiem, nie jest wszelako żaglowcem. Pcha go jakaś potężna siła lokomocji. Jest to jednak ruch ciągły i prawidłowy, a raczej coś w rodzaju bezpośredniego wirowania, które się udziela śrubie lub innemu przyrządowi. Nie myślę się: statek porusza jakiś osobliwy mechanizm... ale jaki?...

Czy byłaby to jedna z tych turbin, o których mówią od niejakiego czasu, a które działają wewnątrz zanurzonej rury, zastępować mają śruby, spożytkowując lepiej opór wody i nadając statkowi większą szybkość?

Po upływie kilku godzin będę mógł sobie zdać sprawę z tego rodzaju żeglugi, dokonywanej się w środowisku zupełnie jednorodnym.

Zresztą, co też jest niezwykle; nie odczuwam wcale zwykłych ruchów okrętu. Czy zaś podobna, aby Pamplico-Sound było do tego stopnia spokojne? Wszak sam przypływ i odpływ wystarcza, żeby zmącić jego powierzchnię.

Wprawdzie, może w tej chwili fala jest unieruchomiona, przypominam bowiem sobie, że nad wieczorem powiew ustał. W każdym razie nie powinno to mieć znaczenia dla statku poruszanego mechanicznie, gdyż, jakkolwiek byłaby jego szybkość, zawsze podlega on kołysaniu, którego nie mogę zauważyć.

Oto jakimi myślami zaprzątniętą mam głowę! Pomimo nieprzepartej chęci do snu, pomimo że bezwład ogarnia mnie w tem dusznym powietrzu, postanowiłem czuwać. Będę czuwał do samego dnia, czyli do chwili, kiedy dotrą do tej ciemnicy promienie światła z zewnątrz. A być może, że nie wystarczy do tego otworzenie drzwi, być może, że światło ujrzę dopiero na pokładzie...

Opieram się o jeden z rogów, niema bowiem na czem usiąść. Powieki zaczynają opadać, czuję, że ogarnia mnie senność, więc zrywam się. Gniew mną miota, biję pięścią o ściany, wołam. – Naprózno kaleczę sobie ręce o nity blach, wołanie moje pozostaje bez skutku.

Tak!... to jest mnie niegodne. Obiecałem sobie zachowanie zimnej krwi, a oto zaraz z początku tracę władzę nad sobą i postępuję jak dziecko...

Nie ulega wątpliwości, że nieruchomość statku wskazuje na to, że nie wypłynął jeszcze na pełne morze. Czy miałby cofnąć się do ujścia Neuzy?... Nie, dlaczegożby miał zatrzymać się w hrabstwie?... Jeżeli porwano Tomasza Roch, to dlatego, by wywieźć go z obrębu Stanów Zjednoczonych, prawdopodobnie na jedną z oddalonych wysp oceanu Atlantyckiego, lub też do jakiej miejscowości starego kontynentu. A zatem nie możemy się znajdować u ujścia Neuzy... Jesteśmy w Pamplico-Sound, tylko panować musi zupełna cisza.

Gdy statek znajdzie się na pełnym morzu, nie będzie mógł uniknąć kołysania, które zawsze odczuwać się daje na statkach średniej wielkości, pomimo że niema wiatru. Chyba, że jesteśmy na krążowniku lub pancerniku, czego zresztą nie przypuszczam!

Czy się nie myślę... nie... istotnie... słyszę jakiś szelest... szelest kroków, zbliżają się do ściany, w której są drzwi... Zapewne ktoś z załogi... Kiedyż drzwi otworzą się?... Nasłuchuję... Ktoś rozmawia... słyszę głosy... Posługują się mową dla mnie obcą... Wołam... krzyczę... naprózno!

Nie pozostaje nic, tylko czekać, czekać! Powtarzam to słowo bez końca, tętni w mej głowie jak uderzenie dzwonu!

Spróbujmy obliczyć chwile minione.

Nie mogło przejść mniej niż cztery lub pięć godzin od czasu, jak statek wyruszył. Musi być już po północy. Niestety, wobec mroku, który mnie otacza, nie mogę tego sprawdzić na moim zegarku.

Otóż, jeżeli płyniemy około pięciu godzin, statek znajduje się już poza Pamplico-Sound, czy wydostał się przez Ocracoke-inlet czy też przez przesmyk Hatteras. Stąd wnioskuję, że musi znajdować się co najmniej o dobrą milę od wybrzeża. – A tymczasem nie odczuwam kołysania...

Tego wytłumaczyć sobie nie mogę... graniczy to z niepodobieństwem... Czyż miałbym się omylić?... Czy podlegam złudzeniu? Czyż nie jestem zamknięty na spodzie płynącego okrętu?

Upłynęła znowu godzina, i nagle drganie maszyny ustało... Zdaję sobie doskonale sprawę z nieruchomości statku. Czy dopłynął do celu podróży?... W takim razie może być tylko w jednym z portów wybrzeża na północ lub południe od Pamplico-Sound... Ale czyż podobna, żeby Tomasza Roch sprowadzono na ląd stały? Wszak o porwaniu dowiedzą się wkrótce władze amerykańskie i nie omieszkają zarządzić odpowiednich poszukiwań...

Zresztą, o ile statek zawinął do portu, słyszeć będę chrzęst łańcucha wysuwanego ze statku, a skoro zarzucą kotwicę, nastąpi wstrząśnienie... wstrząśnienie, którego oczekuję, które poznam od razu... które niebawem musi nastąpić...

Czekam... nasłuchuję...

Ponure, złowrogie milczenie panuje... do tego stopnia, iż pytam siebie, czy oprócz mnie znajduje się na tym statku jaka inna żywa istota?

Teraz czuję, że bezwład mnie ogarnia... Powietrze ciężkie... nie mam czem oddychać... Piersi moje przytłacza ciężar, od którego oswobodzić się nie mogę...

Już walczyć nie jestem w stanie... Jest to niepodobieństwem. – Musiałem rozciągnąć się pod ścianą, rozebrać się do połowy... Powieki opadają, wpadam w stan bezwładu, po którym nastąpi ciężki, nieprzeparty sen...

Ile czasu spałem?... Nie wiem... Czy jest dzień, czy noc?... Nie mógłbym odpowiedzieć. Lecz stwierdzam przedewszystkiem, że leżę mi oddychać. Płuca wdychają powietrze nieprzesiakinięte kwasem węglowym.

Czyżby odświeżono powietrze, kiedy spałem i otworzono drzwi? Czy ktoś wszedł do tego ciasnego więzienia?

Tak – mam tego dowód.

Ręka moja przypadkiem dotknęła się jakiegoś przedmiotu... jest to naczynie napełnione płynem o woni przyjemnej. Niosę je do ust spalonych, bo pragnienie męczy mnie do tego stopnia, że napiłbym się słonej wody.

Jest to piwo angielskie – i to dobrego gatunku ~ wypilem z kwartę... orzeźwiło mnie i pokrzepiło.

Ale, jeżeli nie skazano mnie na śmierć z pragnienia, to przypuszczam, że nie zechcą mnie zamorzyć głodem?

Nie... W kącie stoi koszyk, a w nim bochenek chleba i zimne mięso...

Jem – jem chciwie, siły powoli wracają...

Ostatecznie nie jestem tak opuszczony, jak się tego spodziewałem. Weszli do tej ciemnej dziury, przez drzwi otwarte przedostało się trochę tlenu, inaczej byłbym się udusił. Następnie postarali się o zaspokojenie mojego głodu i pragnienia...

Ileż czasu siedzieć będę w tem więzieniu? Czy mam liczyć dni, czy miesiące?

Przedewszystkiem nie mogę zdać sobie sprawy, ile czasu spałem, ani w przybliżeniu określić, która jest godzina. Nie zapomniałem nakręcić zegarka, ale to nie jest repetjer...

Spróbuję dotknąć wskazówek... Tak... dobrze... zdaje mi się, że mała wskazówka jest na ósemce... zapewne ósma rano...

Jestem pewny, że statek nie płynie. Niema najlżejszego wstrząśnienia, to znaczy, że maszyna nie jest w ruchu. Tymczasem godziny mijają, godziny nieskończone... Czy znowu myślą przyjść w nocy, ażeby odświeżyć powietrze mego więzienia i przynieść mi nowy zapas pożywienia?.. Tak, zechcą znów korzystać z mego snu...

Ale tym razem... czuwać będę... A nawet udam, że śpię... Ktokolwiek bądź wejdzie, potrafię go zmusić do odpowiedzi.

ROZDZIAŁ VI

Na pokładzie.

Nareszcie oddycham świeżym powietrzem... Wydostali mnie z tej dusznej klatki... jestem na pokładzie statku... Naokoło mnie ani śladu cieni,... linja horyzontu styka się z linią morza!

Na zachodzie, z tej strony, gdzie wybrzeże Ameryki Północnej ciągnie się na tysiące mil, ani śladu lądu.

W tej chwili promienie zachodzącego słońca spoczywają ukośnie na oceanie... Musi być około szóstej... tak, na moim zegarku jest szósta minut trzynaście.

Oto co zaszło w pamiętną noc 17 czerwca:

Czekałem, stosownie do mej zapowiedzi, aż drzwi mej klatki otworzą się. Nie wątpiłem, że był dzień... tymczasem godziny mijały, nikt się nie zjawiał. Z żywności nie pozostało nic. Zacząłem odczuwać głód, pragnienie bowiem zaspokoilem resztą piwa.

Zaraz po przebudzeniu uczułem pewne drganie statku, z czego wywnioskowałem, iż statek jest w drodze... prawdopodobnie wczoraj zatrzymał się w jednej z przystani osamotnionych wybrzeża, ponieważ nie odczułem wstrząśnienia, towarzyszącego zwykle postojowi w porcie.

Była szósta godzina, kiedy usłyszałem kroki za ścianą metalową. Czy wejdą?... Tak... zamek zgrzytnął, drzwi otworzyły się... Światło latarni rozproszyło mrok, w którym byłem pogrążony.

Zjawiło się dwóch ludzi, którym przypatrzeć się nie mogłem, gdyż schwyciwszy mnie za ramiona, zarzucili mi gruby kawałek płótna na głowę, tak że niepodobieństwem było dostrzec cośkolwiek.

Naco ta ostrożność?... Co uczynią ze mną?... Chciałem się wyrwać... Przytrzymali mnie silnie... Pytałem... nie dano mi żadnej odpowiedzi. Zamieniono między sobą kilka słów w mowie zgoła dla mnie niezrozumiałej i której nawet pochodzenia domyślić się nie mogłem.

Stanowczo nie liczono się wcale ze mną! Co prawda, to dlaczego miałoby się liczyć z tak marną istotą, jaką jest dozorca warjata? Nie jestem jednak pewny, czy miałoby więcej względów dla inżyniera Simona Hart.

Tym razem wszakże mnie nie skrupowano. Chodziło widocznie o to, ażeby nie uciekł, trzymano mnie więc silnie.

Po chwili uczułem, że mnie unoszą poprzez jakieś wąskie przejście. Usłyszałem odgłos metalowych schodów. Wreszcie ogarnęło mnie świeże powietrze, i swobodniej mogłem odetchnąć.

Postawiono mnie na podłodze tym razem nie metalowej; musiał to być pokład.

Uczułem się swobodny. Zrywam okrywające mnie płótno i zaczynam się rozglądać.

Jestem na pokładzie żaglowca płynącego szybko i pozostawiającego za sobą długą, białą brózdę.

Musiałem chwycić za linę, ażeby nie upaść, rażony blaskiem dnia po tym zupełnym czterdziestośmiogodzinnym mroku.

Na pokładzie uwija się z dziesięciu ludzi o szorstkim wyglądzie – typy różnorodne niewiadomego pochodzenia. Zresztą nie zwracają wcale na mnie uwagi.

Statek wydał mi się pojemności od dwustu pięćdziesięciu do trzystu tonn. Dość szeroki w bokach, opatrzone, mocnymi masztami i rozległymi żaglami, musi płynąć szybko przy sprzyjającym wietrze.

Wtyle przy sterze stoi człowiek o opalonej twarzy. Trzymając rękę na kole, kieruje statkiem wprawnie.

Chciałem przeczytać nazwę statku, wyglądającego na jacht spacerowy. Ale nie wiedziałem, czy jest wypisana na tablicy w tyle, czy też na płótnie z przodu statku.

Zbliżam się do jednego z marynarzy, pytając:

– Co to za statek?

Nie odpowiada mi, mam nawet wrażenie, iż mnie nie rozumie.

– Gdzie kapitan statku? – dodałem.

Żadnej odpowiedzi.

Przechodzę na przód statku.

Tu, nad windą wisi dzwon. Może na brzozi dzwonu znajdę nazwę jachtu?

Żadnego napisu niema.

Wracam ku tyłowi statku i zapytuję sternika o nazwę.

Spojrzał na mnie nieżyczliwie, wzruszył ramionami i podparł się mocno, ażeby skierować jacht na prawą stronę, chroniąc go od zbyt gwałtownego odchylenia.

Co się dzieje z Tomaszem Roch? Niema go na pokładzie... Gdzież jest?.. Nacóż porwanoby tylko dozorcę Gaydona? Nikt nie przypuszcza, iż jestem inżynierem Simonem Hart, a gdyby nawet tak było, nacóż przydałaby im się moja osoba?

Tomasz Roch musi być zamknięty w kajucie i oby cieszył się lepszymi względami niż jego eksdozorca!

Ale dlaczego do tej pory nie przyszło mi na myśl zauważyć, w jakich warunkach płynie statek?.. żagle są zwinięte... ani kawałka płótna nazewnątrz... wiatr przestał dąć... zrywające się powiewy od wschodu przeciwstawiają się biegowi, ponieważ płyniemy w tym kierunku... A tymczasem jacht sunie szybko, pochylając się trochę naprzód, podczas gdy dziób jego pruje fale, których grzbiet pokrywa się pianą.

Czyżby statek ten był parowcem?.. Nie...nie widać komina między wielkim masztem a masztem przednim... Czyż byłby to statek poruszany elektrycznością, posiadający albo baterię akumulatorów, albo ogniwa o znacznej sile, któreby działały na śrubę i wytwarzały tę niezwykłą szybkość?...

Doprawdy, nie mogę jej sobie wytłumaczyć w inny sposób. W każdym razie, ponieważ statek musi być popychany przez śrubę, wychyliwszy się, zobaczę jej działanie i przekonam się, jaki mechanizm wprawia ją w ruch.

Sternik pozwala mi się zbliżyć, obrzucając mnie ironicznym spojrzeniem.

Przechylał się i patrzył...

Ani śladu tego wrzenia, jakie wywołuje obrót śruby... Ciągnie się tylko równa, długa brózdka, jaka się tworzy zwykle za statkiem, popychanym potężnymi żaglami...

Jakiego więc rodzaju maszyna porusza ten statek z tak przedziwną szybkością? Powtarzam, wiatr nie sprzyja bynajmniej, morze faluje łagodnie...

A jednak muszę wiedzieć. Korzystam, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, i wracam na przednią część okrętu.

Doszedłszy do wejścia, prowadzącego do pomieszczenia załogi, dostrzegam człowieka, którego oblicze nie jest mi nieznane... Stoi oparty i patrzy na mnie, jak gdyby czekał, że przemówię...

Przypominam sobie... Jest to osobistość, która towarzyszyła hrabiemu d'Artigas podczas jego odwiedzin w Healthful-House. Tak – nie myślę się...

A więc to ten bogaty nieznajomy porwał Tomasza Roch, a ja znajduję się na pokładzie Ebby, na tym jachcie tak znanym na całym wschodnim wybrzeżu Ameryki!... Mniejsza o to! Mam prawo żądać objaśnień!... Ten człowiek musi mi odpowiedzieć! Przypominam sobie, że hrabia d'Artigas mówił z nim po angielsku. Zrozumie mnie i odpowie.

Zdawało mi się, że musi to być kapitan jachtu.

– Kapitanie – mówię – wszak to pana widziałem w Healthful-House? Czy pan mnie poznaje?

Kapitan patrzy na mnie w dalszym ciągu i nie daje żadnej odpowiedzi.

– Jestem dozorca Gaydon – ciągnę dalej – dozorca Tomasza Roch, chciałbym wiedzieć, dlaczego zostałem porwany i znajduję się na tym statku?

Kapitan przerywa mi ruchem, który zresztą nie stosuje się do mnie, ale do marynarzy, stojących na przedniej wyniosłości statku.

Marynarze przybiegają, chwytają mnie za ramiona i nie zważając na mój gniew, którego powstrzymać nie jestem w stanie, zmuszają mnie do zejścia schodami należącymi do załogi.

Schody te, to sztaby żelazne, prostopadle przymocowane do ściany. Prowadzą do sieni, w której po obu stronach są drzwi, łączące kajutę kapitana z pomieszczeniem dla załogi i innymi kajutami.

Czyż miałoby zaprowadzić mnie na nowo do ciemnicy na spodzie okrętu?

Zawracam na lewo, wchodzimy do kajuty oświetlonej okienkiem, w tej chwili otwartem, przez które wchodzi powietrze dość ostre. Umeblowanie kajuty składa się z łóżka okrętowego, ze stolika, fotela, umywalni i szafy.

Na stoliku – nakrycie. Pozostaje tylko zasiąść do jedzenia. Zręczny kuchcik układa na stoliku różne potrawy, poczem chce odejść. Korzystając z jego obecności, zaczynam mówić do niego.

Napróżno! milczy jak tamci. Jest to młody murzyn; więc może nie rozumie mojej mowy...

Gdy odszedł, zasiadłem głodny do jedzenia w nadziei, że może kiedyś usłyszę jakieś słowo ludzkie.

Jestem więźniem, ale tym razem w warunkach daleko dogodniejszych; przypuszczam, że nie zmieniają się aż do wylądowania.

Zaczynam znów rozmyślać. Więc to hrabia d'Artigas był sprawcą tego porwania! Nie ulega zatem wątpliwości, że Tomasz Roch przebywa na statku i że znajduje się obecnie w kajucie niemniej wygodnej od mojej.

Kim może być ta zagadkowa osobistość? Skąd pochodzi?... Czy zawładnąwszy Tomaszem Roch, za wszelką cenę chce zdobyć tajemnicę jego fulguratora? Prawdopodobnie. Muszę bardzo uważać, aby nie zdradzić swego istotnego nazwiska, inaczej na zawsze straciłbym możliwość wydostania się stąd.

Ileż tajemnic mnie otacza, ileż zagadek niewytłumaczonych do rozwiązania: pochodzenie tego d'Artigas, jego zamiary na przyszłość, kierunek, w którym zdąży statek, port, gdzie się zatrzyma... a również ten rodzaj żeglugi bez żagli i śruby a z szybkością co najmniej dziesięciu mil na godzinę!...

Nadszedł wreszcie wieczór. Przez okienko kajuty wnika powietrze daleko łagodniejsze, niż rano. Zamknąłem okienko zapomocą śruby, ktoś zaś zaryglował drzwi z zewnątrz. Nie pozostało mi nic innego nad spoczynek na łóżku okrętowym przy lekkim kołysaniu tej osobliwej Ebby, sunącej po falach Atlantyku.

Nazajutrz zerwałem się o świcie, ubrałem się i czekam.

Niebawem przyszła mi myśl do głowy, ażeby spróbować, czy drzwi są zamknięte.

Nie... wychodzę więc i żelaznymi schodami dostaję się na pokład.

W tyle okrętu, podczas gdy marynarze zajęci byli myciem statku, dwu ludzi rozmawiało między sobą. Jeden z nich był to znajomy mi kapitan, który dostrzegłszy mnie, ruchem głowy zwrócił uwagę towarzysza w moją stronę.

Towarzysza tego nie widziałem nigdy. Był to osobnik lat pięćdziesięciu, o brodzie i włosach czarnych, przetkanych gdzie niegdzie srebrnymi nitkami, o wyrazie twarzy ironicznym i sprytnym, o spojrzeniu bystrem, inteligentnym. Typ helleński, o czym zresztą przestałem wątpić, dowiedziawszy się, że nazywa się Serkō, inżynier Serkō, jak go tytułował kapitan.

Kapitan nazywa się Spade, nazwisko świadczące o pochodzeniu włoskiem. A zatem jeden Grek, jeden Włoch, załoga składająca się z różnorodnej mieszaniny, wreszcie statek o nazwie norweskiej... mieszanina wydaje mi się słusznie podejrzana.

A hrabia d'Artigas, ze swoim hiszpańskim nazwiskiem, typem zaś azjatyckim... skąd pochodzi?...

Kapitan Spade i inżynier Serkō rozmawiają pocichu. Pierwszy pilnuje sternika, który nie zwraca bynajmniej uwagi na szafkę z kompasem, stojącą przed nim. Zajęty jest raczej śledzeniem ruchów jednego z marynarzy, stojącego na przodzie, który mu wskazuje, czy ma kierować na prawo, czy na lewo.

Tomasz Roch jest przy rudlu... Patrzy wdał na tę bezmierną płaszczyznę wodną bez zarysu ziemi na horyzoncie... Dwaj marynarze, tuż przy nim, nie spuszczają go z oka. Po tym szalonym można się spodziewać wszystkiego, nawet, że gotów jest wskoczyć do morza.

Nie wiem, czy mi pozwolą zbliżyć się do dawnego towarzysza... Próbuję... Kapitan Spade i inżynier Serkō śledzą mnie.

Tomasz Roch nie zwraca na mnie uwagi. Jestem tuż przy nim... nie poznaje mnie... Jego oczy pełne blasku nie przestają wpatrywać się w przestrzeń. Wchłania pełną piersią ożywcze morskie powietrze i nurza się cały w promieniach słońca. Czy zdaje sobie sprawę ze zmiany, jaka go zaskoczyła?... Czy zapomniał już o Healthful-House, o swym pawilonie, o dozorczy Gaydonie? Prawdopodobnie. Przeszłość zatarła się w jego pamięci, żyje teraźniejszością.

Ale dla mnie jest on zawsze, nawet na pokładzie Ebby, na tem pełnym morzu, tym samym Tomaszem Roch, którego pilnowałem przez piętnaście miesięcy, którego stan umysłowy nie ulegnie zmianie na lepsze, o ile nie będą z nim rozmawiali o jego odkryciach. Hrabia d'Artigas wie o tem, przekonał się naocznie podczas swych odwiedzin w Healthful-House, i z pewnością liczy na to, że prędzej czy później zdobędzie tajemnicę wynalazcy. Ale co zamierza z nią uczynić?

– Tomaszu Roch... – rzekłem.

Spojrzał na mnie, jak gdyby uderzony moim głosem, ale po chwili odwrócił się żywo.

Biorę jego rękę, ściskam; wrywa ją gwałtownie, poczem oddala się, nie poznawszy mnie, i dąży ku tyłowi statku, gdzie znajdują się kapitan Spade i inżynier Serkō.

Czy odezwie się do nich, lub czy odpowie, jeżeli go pytać będą?

W tej właśnie chwili na jego twarzy zjawiał się błysk inteligencji; jego uwagę, o czym nie wątpię, zajmuje osobliwy bieg statku.

W istocie, spojrzął na maszty, których żagle są zwinięte, a pomimo to jacht płynie szybko po spokojnym morzu.

Tomasz Roch cofa się, wraca, wzdłuż okrętu lewą stroną, zatrzymuje się w miejscu, gdzie powinienby wznosić się komin, gdyby Ebba była parowcem, komin, z którego powinny wydobywać się kłęby czarnego dymu...

Rzecz, która wydała mi się osobliwą, była nią również dla Tomasza Roch. Nie może sobie wytłumaczyć tego, co jest istotnie nic do wytłumaczenia, i tak jak ja, wraca ku tyłowi okrętu, ażeby zobaczyć działalność śruby...

Po bokach jachtu płynie stado delfinów. Zwinne te zwierzęta nie dają się prześcignąć statkowi pomimo jego szybkości, przeciwnie, wyprzedzają go, podskakując, przewracając się, słowem igrając w wodzie z zadziwiającą zręcznością.

Tomasz Roch nie patrzy na nie. Zajęty swą myślą, nachyla się poza burtę...

Natychmiast kapitan Spade i inżynier Serkō zbliżywszy się do niego, przytrzymują go silnie, obawiając się, żeby nie wpadł do morza, poczem prowadzą go na pokład.

Zresztą uważam, z nabytego doświadczenia, że Tomasz Roch jest nadmiernie podniecony. Zawraca wkoło, gestykułuje, wymawia słowa bez związku.

Atak zbliża się widocznie... atak podobny do tego, któremu uległ podczas ostatniej nocy, spędzonej w Healthful-House, a którego następstwa były tak opłakane... Trzeba będzie go zabrać, odprowadzić do kajuty... być może wezwą nie, abym się nim zajął jak dawniej.

Tymczasem kapitan Spade i inżynier Serkō nie spuszczają go z oczu. Przypuszczam, że chcą zobaczyć, co uczyni.

Otóż Tomasz Roch idzie prosto do masztu, obejmuje go rękoma, stara się nim wstrząsnąć, pociągając za drabinę z lin, jak gdyby chciał go powalić...

Widząc, że próżne są jego wysiłki, opuszcza go, zmierzając do średniego masztu. Rozdrażnienie jego wzrasta. Krzyki towarzyszą słowom bez związku.

Nagle rzuca się na liny drabinki, idącej od wierzchołka masztu z lewej burty statku, czepiając się szczebli. Pytam siebie, czy nie zechce po nich dostać się do wierzchołka przedniego masztu.. O ile go nie zatrzymają, może upaść na pokład, lub przy silniejszym kołysaniu spaść w morze.

Na znak, dany przez kapitana Spade, przybiegają marynarze, biorą go wpół, nie mogąc oderwać jego zaciśniętych rąk od lin, do których się uczepił. Wiem, że podczas ataku siła jego staje się niepomiarowa, i ażeby go opanować, musiałem nieraz przywoływać do pomocy kilku ludzi.

Tym razem dwu marynarzy siłą swą pokonało nieszczęśliwego szaleńca. Leży na pokładzie, poskromiony ich mocną dłonią.

Zapewne sprowadzą go do kajuty i zatrzymają w niej, aż atak minie. Istotnie, słyszę rozkaz, wydany przez nową osobistość, której głos zwraca moją uwagę.

Odwracam się, poznaję go.

Jest to hrabia d'Artigas, tak samo ponury, wyniosły, jakim był w Healthful-House.

Zbliżam się do niego natychmiast. Muszę się nareszcie dowiedzieć...

– Jakim prawem... panie – spytałem.

– Prawem silniejszego! – odpowiedział, poczem podążył ku tyłowi okrętu, podczas gdy Tomasza Roch zabrano do kajuty...

ROZDZIAŁ VII

Dwa dni żeglugi.

Być może, że będę zmuszony okolicznościami do wyznania hrabiemu d'Artigas, iż jestem inżynierem Simonem Hart. Kto wie, czy nie będą się z nim bardziej liczyli, niż z dozorcą Gaydonem?... W każdym razie muszę się nad tem zastanowić. Tymczasem nie mogę się pozbyć myśli, że właściciel statku Ebba zawładnął wynalazcą francuskim w celu zapewnienia sobie posiadania fulguratora, za który żadne z państw nie chciało zapłacić żądanej sumy. O ile Tomasz Roch wyda tajemnicę, czy nie lepiej, żebym w dalszym ciągu pełnił przy nim czynność dozorczy, pielęgnując go, jak tego wymaga jego stan? Tak, powinienem wszystko widzieć i słyszeć... kto wie? mogę wreszcie dowiedzieć się tego, czego nie udało mi się dopiąć w Healthful-House!

Teraz jednak najciekawszą jest rzeczą: dokąd zdąży Ebba? i kim jest hrabia d'Artigas?

Na pierwsze pytanie będę mógł zapewne odpowiedzieć za kilka dni, biorąc pod uwagę nadzwyczajną szybkość tego fantastycznego jachtu, wprawionego w ruch mechanizmem, którego tajemnicę muszę zdobyć.

Co do drugiego pytania, wątpię, czy kiedykolwiek nań odpowiem.

Mojem zdaniem zagadkowy ten osobnik musi mieć ważny powód, dla którego ukrywa swe pochodzenie, i obawiam się, że wszelki ślad jego narodowości dawno jest zatarty. Co prawda mówi on biegle po angielsku, o czym mogłem się przekonać podczas jego bytności w pawilonie 17, – ale jego wymowa twarda i wibrująca różni się wielce od mowy ludów północy, zresztą wogóle od jakiegokolwiek mowy, którą dotąd słyszałem podczas swoich podróży na obu półkulach. Może najbardziej zbliża się do swoistego, twardego brzmienia narzeczy malajskich. Istotnie: jego twarz ogorzała, prawie oliwkowa, z odcieniem miedzianym, kędzierzawe włosy, czarne jak heban, oko głęboko osadzone, nieruchoma źrenica, z której tryska żar, wysoka postawa, barczyste plecy, wydatne muskuły, świadczące o sile fizycznej – wszystko to każe przypuszczać, że hrabia d'Artigas należy do jednej z ras dalekiego Wschodu.

Nazwisko i tytuł hrabiego d'Artigas muszą być zmyślone. Pomimo że jego jacht nosi nazwę norweską, hrabia nie jest bynajmniej pochodzenia skandynawskiego. Nie ma żadnej cechy ludów Europy Północnej, ani spokojnego wyrazu twarzy, ani włosów jasnych, ani łagodnego wejrzenia ich bładoniebieskich oczu.

Bądź co bądź, jeżeli człowiek ten porwał Tomasza Roch i mnie wraz z nim, to nie w żadnym szlachetnym celu.

Chciałbym wiedzieć, czy działa na własną rękę, czy też w imieniu jakiegoś obcego państwa?... Czy jest na tyle możny, aby móc korzystać z wynalazku Tomasza Roch?... Jest to trzecie pytanie, na które nie mam odpowiedzi... Wszystko to jest zagadką, którą może będę mógł rozwiązać, przypatrzwszy się bacznie temu, co się tu dzieć będzie przed moją ucieczką, o ile stanie się ona możliwą...

Ebba płynie wciąż w warunkach dla mnie niezrozumiałych... Wolno mi swobodnie chodzić po pokładzie, byleby nie przekroczył wejścia do pomieszczenia załogi.

W istocie, pewnego razu chciałem zbliżyć się do miejsca, w którym tkwi przedni maszt, gdyż stąd, schyliwszy się, mógłbym zobaczyć dziób okrętu, wrzynający się w wodę. Ale,

widać na rozkaz dany zgóry, marynarze zabronili mi przejścia, mówiąc twardym angielskim akcentem:

– Cofnij się... cofnij – pan nam przeszkadza w naszych czynnościach.

W jakich czynnościach? Wszak nic nie robią. Może przypuszczają, że chcę zbadać mechanizm wprawiający w ruch statek? Prawdopodobnie. Nawet dozorca szpitalny mógł być zdziwiony, że statek bez rozwiniętych żagli i bez śruby jest w stanie płynąć z taką szybkością. Słowem, dla tej czy dla innej przyczyny zabroniono mi zbliżyć się do przedniej części statku.

Około dziesiątej wiatr dać zaczyna, wiatr sprzyjający, bo północno-zachodni. Kapitan Spade wydaje odpowiednie rozkazy starszemu z marynarzy, który ze świstawką w ustach każe rozwinąć wszystkie żagle. Sprawniej nie działanoby nawet na statku wojennym.

Ebba nachyla się zlekka ku lewej stronie i szybkość jej zwiększa się znacznie. Motor wszakże nie przestał funkcjonować, żagle bowiem nie podołałyby tej szybkości, mogły tylko pomagać żegludze, dzięki sprzyjającemu powiewowi.

Pogodę mamy piękną, obłoki na zachodniej części nieba znikają, dosięgnąwszy zenitu, morze wspaniale wygląda w promieniach słonecznych.

Staram się, o ile to jest możliwe, obliczyć odległość, jaką przebyliśmy. Podróżowałem na morzu dość często, ażeby zdać sobie sprawę z szybkości statku. Mojem zdaniem Ebba przepływa dziesięć do jedenastu mil na godzinę. Płyne zaś ciągle w jednym kierunku, co łatwo sprawdzić mogę, spojrzawszy na szybkę z kompasem, umieszczoną przed sternikiem. Kilkakrotnie mogłem się przekonać, rzuciwszy okiem na busołę, że wskazówka stoi ciągle na wschodniej stronie, a dokładniej na wschód – południo-wschód.

W takich warunkach płyniemy po części oceanu Atlantyckiego, ograniczonej na zachodzie wybrzeżem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Teraz zadaję sobie pytanie, jakie wyspy, czy grupy wysp leżą po drodze do starego kontynentu.

Przez stan Karoliny Północnej przechodzi trzydziesty piąty równoleżnik. Jeżeli przedłużymy go ku wschodowi, powinien, o ile się nie mylę, przechodzić na wysokości Marokka. Ale po drodze spotyka archipelag Azorski o prawie trzy tysiące mil od Ameryki. Otóż, czy można przypuszczać, że Ebba ku niemu zdąży, że zatrzyma się w porcie jednej z wysp, stanowiących własność Portugalii? Nie, wydaje mi się to rzeczą nieprawdopodobną.

Zresztą przed wyspami Azorskimi, na trzydziestym piątym równoleżniku i w odległości tylko tysiąc dwustu kilometrów leżą wyspy Bermudzkie, należące do Anglii. Sadzę, iż możnaby raczej przypuszczać, że hrabia d'Artigas, o ile działa na korzyść jakiego państwa, czyni to raczej na korzyść Anglii. Co prawda, nie jest przesądzone, że hrabia działa na swoją rękę.

W ciągu tego dnia hrabia d'Artigas zjawiał się kilkakrotnie na tyle statku. Wydało mi się, że stąd bada różne strony horyzontu. Skoro dostrzeżga zdaleka żagiel lub dym, wpatruje się w nie długo przy pomocy doskonałej lornetki morskiej. Dodać muszę, iż nie raczył nawet zauważyć mojej obecności na pokładzie.

Od czasu do czasu kapitan Spade zbliża się do niego; zamieniają z sobą słów parę w języku, którego rozpoznać nie mogę.

Najchętniej jednak właściciel statku Ebba przestaje z inżynierem Serkō, z którym zdaje się być w zażyłych stosunkach. Inżynier Serkō jest więcej rozmowny, mniej opryskliwy, mniej zamknięty w sobie od swych towarzyszy. Właściwie co go trzyma na statku?... Czyż byłby on serdecznym przyjacielem hrabiego d'Artigas?... Czy podróżuje z nim wszędzie, dzieląc z nim tę zazdrości godną egzystencję bogatego gentlemana?... W każdym razie jest to jedyny człowiek, który mi okazuje nieco, jeżeli nie sympatji, to zainteresowania.

Tomasza Roch nie widać na pokładzie, musi być zamknięty w swej kajucie. Widać atak nie minął jeszcze.

Istotnie, około trzeciej po południu, hrabia d'Artigas, w chwili, gdy miał schodzić z pokładu, skinął na mnie.

Nie wiem, czego żąda ode mnie, wiem jednak, co mu mam powiedzieć.

– Czy ataki, którym podlega Tomasz Roch, trwają długo? – spytał po angielsku.

– Niekiedy do czterdziestu ośmiu godzin.

– Co należy wtedy stosować?

– Pozostawić go w spokoju, dopóki nie zaśnie. Po nocy przespanej atak mija, i Tomasz Roch wraca do swego zwykłego stanu nieświadomości.

– Dozorco Gaydon, o ile zajdzie potrzeba, będziesz go pielęgnował w dalszym ciągu...

– Pielęgnował?

– Tak... tymczasem na statku, dopóki nie przyjedziemy...

– Dokąd?...

– Tam, gdzie będziemy jutro po południu – odpowiada hrabia d'Artigas.

Jutro... pomyślałem. A zatem niema mowy o Afryce, ani, nawet o wyspach Azorskich?... Czyż więc sprawdziłoby się moje przypuszczenie co do wysp Bermudzkich?

Hrabia d'Artigas miał już schodzić, kiedy z kolei zwróciłem się do niego:

– Panie – rzekłem – muszę wiedzieć, mam prawo wiedzieć, dokąd zdążam i...

– Tu, dozorco Gaydon, nie masz żadnego prawa. Musisz ograniczyć się do odpowiadania, gdy zostaniesz zapytany.

– Protestuję...

– Protestuj – odpowiada mi ten hardy i wyniosły osobnik, obrzucając mnie złem spojrzeniem, poczem schodzi, pozostawiając mnie sam na sam z inżynierem Serkō.

– Na pana miejscu okazałbym więcej rezygnacji, dozorco Gaydon – rzekł, uśmiechając się. – Skoro nas schwyci tryb...

– Można krzyżeć... przypuszczam.

– Poco... jeżeli nikt nie usłyszy...

– Usłyszą mnie później, panie...

– Później... to daleko! Zresztą, krzyż... krzyż dowoli!...

Po tej ironicznej radzie inżynier Serkō pozostawił mnie moim rozmyślaniom.

Około czwartej dają znać o dużym okręcie, płynącym o sześć mil na wschód w przeciwnym do nas kierunku. Kłęby dymu wydobywają się z dwu jego kominów. Jest to statek wojenny, bo wąska wstęga unosi się nad wielkim masztem, a pomimo że żadna flaga nie powiewa na nim, wydaje mi się, że to krążownik marynarki amerykańskiej.

Ciekaw jestem, czy Ebba odda mu zwykły sygnał powitalny.

Nie, statek zawraca w ten sposób, jakby chciał go ominąć.

Nie dziwi mnie to wcale wobec podejrzania, które wzbudza we mnie ten jacht spacerowy. Zdziwiałoby mnie tylko sposób, w jaki manewruje kapitan Spade.

Zbliżywszy się do windy przedniej, zatrzymuje się przed małym przyrządem sygnalizującym, podobnym do przyrządów wysyłających rozporządzenia do miejsca, gdzie znajdują się maszyny parowca. Skoro tylko nacisnął jeden guzik, Ebba cofa się na południo-wschód, a marynarze rozluźniają liny żagli.

Oczywiście „jakiś”, rozkaz był wydany maszyniście „jakiejś” maszyny, która powoduje ruch statku przy pomocy „jakiegoś” motoru mi nieznanego.

Dzięki temu manewrowaniu Ebba oddala się w kierunku ukośnym od krążownika, który nie zmienia swej drogi. Czyż bowiem statek wojenny mógł być zwracać uwagę na jacht spacerowy, nie budzący żadnego podejrzenia?...

Ale około szóstej na horyzoncie zjawia się drugi okręt. Tym razem zachowanie jachtu jest całkiem inne. Kapitan Spade daje nowy sygnał i Ebba powraca do swego pierwotnego kierunku na wschód, co zbliża ją do owego okrętu...

W godzinę później obydwie statki znajdują się od siebie w odległości od trzech do czterech mil.

Wiatr ustał zupełnie. Okręt trójmasztowy statek handlowy, zwinął żagle. Ponieważ wiatru w nocy nie będzie, okręt ten znajdzie się jutro na tem samym miejscu. Ebba zaś poruszana tajemniczym motorem, zbliża się doń coraz bardziej.

Oczywista, że kapitan Spade kazał zwinąć żagle, co też dokonane zostało pod kierunkiem starszego marynarza Effrondata ze sprawnością, jaką podziwiać można na jachtach wyścigowych.

O zmroku obydwie statki dzieliła odległość półtorej mili.

Kapitan Spade zbliża się do mnie i niewiele myśląc, każe mi zejść do kajuty.

Zejść muszę, ale nim to nastąpi, szybko obejmuję wzrokiem położenie i dostrzegam, że starszy marynarz nie wydaje rozkazu zapalania latarni sygnałowych, gdy na trójmasztowcu zapalona jest zielona latarnia na prawej stronie pokładu, czerwona zaś na lewej.

Rzecz oczywista, że nasz jacht chce przepłynąć niepostrzeżenie w bliskości statku handlowego... Uważam również, że płynie wciąż, aczkolwiek w zwolnionem tempie, i że od wczoraj Ebba posunęła się na dwieście mil na wschód.

Wróciłem do swej kajuty z uczuciem pewnego niepokoju. Na stoliku zastałem przygotowany posiłek, jeść jednak nie chcę; kładę się więc, lecz spać nie mogę.

W tym stanie niepokoju przetrwałem dwie godziny. Cisza panuje zupełna. Słychać tylko drganie statku i pluskanie wody, a od czasu do czasu lekkie wstrząśnienie, spowodowane ruchem jachtu po spokojnej powierzchni wód.

Nie mogę odzyskać spokoju. Wszystko, co przeżyłem przez te dwa dni, żywo stoi mi przed oczyma. Jutro po południu wylądujemy... Jutro mam powrócić do swych dawnych zajęć przy Tomaszu Roch, „o ile zajdzie tego potrzeba”, jak powiedział hrabia d'Artigas.

Gdy mnie zamknięto pierwszym razem na spodzie okrętu, odczułem, że jacht przepływa przez Pamplico-Sound; obecnie – a musi być około dziesiątej – czuję, że się zatrzymał.

Co znaczy to zatrzymanie się?... kiedy kazano mi zejść z pokładu, nie widać było żadnego wybrzeża. W tym kierunku mapy wskazują tylko wyspy Bermudzkie, a o zmroku musiały być one odległe jeszcze o pięćdziesiąt do sześćdziesięciu mil.

Zresztą statek nietylko się zatrzymał, lecz jest jak gdyby unieruchomiony. Daje się odczuwać zaledwie lekkie kołysanie, niezmiernie łagodne i równe. Morze spokojne. Ani śladu powiewu na powierzchni wody.

Myśl moja zwraca się obecnie do okrętu handlowego, który stał na półtorej mili od naszego statku, gdy opuszczałem pokład. Jeżeli jacht nie zmienił kierunku, powinien już być od niego co najwyżej na paręset sążni, bo nie przypuszczam, ażeby popłynął na zachód wobec tej nieprzerwanej ciszy. Zapewne mógłbym go zobaczyć przez moje okienko, gdyby noc była jasna.

Nagle przychodzi mi do głowy, że może nastęcza się sposobność do ucieczki. Dlaczego nie miałbym uciec, skoro nie mam nadziei odzyskania wolności?... Co prawda nie umiem pływać, ale wskoczywszy do morza z jednym z pasów ratunkowych statku, popłynę w stronę okrętu, o ile marynarze mnie dojrzą...

Przedewszystkiem muszę wyjść z kajuty i dostać się na pokład... Nie słyszę najmniejszego ruchu ani w pomieszczeniu załogi, ani na pokładzie. Marynarze śpią zapewne o tej godzinie... Spróbujmy...

Zbliżam się do drzwi... są zamknięte z zewnątrz... to było do przewidzenia...

Zamiar mój spełził na niczem... co prawda niewiele przemawiało za nim...

Gdybym mógł zasnąć... byłoby to może najlepsze... Niezmiernie jestem zmęczony, nietyle fizycznie, co moralnie... Ta ciągła walka najsprzecznějších myśli, ten ciągły niepokój i nieświadomość położenia wyczerpały mnie... gdybym mógł zasnąć...

Sen przyjsć musiał, skoro budzi mnie jakiś hałas., i to niezwykle hałas na tym jachcie.

Przez okienko widzę, że świtać zaczyna... zegarek wskazuje pół do piątej.

Ciekaw jestem, czy Ebba płynie...

Nie, nie pobudza jej do ruchu ani żagiel, ani osobliwy motor. Odczułbym pewne, niezawodne wstrząśnienia. Morze jest równie spokojne przy wschodzie, jak było przy zachodzie słońca. Jeżeli Ebba płynęła podczas mojego snu, to obecnie na pewno jest nieruchoma.

Hałas, o którym wspominam, jest wywołany odgłosem kroków ludzkich. Wydaje się, jak gdyby ci ludzie nieśli ciężary i to znaczne. Równocześnie dochodzą mnie głosy ze spodu okrętu z pod mojej kajuty. Stwierdzam również pewne tarcia wzdłuż boków staku. Czyż łodzie do niego przylegają?... Może marynarze wnoszą lub znoszą towary...

A jednak niepodobieństwo, żebyśmy byli u celu naszej podróży. Hrabia d'Artigas mówił, że nie staniemy na miejscu przed dwudziestu czterema godzinami. Otóż, powtarzam, jacht był wczoraj wieczorem oddalony od wysp Bermudzkich, to jest najbliższego wybrzeża, na pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt mil. Za wielka zaś dzieli go odległość od wybrzeża amerykańskiego, ażeby można było przypuścić, że się doń zbliżył. Zresztą zdaje mi się, że jacht nie płynął podczas nocy. Zanim zasnąłem, był nieruchomy i teraz stwierdzam to samo.

Czekać zatem będę, aż mi będzie wolno powrócić na pokład. Nie przypuszczam, żeby mieli mnie trzymać w zamknięciu dzień cały.

Godzina upływa. Światło dzienne przedostaje się przez okienko... Lekka mgła zasnuwa ocean, ale zniknie niebawem pod działaniem promieni słonecznych.

Wzrok mój sięgnąć jest w stanie na odległość pół mili, jeżeli więc nie dojrzę okrętu, to znaczy, że znajduje się on po lewej stronie jachtu.

Słyszę zgrzyt klucza w zamku. Otwieram drzwi, wchodzę na żelazną drabinę, a stąd na pokład, gdzie właśnie marynarze zamykają wejście do przedniej części statku.

Szukam hrabiego d'Artigas... nie widzę go nigdzie.

Kapitan Spade i inżynier Serkō pilnują umocowania kilku pak, które zapewne przenieśli ze spodu okrętu na tył statku. Tylko w ten sposób mogę sobie wytłumaczyć hałas, który mnie przebudził... To przenoszenie towarów świadczy o zbliżaniu się naszym do celu...

Jesteśmy już w bliskości portu; być może za kilka godzin jacht dopłynie do wybrzeża...

A co się stało z żaglowcem, stojącym po lewej stronie naszego statku?... Nie mógł popłynąć, ponieważ wiatr nie dmie od wczoraj. Spoglądam w tym kierunku.

Żaglowiec znikł, morze jest puste, żadnego okrętu nie widać na horyzoncie ani w północnej, ani w południowej stronie.

Zastanowiwszy się nad tem wszystkim, doszedłem do wniosku jedyne, który przyjąć mogłem, i to z zastrzeżeniem: mianowicie, że Ebba musiała jednak płynąć, podczas gdy spałem, żaglowiec zatem został wtyle i dlatego dostrzec go nie mogłem.

Tak czy inaczej, nie zapytam o to ani kapitana Spade, ani inżyniera Serkō; nie zaszczyciliby mnie odpowiedzią.

W tej chwili zresztą kapitan zdążył do aparatu sygnalizującego i naciska guzik. wierzchniej części, równocześnie Ebba przechyliła się dość znacznie naprzód, poczem ze zwiniętymi wciąż żaglami zaczyna płynąć z niezmierną szybkością na wschód.

Po upływie dwu godzin hrabia d'Artigas zjawia się u wejścia przy rudlu i zdążył do swego zwykłego miejsca na tylnej wyniosłości okrętu. Kapitan Spade i inżynier Serkō natychmiast zbliżają się do niego i zamieniają z nim słów kilka.

Wszyscy trzej nastawiają morskie lunety i wpatrują się w horyzont od południo-wschodu do północo-wschodu.

Dziwić się nie można, że i ja wpatruję się bacznie w tę stronę horyzontu, lecz bezowocnie, nie mam bowiem lunety.

Po spożyciu południowego posiłku wróciliśmy na pokład, wszyscy z wyjątkiem Tomasza Roch, który pozostał w kajucie.

O pół do drugiej marynarz sygnalizuje z bocianiego gniazda, że zbliżamy się do lądu. Ponieważ Ebba płynie z nadzwyczajną szybkością, niebawem ujrzą wybrzeże.

Istotnie po upływie dwu godzin mglisty zarys wyłania się na odległości ośmiu mil. W miarę zbliżania się jachtu staje się on wypuklejszy, przybiera kształty góry lub co najmniej płaszczyzny dość wyniosłej. Ze szczytu wydobywa się pióropusz mknący ku niebu.

Wulkan w tych okolicach?... Byłżeby to...

ROZDZIAŁ VIII

Back-Cup.

Mojem zdaniem Ebba mogła dopłynąć w tej części Atlantyku tylko do wysp Bermudzkich. Świadczy o tym równocześnie odległość przebyta od wybrzeża amerykańskiego, i kierunek, którego się niezmiennie trzymała od wyruszenia z Pamplico-Sound. Kierunek ten był południe – południo-wschód, odległość zaś, biorąc pod uwagę szybkość jachtu, wynosiła od dziewięciuset do tysiąca kilometrów.

Jacht płynie z równą szybkością. Hrabia d'Artigas i inżynier Serkō trzymają się w tyle statku, kapitan Spade – na przodzie.

Otóż, pytam się, czy ominiemy tę wysepkę odosobnioną, kierując się w dalszym ciągu na wschód?

Nie przypuszczam tego, ponieważ o tej właśnie godzinie Ebba zawitać miała do portu.

W tej chwili wszyscy marynarze są na pokładzie, gotowi do roboty, starszy marynarz zaś wydaje zlecenia do postoju.

Za parę godzin będę wiedział, co sądzić o tem. Będzie to pierwsza odpowiedź na szereg pytań, które sobie zadaję, odkąd jacht wypłynął na pełne morze.

A jednak wydaje mi się nieprawdopodobne, ażeby jacht zdążył do portu, położonego na jednej z wysp Bermudzkich, należących do Anglii, chyba że hrabia d'Artigas porwał Tomasza Roch w porozumieniu z Wielką Brytanią, czego również nie mogę przypuszczać.

Wszakże w tej chwili nie mogę wątpić o jednej rzeczy, to jest, że hrabia d'Artigas przygląda mi się bacznie i to z osobliwym uporem. Pomimo że nie wie, iż jestem Simonem Hart, niemniej musi go zaciekawiać, co też myślę o całym tem zdarzeniu. Nic w tem dziwnego. Czyż skromny dozorca Gaydon miałby się mniej niepokoić o swój los, niż pierwszy lepszy gentleman, choćby miał nim być właściciel tego osobliwego jachtu? To też zaczyna mnie niepokoić to uporczywe wpatrywanie się hrabiego.

Gdyby mógł być odgadnąć, co się w tej chwili dzieje ze mną, nie jest wykluczone, że kazałby mnie wrzucić do morza...

Roztropność nakazuje mi wielką ostrożność.

W istocie bowiem, nie dając żadnego powodu do podejrzenia, nawet tak subtelnemu umysłowi jak inżynier Serkō, uchyliłem rąbek tajemnicy. Przyszłość ukazała mi się w nieco jaśniejszym świetle.

Wraz ze zbliżaniem się Ebby do tej wyspy, a raczej wysepki, coraz wyraźniej uwydatniała się ona na jasnym tle nieba. Słońce, które chyli się ku zachodowi, obejmuje ją całą potokiem swych promieni. Wysepka ta stoi samotna, przynajmniej ani na północy ani na południu nie widzę żadnej innej wyspy. W miarę jak odległość się zmniejsza, rozszerza się jej kąt widzenia, podczas gdy horyzont nika za nią...

Wysepka ta o ciekawej budowie przypomina przewróconą filiżankę, z której dna wydobywa się dym. Jej szczyt, lub co kto woli, dno filiżanki, wznosi się zapewne na jakie sto metrów nad poziomem morza, zbocza zaś, zupełnie spadziste, pozbawione są wszelkiej roślinności, jak też skały jej podnóża, o które rozbijają się ustawicznie fale oceanu.

Osobliwością tej wysepki, znakomicie ułatwiająca żeglarzom, wracającym z zachodu, jej rozpoznanie, jest odłam skały, który wystaje nad morzem i tworzy jak gdyby arkadę naturalną, podobną do uszka od filiżanki i usprawiedliwiająca w zupełności nazwę Back-Cup. Pod tą arkadą przechodzą promienie słońca i fale, które wirując rozbryzgują się na wszystkie strony.

Wysepkę tę poznałem odrazu. Wyprzedza ona archipelag Bermudzki. Jest to ta sama „przewrócona filiżanka”, którą miałem sposobność zwiedzić kilka lat temu... Nie! nie mylę się!... W tym czasie wylądowałem na niej od wschodniej strony i chodziłem po jej wapiennych skałach... Tak... to jest Back-Cup...

Gdybym się był nie opanował, byłbym się zdradził okrzykiem zdziwienia... i zadowolenia, co mogłoby zaniepokoić, zresztą słusznie, hrabiego d'Artigas.

Oto w jakich okolicznościach zwiedziłem Back-Cup, znajdując się na wyspach Bermudzkich.

Archipelag Bermudzki, położony blisko o tysiąc kilometrów od stanu Karoliny Północnej, składa się z kilku setek wysp i wysepek. W środkowej jego części krzyżują się sześćdziesiąty czwarty południk i trzydziesty drugi równoleżnik. Od roku 1609, to jest od chwili, gdy statek Anglika Lomera rozbił się w tych okolicach i wyrzucony został na jedną z tych wysp, Bermudy należą do Królestwa Zjednoczonego, skutkiem czego liczba ich ludności zwiększyła się o dziesięć tysięcy mieszkańców. Jeżeli Anglja zawładnęła tym archipelagiem, można nawet powiedzieć, przywłaszczyła go sobie, to nie dla jego plantacji bawełny, kawy, indygo i arrow-root. Archipelag ten stanowi przedewszystkiem znakomicie wskazany postój morski w tej części oceanu, w bliskości Stanów Zjednoczonych. Zawładnęła nim samowolnie, bez protestu innych państw, i obecnie rządzi w nim gubernator angielski wraz z radą i zgromadzeniem narodowym.

Najważniejszymi wyspami tego archipelagu są: Saint-David, Sommerset, Hamilton oraz Saiht-Georges, która posiada wolny port, a główne jej miasto, tej samej co ona nazwy, jest również stołecznym miastem całego archipelagu...

Najrozleglejsza z wysp nie ma więcej nad dwadzieścia kilometrów długości i cztery szerokości. Jeżeli wyłączymy kilka średniej wielkości, pozostanie grupa wysepek i raf na płaszczyźnie dwunastu mil kwadratowych.

Klimat wysp Bermudzkich jest bardzo zdrowotny. Podlegają jednak silnym burzom zimowym Atlantyku, utrudniającym żeglarzom przystęp do nich. Na wyspach tych odczuwać się daje przedewszystkiem brak rzek i potoków. Wzamin padają tu częste deszcze, tak iż mieszkańcy mogli zapobiec brakowi wody, budując olbrzymie cysterny, które podczas ulew napelniają się obficie. Cysterny te budzą słuszny podziw i są szczytnym świadectwem przedsiębiorczości ludzkiej.

One to zniewoliły mnie do ówczesnej podróży, pobudzając moją ciekawość dla sposobu ich wykonania.

Byłem wtedy inżynierem w New-Jersey przy pewnym towarzystwie, od którego otrzymałem urlop kilkotygodniowy. Wyjechałem na Bermudy.

Otóż podczas mej bytności na wyspie Hamilton, w porcie Southampton, zdarzył się wypadek godny uwagi geologów...

Pewnego dnia do Southampton zajechała flotylla, złożona z rybaków, mężczyzn, kobiet i dzieci.

Od lat pięćdziesięciu rodziny te zamieszkiwały wschodnią część wybrzeża Back-Cup w domkach z drzewa lub z kamienia, zajmując się rybołówstwem, przeważnie potfiszów, gatunku wielorybów, w które obfitują okolice wysp Bermudzkich w ciągu marca i kwietnia.

Dotąd życie tych rybaków nie było zakłócone żadnym nadzwyczajnym wypadkiem, dość ciężkie zaś warunki ich egzystencji łagodzone były bliskością wysp Hamilton i Saint-Georges, dokąd, na swych mocno zbudowanych jednożaglowych barkach, dostarczali ryb, otrzymując wzamian przedmioty niezbędne do użytku domowego.

Zdziwienie ogarnęło wszystkich na wieść o ich przybyciu, a jeszcze bardziej o ich postanowieniu niepowracania na wyspę...

Dowiedziano się niebawem, iż powodem tej ucieczki był fakt następujący: na dwa miesiące przed swym wyjazdem rybacy zostali najpierw zaskoczeni, później zaś zaniepokojeni głuchym łoskotem, dochodzącym z wewnątrz wyspy. Równocześnie z wierzchołka wysepki – powiedzmy z dna przewróconej filizanki – zaczął unosić się dym i płomień. Ze zaś zbocza tej wysepki są niezmiernie strome, nie można więc było przekonać się o jej pochodzeniu wulkanicznym i że jej szczyt był dawnym kraterem. Obecnie nie było wątpliwości, że dawny wulkan groził wybuchem.

W przeciągu tych dwu miesięcy łoskot stawał się coraz silniejszy, a nawet dawały się odczuwać wstrząśnienia, przyczem zjawiały się długie wytryski płomieni na wierzchołku, nocą zaś, jak gdyby potężne wystrzały świadczyły o jakimś przewrocie w jej podziemnym podłożu i grożącym wybuchu.

Rodziny te, narażone na nieuniknioną katastrofę, a niezabezpieczone w tej stronie wybrzeża przed ujściem lawy, ratowały się ucieczką, zabierając cały dobytek na swe barki rybackie.

Na wyspach Bermudzkich dowiedziano się z pewnem przerażeniem o tym nowym wulkanie od wieków wygasłym, a obecnie zaczynającym działać na nowo na zachodnim krańcu archipelagu. Z trwogą jednak zawitała równocześnie ciekawość. Przytem należało zbadać zjawisko i stwierdzić, czy rybacy nie przesadzają jego doniosłości.

Back-Cup, która wystaje cała na zachód, od archipelagu, łączy się z nim nierównym szeregiem małych wyseppek i raf niedostępnych od wschodniej strony. Nie widać jej ani od St. Georges, ani od Hamilton, gdyż wysokość wierzchołka nie przekracza stu metrów.

Jednożaglowiec zawiózł mnie i kilku badaczy do tej wysepki, gdzie wznosiły się opuszczone przez rybaków domki.

Łoskot trwał, a snop dymów wydobywał się z krateru.

Wątpić nie mogliśmy, że dawny wulkan Back-Cup zaczął działać pod wpływem ogni podziemnych. Należało się obawiać wybuchu i jego następstw.

Napróżno staraliśmy się dotrzeć do otworu wulkanu. Dostanie się doń przez te zbocza urwiste, gładkie, śliskie, zarysowywane się pod kątem siedmdziesięciu pięciu lub ośmdziesięciu stopni, było niemożliwe. Nie spotykałem nigdzie podobnie skalistej skorupy, na której rosły tylko zrzadka kępki dzikiej lucerny w miejscach, gdzie znajdowało się trochę ziemi.

Po kilkakrotnych bezowocnych usiłowaniach, ażeby obejść całą wysepkę, musieliśmy poprzestać na wschodniej części, reszta bowiem zavalona była kamieniami od północy, południa i zachodu.

Opuszczaliśmy wysepkę z przeświadczeniem, że skazana jest na rychłą zagładę.

W takich okolicznościach zwiedziłem Back-Cup; nie można się dziwić, że obecnie, ujrzawszy jej kształt osobliwy, poznałem ją odrazu.

Powtarzam, że hrabia d'Artigas nie byłby zadowolony, gdyby wiedział, że dozorca Gaydon poznał tę wysepkę, o ile Ebba miała się tu zatrzymać, co wydawało się niepodobieństwem wobec braku portu.

W miarę jak statek nasz zbliża się, obserwuję Back-Cup. Od chwili opuszczenia jej przez rybaków żaden Bermudzcyk nie chciał do niej powrócić, i rybołówstwo zostało tu zaniechane całkowicie, nie rozumiem więc, dlaczego Ebba obrałaby sobie tu miejsce postoju.

Zresztą być może, iż hrabia d'Artigas i jego towarzysze nie mają wcale zamiaru wylądować na wybrzeżu Back-Cup? Gdyby nawet statek zatrzymał się chwilowo w jakiejś małej ostoi pomiędzy skałami, czyż można przypuszczać, że ten bogaty jachtman chciałby osiąść na tem pustkowiu, narażonem na straszne burze zachodniej części oceanu Atlantyckiego? Co przystało biednym rybakom, nie przystoi hrabiemu d'Artigas, inżynierowi Serkō, kapitanowi Spade i jego towarzyszom.

Już tylko pół mili dzieli nas od wybrzeża. Jakże niepodobną jest ta wysepka do innych wysp archipelagu, pokrytych bujną zielonością! Zaledwie w kilku wyłomach rośnie parę krzaków jałowca i kilka karłowatych cedrów, stanowiących główne bogactwo wysp Bermudzkich. Podłoże zaś skaliste tej wysepki pokryte jest coraz to nową warstwą morskoczyzny, przyniesionej tu przez fale, jak również roślinami włóknistymi w rodzaju porostów, nazwanych „sargasses” od części oceanu Atlantyckiego tej nazwy między wyspami Kanaryjskimi i wyspami Zielonemi Przylądku.

Jedynymi mieszkańcami tej wysepki są ptaki, mianowicie gile, „mota cyllas cyalis” o niebieskawem opierzeniu, i tysiące mew i sępów morskich, przelatujących szybko nad dymiącym kraterem.

O paręset sążni od wybrzeża jacht zwalnia bieg, wreszcie staje u wejścia przesmyku między dwiema rafami.

Ciekawy jestem, czy Ebba odważy się go przepłynąć...

To niemożliwe. Przypuszczam tylko, że po kilkugodzinnym postoju, i to nie wiem w jakim celu, wyruszymy dalej na wschód.

Nie widzę wszakże przygotowań do postoju. Kotwice zwieszają się na przodzie statku, łańcuchy niewydobyte, łodzie spoczywają na swych miejscach.

W tej chwili hrabia d'Artigas, inżynier Serkō i kapitan Spade udają się na przód statku, i widzę coś niezwykłego.

Stojąc przy lewej burcie, prawie naprzeciwko średniego masztu, dostrzegam małą pływającą boję, którą jeden z marynarzy wciąga na przód statku.

Prawie równocześnie woda, dotąd zupełnie czysta, ściemnia się, a z głębi wydobywa się jakaś masa czarna. Czyżby jaki olbrzymi potfisz chciał zaczerpnąć powietrza na powierzchni morza? Byłaby Ebba zagrożona strasznem uderzeniem ogona tego potężnego zwierzęcia?...

Zrozumiałem wreszcie... Wiem już teraz, jakiej maszynie zawdzięcza Ebba swoją nadzwyczajną szybkość bez żagli i śruby... Oto ukazuje się ten niestrudzony mechanizm, który ciągnął jacht od wybrzeża amerykańskiego do Bermudzkiego archipelagu... Jest tam przy Ebbie... Jest to łódź podwodna, poruszana śrubą przy pomocy baterji akumulatorów lub potężnych ogniw.

Na wyższej części tej łodzi podwodnej w kształcie żelaznego wrzeciona znajduje się platforma z wejściem do wnętrza. Na przodzie tej platformy wystaje peryskop, rodzaj szafki, której ściany zaopatrzone są w okienka w kształcie owalnym. Przez te okienka wydobywa się światło elektryczne, oświetlające warstwy podwodne. Obecnie, zrzucawszy ciężar wody, łódź znajduje się na powierzchni. Po otwarciu wieka, zakrywającego wejście do wnętrza, świeże powietrze przenika ją całą. Można nawet przypuszczać, że co noc wypływa na morze, ciągnąc jacht, jakkolwiek pozostaje na powierzchni.

Nasuwa się jeszcze jedna zagadka. Jeżeli elektryczność porusza tę łódź, to gdzieś musi być wytwarzana. Ale gdzie? Nie przypuszczam, ażeby w Back-Cup znajdowała się elektrownia.

A przytem, dlaczego jacht ucieka się do pomocy tego podwodnego holownika?... Dlaczego sam nie jest zaopatrzony w motor, jak to zwykle bywa w tego rodzaju spacerowych statkach?

Nie pora wszakże oddawać się tym rozmyślaniom, a raczej szukać rozwiązania zagadki nie do rozwiązania.

Łódź stoi wzdłuż Ebby. Na platformę wyszło kilku ludzi. Jest to załoga łodzi podwodnej, z którą porozumiewał się kapitan Spade przy pomocy sygnalizacji elektrycznej, urządzonej na przodzie statku i połączonej drutem z łodzią.

Inżynier Serkō zbliża się do mnie i rzuca mi tylko jedno słowo:

– Wsiadajmy.

– Wsiadać? – pytam.

– Tak... do łodzi... prędko!

Cóż mam. robić? Stosuję się do rozkazu i przesadzam burtę.

W tej chwili Tomasz Roch wchodzi na pokład w towarzystwie marynarza. Wydaje się spokojny, obojętny i nie sprzeciwia się przeprowadzce na łódź.

Hrabia d'Artigas i inżynier Serkō zmierzają również ku łodzi.

Kapitan Spade zaś i załoga pozostają na jachcie, tylko czterech marynarzy wsiada do małej łódki, dopiero co spuszczonej ze statku. Zabierają z sobą grubą linę, przeznaczoną zapewne do holowania Ebby poprzez rafy. W takim razie musi znajdować się wśród skał ostoja, w której chroni się jacht hrabiego d'Artigas przed zbyt silnie wzburzonym morzem. Byłoby to miejsce jego postoju?

Istotnie przywiązano linę do Ebby. W miarę oddalania się marynarzy lina wypręża się i wkrótce zostaje umocowana do obrączek żelaznych, znajdujących się w skale na odległości kilkudziesięciu sążni. Wtedy załoga, ciągnąc linę, holuje statek.

Po upływie pięciu minut Ebba znikła za skałami, tak iż nie można było spostrzec wierzchołków masztów nawet z morza.

Któżby się był domyślił na wyspach Bermudzkich, że na tej odludnej wysepce znajduje się tajemnicza ostoja... lub ktoby był przypuścił w Ameryce, że ten bogaty jachtman, tak znany we wszystkich portach zachodu, jest zwykłym gościem samotnego Back-Cup?

W dwadzieścia minut później łódka wraca do łodzi podwodnej wraz z czterema marynarzami.

Widoczne było, iż łódź oczekiwała ich powrotu, ażeby udać się... dokąd?...

Wszedłszy na platformę, zaczynamy płynąć przy pomocy obracającej się zwolna śruby na powierzchni morza w kierunku południowym Back-Cup, omijając rafy.

O kilkaset sążni od nas widać drugi przesmyk, prowadzący do wysepki; tędy dostajemy się do wybrzeża. Przedewszystkiem wciągnięto łódkę na wąski pas piasku, gdzie była zabezpieczona od fali i skąd łatwo było ją wyciągnąć, o ileby Ebba potrzebowała wypłynąć na morze.

Dwaj marynarze, oddani tej czynności, wrócili na platformę, inżynier Serkō zaś skinął na mnie, ażebym zszedł do wnętrza.

Schodzę żelaznymi schodami, prowadzącymi do sali środkowej, zaprzątniętej różnego rodzaju pakunkami i pakami, dla których zapewne nie było miejsca na spodzie statku. Wprowadzono mnie do bocznej kajuty, drzwi za mną zamknięto, pozostawiwszy mnie w ciemności.

Kajutę poznałem zaraz przy wejściu. Była tą samą, w której przepędziłem te nieskończenie długie godziny po porwaniu nas z Healthful-House...

Oczywista, że z Tomaszem Roch postąpiono w ten sam sposób.

Wreszcie słycać odgłos zamykającego się wieka i łódź pogrąa się w wodę.

Odczuwam ruch zstępny, spowodowany napelnianiem się wodą skrzyń łodzi, poczem – ruch płynącego statku.

Po upływie trzech minut zatrzymujemy się; mam wrażenie, że powracamy na powierzchnię...

Nowy odgłos podnoszącego się wieka. Równocześnie otwierają się drzwi mojej kajuty. W kilku skokach jestem na platformie.

Rozglądam się...

Łódź dotarła do wnętrza Back-Cup.

Tam przebywa hrabia d'Artigas z towarzyszymi – jak gdyby poza nawiasem ludzkości!

ROZDZIAŁ IX

Wewnątrz.

Nazajutrz, bez żadnej przeszkody mogłem po raz pierwszy zwiedzić obszerną pieczarę Back-Cup.

Noc spędziłem na osobliwych sennych widzeniach, nie mogąc doczekać się dnia.

Zaprowadzono mnie do grotty, położonej o sto kroków od brzegu, przy którym zatrzymała się łódź nasza. Do grotty tej, wielkości dziesięciu stóp na dwanaście, oświetlonej lampą elektryczną, wprowadzono mnie przez drzwi i wnet zamknięto je za mną.

Nie zdziwiłem się bynajmniej, że w grocie znalazłem oświetlenie elektryczne, ponieważ widziałem je również na łodzi. Ale skąd pochodzi?... Gdzie źródło elektryczności?... Czyżby we wnętrzu tej olbrzymiej krypty miała być elektrownia z dynamomaszynami i akumulatorami?

Rozglądam się po swojej celi. Pośrodku stoi stolik z posiłkiem, przy nim fotel trzcinowy, opodal łóżko okrętowe i szafa z bielizną i różnorodnym ubraniem. W szufladzie stolika papier, kałamarz, pióra. W rogu na prawo umywalnia z przyborami. Wszystko bardzo czyste.

Posiłek mój składa się ze świeżej ryby, konserw mięsnych, chleba wyborowego, piwa i wódki. Zaledwie dotknąć mogę jedzenia; zanadto jestem rozstrojony.

A jednak muszę wrócić do równowagi, odzyskać spokój... odkryć tajemnicę tych ludzi... chcę ją odkryć... i odkryję.

A zatem siedzibą hrabiego d'Artigas jest Back-Cup. O ile więc nie żegluję wzdłuż wybrzeża nowego kontynentu, lub nie dociera do starego lądu na swym jachcie Ebba, za mieszkanie służy mu tajemnicza wklęsłość wysepki. On odkrył to schronienie, do którego prowadzi wejście podmorskie, wrota wodne, otwierające się na dwanaście lub piętnaście stóp pod powierzchnią morza.

Z jakiego powodu ucieka od społeczeństwa ludzkiego?... Co mówi jego przeszłość?... Jeżeli nazwisko jego i tytuł są zmyślane, jak przypuszczam, to co zmusiło go do ukrycia własnego nazwiska?... Jestże banitą, przekładającym to miejsce wygnania nad wszelkie inne?... Czy nie jest to raczej złoczyńca, ukrywający się bezkarnie przed sprawiedliwością w tem podziemiu nie do odszukania? Mam prawo czynić wszelkie podejrzenia wobec tego podejrzanego osobnika.

I znów powracam do pytania, na które nie mogę znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Dlaczego porwał Tomasza Roch... Czy w celu wydobycia zeń tajemnicy jego fulguratora i zużytkowania do obrony Back-Cup, w razie gdyby odkryto jego siedzibę?... Ależ dostatecznie byłoby przeciąć możliwość dostarczenia żywności do Back-Cup przez ustanowienie linii demarkacyjnej, której Ebba nie mogłaby przekroczyć, a zresztą, gdyby ją przekroczyła, zatrzymanoby ją w każdym porcie... Więc cóżby przyszło hrabiemu d'Artigas z tego wynalazku?... Stanowczo gubię się w domysłach.

Około siódmej rano wstaję. Jakkolwiek jestem więźniem w tej pieczarze, nie jestem więźniem swojej celi. Czemu prędzej więc z niej wychodzę...

Przeszedłszy trzydzieści metrów, dostaję się do pewnego rodzaju skalistego nadbrzeża, ciągnącego się na prawo i lewo.

Kilku marynarzy Ebby zajmuje się wyładowywaniem pak z łodzi podwodnej, stojącej na powierzchni wody wzdłuż małej kamiennej tamy.

Półmrok, do którego przyzwyczajam się powoli, panuje w pieczarze otwartej w środkowej części swego sklepienia.

Tędy musiał się wydobywać dym, który ujrzeliśmy z odległości trzech do czterech mil.

I w tejże chwili wysnuwam następujące wnioski:

Back-Cup nie jest wulkanem, jak to inni twierdzili, jak ja sam myślałem... dym, płomień, wydobywające się zeń kilka lat temu, były sztuczne... odgłosy, słyszane przez rybaków bermudzkich, nie były spowodowane walką sił podziemnych... Wszystkie te zjawiska wywołane były wolą pana tej wysepki, chcącego oddalić z niej mieszkańców wybrzeża... I dopiął celu ten hrabia d'Artigas... Stał się samowładnym panem tej wyspy... Dość mu było dać kilka wystrzałów, dość mu było zapalić morską zrzędną, którą mu prądy naniósł, i skierować dym w kierunku krateru, ażeby pomyślano o wulkanie i jego prędkim wybuchu dotąd nieuskrętnionym!...

Taką musiała być istotna przyczyna załężnienia rybaków bermudzkich, i taka przyczyna bezustannego unoszenia się dymu nad wierzchołkiem wysepki Back-Cup.

Tymczasem słońce wzniosło się wyżej nad horyzontem, oświetlając wnętrze pieczary. Będę mógł zatem określić dokładny jej rozmiar. Podaję cyfry, do których doszedłem stopniowo.

Zewnętrznie miara wysepki Back-Cup o kształcie prawie okrągłym, wynosi tysiąc dwieście metrów obwodu, powierzchnia zaś jej liczy pięćdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych czyli pięć hektarów. Zbocza u podnóża są grubości od trzydziestu do stu metrów.

Z tego wypada, iż, wyłączwszy grubość jej zboczy, Back-Cup przedstawia wydrążenie wznoszące się ponad morze. Długość zaś tunelu podmorskiego, łączącego zewnętrzną część z wewnętrzną, przez który dostała się łódź, wynosić musi około czterdziestu metrów.

Z tych cyfr, podanych w przybliżeniu, można wywnioskować o wielkości tej pieczary. Bądź co bądź przypomnieć muszę, że w starym i nowym świecie istnieją pieczary daleko większej objętości według bardzo dokładnego obliczenia badaczy tej części geologii.

Istotnie, w Krainie, w Northumberland, w Derby-shire, w Piemoncie, w Morei, na wyspach Balearskich, na Węgrzech, w Kalifornji znajdują się grotty daleko większe od pieczary Back-Cup. To samo można powiedzieć o pieczarach w Han-sur-Lesse w Belgji, w Stanach Zjednoczonych, o pieczarach w Mammoth z Kentucky, które zawierają dwieście dwadzieścia sześć kopuł, siedm rzek, ośm wodospadów, trzydzieści dwie studnie głębokości niezbadanej, morze wewnętrzne na przestrzeni pięciu do sześciu mil, dotąd niezmierzone w całości przez badaczy.

Zwiedziłem grotty w Kentucky, jak tysiące innych turystów. Główną z nich wezmę za miarę porównania z Back-Cup. Pieczara w Mammoth, jak i pieczara w Back-Cup, ma sklepienie wsparte na słupach o kształtach i wysokościach różnych, dających im pozór katedry gotyckiej z nawami, bocznymi nawami, bez architektonicznej prawidłowości kościołów. Jediną różnicę stanowi wysokość sklepienia, która w grotach z Kentucky dochodzi do stu trzydziestu metrów, kiedy sklepienie Back-Cup ma najwyżej sześćdziesiąt metrów w tej jego części środkowej, stanowiącej otwór, przez który dostają się dym i płomień.

Istnieje jeszcze jedna bardzo ważna różnica, na którą zwrócić musimy uwagę, mianowicie, że do pieczar wyżej wspomnianych dostęp jest bardzo łatwy, dlatego też stopniowo zostały odkrywane.

Tymczasem z Back-Cup rzecz się ma całkiem inaczej. Mapy wskazują ją jako wysepkę należącą do archipelagu wysp Bermudzkich. Kto jednak mógł przypuszczać, że w jej wnętrzu znajduje się pieczara, do której można się dostać tylko łodzią podwodną, zbudowaną na podobieństwo łodzi hrabiego d'Artigas?

Mojem zdaniem przypadek jedynie pozwolił hrabiemu d'Artigas odkryć ten tunel i założyć tę niepokojącą kolonję na Back-Cup.

Badając część morza, położoną wśród ścian pieczary, stwierdzam, że jest małych rozmiarów. Obwód jej nie sięga nad trzysta do trzystu pięćdziesięciu metrów. Jest to właściwie małe jezioro, otoczone prostopadłymi skałami, wystarczające dla łodzi podwodnej, gdyż jego głębokość, jak się później dowiedziałem, wynosi nie mniej nad czterdzieści metrów.

Biorąc pod uwagę położenie i budowę pieczary Back-Cup, zrozumiemy łatwo, że należy ona do kategorii grot, zawdzięczających swe pochodzenie wtargnięciu wód morskich. Oczywisty tu jest wpływ działania morza i ziemi, tak jak to się spostrzega daje w grotach Crozon i Morgate z zatocze Douarnes we Francji, Bonifacio na wybrzeżu korsykańskim, Thorgatten na wybrzeżu norweskim, której wysokość sięga pięciuset metrów, wreszcie w pieczarach Grecji, grotach Gibraltaru w Hiszpanji, Tourane w Kochinchinie. Słowem, skład ich skorupy wskazuje na to podwójne działanie geologiczne.

Wysepka Back-Cup składa się po większej części ze skał wapiennych. Począwszy od brzegu jeziora skały te wznoszą się łagodną spadzistością ku ścianom wysepki, tworząc na swych zboczach małe płaszczyzny, pokryte drobnym piaskiem, na którym rośnie zrzadka koper morski, lub morskacyzyna, układająca się grubymi warstwami, pozbawionymi wilgoci, lub wilgotnemi, z których wydobywa się ostra woń morska, gdy przyplwem rzucone zostały poprzez tunel na brzegi jeziora. Nie jest to zresztą jedyne paliwo, używane w razie potrzeby w Back-Cup. Znajduje się tu duży zasób węgla kamiennego, sprowadzonego łodzią i statkiem. Ale, powtarzam, dym, unoszący się nad wysepką, pochodzi od spalania tych traw uprzednio wysuszonych.

Idąc dalej, spostrzegam w stronie północnej jeziora mieszkania tej kolonji troglodytów.

Czyż nie zasługują na to miano? Tę część pieczary nazwano Bee-Hive to jest „Ul”. Nazwa ta jest bardzo trafnie zastosowana, gdyż w istocie ta część pieczary składa się z kilku rzędów komórek wyłobionych w wapiennych skałach ścian, w których mieszkają te osy ludzkie.

Część wschodnia jest zgoła odmienna. Składa się ona z setek słupów, podtrzymujących wewnątrz sklepienia. Istny las drzew kamiennych, ciągnący się aż do końca pieczary. Wskroś tych słupów krzyżują się kręte ścieżki, sięgające aż do głębi Back-Cup.

Sądząc z ilości komórek, należy przypuszczać, że liczba towarzyszy hrabiego d'Artigas wynosi ośmdziesięciu do stu ludzi.

Przed jedną z tych komórek, odosobnioną od innych, stoi on właśnie wraz z kapitanem Spade i inżynierem Serkō. Po chwili wszyscy trzej udają się do kamiennej tamy, przed którą zatrzymała się łódź podwodna.

Kilkunastu ludzi, wyladowawszy towary, przewożą je na łódce na brzeg przeciwny, gdzie obszerne grot, wykute w bocznej ścianie, tworzą składy Back-Cup.

Wejście do tunelu, znajdujące się pod wodą jeziora, nie jest widoczne. Zauważyłem to, gdyż łódź, płynąc od morza, musiała zanurzyć się na kilka metrów, ażeby się dostać do pieczary; Back-Cup różni się tem właśnie od grot Staffy lub Morgate, których wejście jest swobodne nawet podczas najwyższego przyplwu. Ciekaw jestem, czy jest inne przejście, naturalne lub sztuczne, prowadzące do wybrzeża? Muszę się o tem dowiedzieć.

Back-Cup usprawiedliwia w zupełności swą nazwę. Jest ono „filiżanką przewróconą” nie tylko ze względu na swój kształt, lecz również – czego nie wiedziano – przez swą formę wewnętrzną.

Wspomniałem, że Bee-Hive znajduje się w części pieczary, leżącej na północ od jeziora, to jest na lewo od wejścia do tunelu. Naprzeciw są składy z wszelkiego rodzaju towarami: winem, wódką, baryłkami z piwem, konserwami oraz niezliczone paki najróżnorodniejszego pochodzenia. Wydaje się, jak gdyby ładunek dwudziestu okrętów był tu złożony. Nieco dalej widnieje dość znaczna budowla, otoczona murem z desek, której przeznaczenia łatwo się domyślić. Od wznoszącego się przy niej słupa, rozchodzą się grube druty miedziane, zasilające swym prądem lampy elektryczne, zawieszane u sklepienia, i żarówki, umieszczone w komórkach ula, jak również lampy pomiędzy słupami pieczary, rozświetlające całe jej wnętrze.

Przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, czy nie będę krępowany w zwiedzaniu wnętrza Back-Cup?... Mam nadzieję. Dlaczegożby hrabia d’Artigas miał mi zabronić swobody działania w tej swojej tajemniczej siedzibie?... Czyż nie jestem uwięziony w ścianach wysepki?... Czyż tunel nie jest jedynym jej wyjściem?... Jakże więc przekroczyć wrota wodne, zawsze zamknięte?

A zresztą, gdybym nawet mógł dostać się do tunelu, czy nie opatrzyliby się niebawem mej nieobecności?... Łódź zawiozłaby kilkunastu marynarzy na wybrzeże... przeszukanoby wszystkie zakątki... Wpadłbym znów w ich ręce i byłbym tym razem pozbawiony swobody ruchu...

Muszę więc odsunąć wszelką myśl ucieczki, dopóki nie będę się mógł upewnić, że skutecznie ją z powodzeniem. Nie omieszkam skorzystać z pierwszej lepszej sposobności.

Przechodząc koło komórek, zwróciłem uwagę na kilku towarzyszy hrabiego d’Artigas, dzielących z nim monotoność życia we wnętrzu wysepki. Powtarzam, jest ich około stu, sądząc po liczbie komórek.

Nie zwracają wcale na mnie uwagi. Przypatrzwszy się im bliżej, stwierdzam, że są różnego pochodzenia. Żadnej niema pomiędzy nimi łączności rasy, nawet żadnej cechy wspólnej, któraby pozwoliła o nich powiedzieć, że są Amerykanami północnymi, lub Europejczykami, lub Azjatami.

Barwa skóry waha się od białej do miedzianej i czarnej, – barwy czarnej prędzej australijskiej niż afrykańskiej. Zdaje mi się wszelako, że większa ich część należy do rasy malajskiej, sądząc po wybitnym typie, który ich wyróżnia. Dodaję, że hrabia d’Artigas niezawodnie należy do rasy, zamieszkującej wyspy holenderskie oceanu Wielkiego, kapitan Spade zaś musi być pochodzenia włoskiego, inżynier Serkō – wschodniego.

Ale o ile mieszkańcy Back-Cup nie są spokrewnieni rasą, o tyle złączeni są wspólnością instynktów i żądz. Co za podejrzane twarze, co za osobliwe postaci, jakie typy nawskroś dzikie! Są to natury gwałtowne, niezdolne do opanowania swych namiętności ani do cofnięcia się przed występkiem. I przychodzi mi na myśl, czy nie mogli oni po długim szeregu zbrodni, zamachów, kradzieży, podpaień, spełnionych wspólnie, ukryć się we wnętrzu tej pieczary pewni swej bezkarności?... Hrabia d’Artigas nie byłże dowódcą złoczyńców ze swymi dwoma pomocnikami Spade i Serkō, a Back-Cup jaskinią piratów?...

Mniemanie to stało się dla mnie pewnikiem. Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby przyszłość okazała, że omyliłem się. Zresztą to, co spostrzegłem przy pierwszym zwiedzeniu wysepki, potwierdziło mój pogląd i upoważniło mnie do najdalej posuniętych przypuszczeń.

W każdym razie, jakiegokolwiek bądź okoliczności złączyły tych ludzi tutaj, zaprzeczyć niesposób, że poddali się pod samowładne panowanie hrabiego d’Artigas. Wzamian jednak za uścisk jego żelaznej ręki, osiągać muszą pewne korzyści, wynagradzające ich niewolę... Jakże?...

Obszedłszy stronę jeziora, gdzie znajduje się przejście do tunelu, przeszedłem na drugą stronę wybrzeża. Tam znajdują się składy zaopatrzone ładunkami Ebby. Obszerne wydrążenia w skałach mogą pomieścić niezliczoną ilość pakunków.

Poza nimi znajduje się elektrownia. Przechodząc przed oknami, spostrzegam pewne maszyny nowej konstrukcji, niewielkich rozmiarów i udoskonalone. Nie widzę wcale maszyn parowych, zużytkowujących węgiel kamienny i wymagających skomplikowanego mechanizmu. Tak jak przewidziałem, są to ogniwa niezwyklej siły, dostarczające prądu lampom elektrycznym pieczary, jak również motorom łodzi podwodnej. Zapewne prąd ten służy jednocześnie do ogrzewania Bee-Hive i do gotowania posiłku. Stwierdzam dalej, że prąd ten, dochodząc do sąsiedniej groty, pomaga do destylowania wody. Koloniści z Back-Cup więc nie potrzebują zbierać dla siebie wody deszczowej do picia. O kilka kroków od elektrowni znajduje się obszerna cysterna, przypominająca mi cysterny na wyspach Bermudzkich. Tylko że tam chodziło o dostarczenie wody dziesięciu tysiącom mieszkańców, tu – setce...

Nie wiem dotąd, jak ich nazwać. Że ich przywódca musi mieć ważny powód, dla którego zamieszkuje wnętrze tej wyspy, to nie ulega wątpliwości, ale jakim jest ten powód?... Jeżeli zakonnicy, zamykają się w murach klasztornych dla oddzielenia się od świata, to jest zrozumiałe. Ale ci ludzie nie wyglądają wcale ani na benedyktynów, ani na kartuzów...

Zwiedzając ten las słupów, dotarłem do krańca pieczary. Nikt mnie nie niepokoił, nikt na mnie nie zwracał uwagi. Mogłem przyjrzeć się z całą swobodą tej części Back-Cup. Jest ona niezmiernie ciekawa, przypomina najpiękniejsze groty z Kentucky lub z wysp Balearskich. Nie widać tu nigdzie pracy rąk ludzkich. Dzieło natury staje przed nami z całą potęgą, wzbudzając w nas podziw połączony z trwogą na myśl o tych siłach podziemnych, zdolnych do stworzenia tak wspaniałych budowli. Do części pieczary wychodzącej poza wybrzeże jeziora, promienie słoneczne przedostają się tylko ukośnie przez krater. Wieczorem oświetlona lampami elektrycznymi, musi przedstawiać fantastyczny widok, Pomimo poszukiwań nie znalazłem w niej wyjścia na zewnątrz.

Zaznaczyć należy, że wysepka ta jest siedliskiem różnorodnego ptactwa, mew, sępów morskich i jaskółek, ptaki te goszczą stale na wybrzeżach bermudzkich. Tu jednak mnożą się dowoli i nie lękają się człowieka, nie będąc nigdy niepokojone strzałami ludzkimi.

Ponadto Back-Cup posiada zwierzęta domowe. W Bee-Hive są ogrodzenia dla krów, nierogacizny, owiec, drobiu. Dzięki temu pożywienie jest urozmaicone, nie mówiąc już o rybie, łowionej nazewnątrz między rafami, lub też w wodach jeziora, obfitującego w najróżnorodniejsze gatunki.

Zresztą dość spojrzeć na gospodarzy tej wysepki, ażeby przekonać się, iż nie brak im niczego. Są to ludzie silni, przesiąknięci słońcem tych stref gorących, o krwi utlenionej powiewami oceanu. Niema tu ani dzieci, ani starców, tylko ludzie w sile wieku, od trzydziestu lat do pięćdziesięciu.

Ale dlaczego poddali się tego rodzaju bytowi?... I czyż nie opuszczą nigdy tego schronienia w Back-Cup?...

Może dowiem się o tem niebawem.

ROZDZIAŁ X

Ker Karraje.

Komórka, którą zajmuję, znajduje się o sto kroków od mieszkania hrabiego d'Artigas, i jest jedną z ostatnich z szeregu. Przypuszczam, że jestem w niedalekim sąsiedztwie z Tomaszem Roch. Jeżeli dozorca Gaydon ma pielęgnować chorego z Healthful-House, musi być blisko niego. Zapewne dowiem się o tem wkrótce.

Kapitan Spade i inżynier Serkō mieszkają oddzielnie w bliskości pałacyku d'Artigas'a.

Pałacyku?... Dlaczegoż nie możnaby go tak nazwać, skoro urządzony jest dość stylowo. Sprawne ręce wykuły go w skale, tworząc ozdobną fasadę. Szerokie podwoje prowadzą do wnętrza. Światło przedostaje się przez kilka okien, umieszczonych w skale wapiennej i składających się z różnokolorowych szkielek. Wnętrze składa się z kilku pokoi, sali jadalnej i salonu, oświetlonych witrażem; wszystko jest tak urządzone, aby powietrze miało wszędzie łatwy dostęp. Meble są różnorodnego pochodzenia o kształtach fantastycznych, firm francuskich, angielskich lub amerykańskich. Widocznie właścicielowi chodzi o różnorodność stylów. Pomieszczenie zaś dla służby i kuchnia znajdują się w sąsiednich komórkach poza Bee-Hive.

Po południu wyszedłem ze swojej celi z mocnym postanowieniem „uzyskania audjencji” u hrabiego d'Artigas. Wracał właśnie z wybrzeża jeziora do uła. Ale, czy mnie nie spostrzegł, czy też chciał mnie ominąć, dość, że przyśpieszył kroku i nie mogłem go dogonić.

– A jednak musi mnie przyjąć – pomyślałem.

Podążam do jego mieszkania.

Na progu zjawia się wysoki drab rasy malajskiej, o barwie skóry ciemnej. Głosem ostrym każe mi się oddalić.

Opieram się temu żądaniu i powtarzam dobitnie dwa razy w dobrym angielskim języku:

– Powiedz hrabiemu d'Artigas, że chcę się z nim widzieć w tej chwili.

Odniosło to ten sam skutek, jak gdybym przemawiał do skał Back-Cup! Dzięki ten człowiek widać nie rozumie po angielsku, odpowiada mi bowiem groźnym krzykiem.

W pierwszej chwili mam zamiar dobijać się do drzwi i wołać, ażeby zwrócić uwagę hrabiego d'Artigas. Ale opamiętałem się, wiedząc, że, jedynym wynikiem tych usiłowań byłby gniew malajczyka o sile herkulesowej.

Odkładam na później wyjaśnienie sprawy – wszak nastąpić musi.

Skierowałem się na wschód wzdłuż celek, myśląc o Tomaszu Roch. Dziwi mnie, iż nie spotkałem go dotąd. Czy uległże nowemu atakowi?...

Nie przypuszczam tego. Hrabia d'Artigas, według jego słów, zażądałby pomocy dozorca Gaydona.

Zaledwie uszedłem sto kroków, spotykam inżyniera Serkō.

W dobrym humorze jak zwykle uśmiecha się do mnie uprzejmie, nie unikając mnie wcale. Gdyby wiedział, że jestem jego kolegą inżynierem, o ile nim jest, może traktowałby mnie inaczej... Ale nie powiem mu istotnego mego nazwiska...

Inżynier Serkō zatrzymał się. Oczy mu błyszczą, na ustach igra drwiący uśmiech. Mówi mi dzieńdobry najuprzejmiejszym głosem.

Odpowiadam mu grzecznie, lecz chłodno. Udaje, że tego nie widzi.

– Polecam pana opiece świętego Jonatana, panie Gaydon! – mówi głosem dźwięcznym. – Nie będzie pan żałował szczęśliwej sposobności zwiedzenia jednej z najpiękniejszych pieczar... Tak, jednej z najpiękniejszych... a jednak tak mało znanej na naszym sferoidzie...

To słowo, zaczerpnięte ze słownika naukowego, a wtrącone do rozmowy ze zwykłym dozorcą, zdziwiło mnie, odpowiadam jednak lakonicznie:

– Nie będę żałował, o ile po zwiedzeniu tej pieczary będę mógł z niej się wydostać.

– Co! chciałbyś nas opuścić, panie Gaydon... i powrócić do smutnej twej siedziby w pawilonie Healthful-House?... Nie zdążył pan jeszcze zwiedzić naszej wspaniałej posiadłości, nie zdążył pan podziwiać jej niezrównanej piękności, tego dzieła natury...

– To co widziałem, wystarcza mi w zupełności, i o ile pan do mnie przemawia poważnie, odpowiem panu również poważnie, że nie pragnę widzieć więcej.

– Niech pan pozwoli, panie Gaydon, zwrócić sobie uwagę, że pan nie miał czasu ocenić wszystkich korzyści, wypływających z bytności w tej grocie... życie spokojne i miłe, pozbawione wszelkich kłopotów, przyszłość zapewniona, warunki materialne, jakich się nie spotyka nigdzie, klimat równy, burze, trapiące wybrzeża Atlantyku wykluczone, ani mrozu zimowego, ani letnich upałów!... Nawet zmiany pór roku nie dają się odczuwać w tej umiarkowanej i zdrowotnej atmosferze!... Nie potrzebujemy się tu obawiać gniewu ani Neptuna, ani Plutona...

Wywoływanie tych nazw mitologicznych wydaje mi się zgoła nie na miejscu. Inżynier Serkő widocznie podkpiwa ze mnie. Czyż dozorca Gaydon mógł słyszeć o Plutonie lub Neptunie?...

– Być może – odparłem – że klimat ten dogadza panu, że pan ocenia wszystkie korzyści przebywania we wnętrzu groty...

O mało nie wymówiłem „Back-Cup”... Jaki los spotkałby mnie, gdyby wiedziano, że znam tę wysepkę, a zatem i jej położenie na zachód od wysp Bermudzkich...

To też, zatrzymawszy się w sam czas, dokończyłem:

– Ale jeżeli ten klimat mi nie odpowiada, mam prawo go zmienić, przypuszczam...

– Zapewne, pan ma prawo.

– I przypuszczam, że pozwoli mi pan opuścić te strony i ułatwi mi pan powrót do Ameryki...

– Nie mam powodu przeciwstawić się panu, panie Gaydon – odpowiada inżynier Serkő. – Żądanie pana jest zewszecmiar słuszne. Niech pan jednak weźmie pod uwagę, że żyjemy tu w pełnej niezależności od wszelkiego obcego państwa, że nie podlegamy żadnej władzy z zewnątrz, że jesteśmy kolonistami niezależnymi od żadnego rządu starego i nowego kontynentu... Z tem liczyć się powinna każda wzniosła dusza, każde dumne serce... A przytem ileż wspomnień budzą w każdym kulturalnym umyśle te groty, jak gdyby wyżłobione ręką bogów i w których wypowiadali ongi swe wyrocznie przez usta Trofonjusza...

Stanowczo inżynier Serkő ma upodobanie do mitologii! Trofonjusz po Neptunie i Plutonie! Czyżby wyobrażał sobie, że dozorca szpitalny słyszał o Trofonjuszu? Najwidoczniej kpi ze mnie i muszę użyć najwyższego wysiłku, ażeby mu nie odpowiedzieć w tym samym tonie.

– Przed chwilą – rzekłem oschłym głosem – chciałem wejść do mieszkania hrabiego d’Artigas, zostało mi to wzbronione...

– Przez kogo, panie Gaydon?...

– Przez służącego hrabiego.

– Widocznie otrzymał rozkaz niewpuszczania pana.
– A jednak, czy chce, czy nie chce, hrabia d'Artigas musi mnie wysłuchać...
– Zdaje mi się, że to będzie rzeczą trudną... nawet niepodobną – odpowiada z uśmiechem inżynier Serkō.

– Dlaczego?

– Dlatego, że tu już nie ma hrabiego d'Artigas.

– Pan żartuje – przed chwilą go widziałem...

– Widziałeś pan nie hrabiego d'Artigas, panie Gaydon...

– A kogo, proszę?

– Korsarza Ker Karraje.

Nazwisko to wymówił inżynier Serkō głosem twardym, poczem oddalił się. Zresztą nie przyszło mi nawet do głowy zatrzymać go.

Korsarz Ker Karraje!

Nazwisko to dla mnie jest objawieniem! Znam je i jakież wspomnienia budzi we mnie!... Ono samo tłumaczy mi to, co wydało mi się nie do wytłumaczenia! Ono mówi mi, w jakie ręce wpadłem!

Zestawiając to o czym wiedziałem, z tem, co usłyszałem z ust inżyniera Serkō, mogę opowiedzieć o przeszłości i teraźniejszości tego korsarza, co następuje.

Lat temu ośm czy dziewięć, na zachodzie oceanu Wielkiego dokonywane były zamachy korsarskie niezwykle śmiałe. W tym czasie zgają złoczyńców najróżnorodniejszego pochodzenia, dezertów wojsk kolonialnych, zbiegów z więzień, marynarzy zbiegłych, grasowała pod wodzą groźnego przywódcy. Związkiem tej bandy było odkrycie kopalni złota w Nowej Walji w południowej Australji. Przyciągnęły one całą rzeszę wyrzutków z Europy, i Ameryki, a między nimi kapitana Spade i inżyniera Serkō, dwu osobników wykolejonych, których wspólność poglądów i charakterów zbliżyła niebawem w sposób bardzo zażyły.

Ludzie ci, wykształceni, energiczni byliby wybił się na każdym stanowisku dzięki swej inteligencji. Ale gardząc sumieniem i wszelkimi skrupułami, postanowili wzbogacić się za wszelką cenę i w tym celu oddali się spekulacji i grze, szukając w nich tego, co mogli byli osiągnąć wytrwałą pracą. Życie ich stało się jednym szeregiem nadzwyczajnych wypadków; to wzbogacali się nagle, to wpadali w ruinę, Jak większa część tej rzeszy, która przyszła szukać szczęścia w nowoodkrytych kopalniach.

W tym czasie w Nowej Walji żył człowiek niezrównanej śmiałości, jeden z tych śmiazków nie cofających się przed niczem, nawet przed zbrodnią, a których wpływ na natury złe i gwałtowne jest nieprzezwyciężony.

Tym człowiekiem był Ker Karraje.

Jakie było pochodzenie i narodowość tego korsarza, kim byli jego przodkowie, tego nie mogły wyśledzić nawet najściślejsze badania. Ale o ile on sam potrafił się ukryć pod niedostępną zasłoną tajemnicy, o tyle nazwisko jego stało się głośnem w całym świecie. Wymawiano je ze wstrętem i trwogą, jako przypominające osobnika legendowego, niewidzialnego i nieuchwytnego.

Ja zaś mam powody przypuszczać, że pochodzi z rasy malajskiej. Mniejsza o to zresztą. Jest rzeczą pewną, że uważano go słusznie za rozbójnika groźnego, sprawcę niezliczonych napadów, dokonanych na dalekich morzach.

Po kilku latach pobytu w kopalniach australijskich, gdzie zawarł znajomość z inżynierem Serkō i kapitanem Spade, Ker Karraje zawładnął okrętem w porcie Melbourne w prowincji Victoria. Dobrał sobie jako towarzyszy trzydziestu łotrów, których liczba miała być

niebawem w trójnasób zwiększona. W tej części oceanu Wielkiego, gdzie korsarstwo jest łatwe, powiedzmy nawet owocne, ileż okrętów było obrabowanych, ile załóg zamordowanych, ile wysp napadniętych, a których obronić koloniści nie byli zdolni! Jakkolwiek okręt Ker Karraja, pod dowództwem kapitana Spade, był kilkakrotnie zauważony, nie udało go pochwycić. Zdawało się, że posiadał jakąś szczególną władzę znikania wśród labiryntu archipelagów, znając wszystkie ich przesmyki i ostoje.

Przeto trwoga panowała w tych okolicach. Anglicy, Francuzi, Niemcy, Rosjanie, Amerykanie naprózno ślali swe okręty w pogoń za tym okrętem-widmem, znikającym nagle, niewiadomo gdzie, po dokonanych bezkarnie rabunkach i mordach.

Pewnego dnia wszystko ustało. Przeszto mówić o Ker Karraju. Czyżby opuścił ocean Spokojny dla innych mórz?... Korsarstwo miałoż zakwitnąć gdzie indziej? Wszelako nie było o niem słyhać, więc zaczęto przypuszczać, że Ker Karraje i jego towarzysze, zgromadziwszy ze swych rabunków skarb ogromnej wartości, złożyli go w miejscu bezpiecznym i używali go w spokoju.

Gdzie mogła się ukrywać ta banda?... Wszelkie poszukiwania nie odniosły skutku. Ponieważ jednak niebezpieczeństwo minęło zaczęto puszczać w niepamięć, straszne zdarzenia na oceanie Spokojnym.

Takie byty dzieje tego korsarza – o dalszym ich ciągu nie dowie się nikt, o ile nie będę mógł wy dostać się z Back-Cup.

Tymczasem faktem jest, że ci złoczyńcy, opuszczając zachodnie morza oceanu Wielkiego, posiadali nieprzebrane bogactwa. Zniszczywszy okręt, rozproszyli się w różne strony z zamiarem spotkania na lądzie amerykańskim. Po pewnym czasie inżynier Serkō, biegły mechanik, zapoznawszy się ze strukturą łodzi podwodnych, zaproponował Ker Karrajowi zbudowanie tego rodzaju statku, ażeby rozpocząć na nowo życie zbrodnicze w warunkach bardziej tajemniczych i groźnych.

Ker Karraje zgodził się chętnie na uczynioną mu propozycję, a ponieważ pieniędzy nie brakło, przeto wzięto się natychmiast do dzieła.

Podczas gdy rzekomy hrabia d'Artigas zamówił budowę jachtu Ebba w stoczniach Gotteburgu w Szwecji, budowano dla niego łódź podwodną według podanego. przez niego planu w Cramps w Filadelfji, w Ameryce, co nie wzbudziło żadnych podejrzeń. Zresztą, jak to niebawem zobaczymy, łódź ta przepadła wkrótce. bez wieści.

Była ona zbudowana pod wyłącznym kierunkiem inżyniera Serkō i według podanego przez niego wzoru, który opierał się na wynikach udoskonalonej wiedzy żeglarskiej owego czasu. Prąd, wytworzony przez ogniska nowowynalezione, wprawiał w ruch potężne motory, obracające śruby i zapewniające jej nadzwyczajną szybkość.

Dodawać nie potrzebuję, iż nikt domyślić się nie mógł prawdziwej osobistości hrabiego d'Artigas, jak również jego najbliższego współnika, inżyniera Serkō. Brano go za cudzoziemca, wysokiego pochodzenia, niezmiernie bogatego, który od roku zwiedzał wszystkie porty Stanów Zjednoczonych na jachcie Ebba, statek ten bowiem żeglował po morzach na rok przed wykończeniem łodzi podwodnej. Budowa tej łodzi zajęła ośmnaście miesięcy. Wzbudziła ona zachwyty znawców. Przewyższała w znacznym stopniu łodzie Goubet'a, Gymnot'a, Zédé i inne tego rodzaju statki swą formą, wnętrzem, wentylacją, pojemnością, trwałością, szybkością zanurzenia, ruchliwością, zręcznością steru, nadzwyczajną szybkością, wydajnością swych ogniw, które wprawiały ją w ruch.

Mogli podziwiać ją wszyscy, gdyż po wielu próbach, bardzo udanych, została wprowadzona na pełne morze dla ostatecznej publicznej próby, o cztery mile od Charlestonu, w obecności licznych okrętów wojennych, handlowych, spacerowych, amerykańskich i obcych, zaproszonych w tym celu.

Między niemi znajdował się statek Ebba wraz ze swym właścicielem hrabią d'Artigas, inżynierem Serkō, kapitanem Spade i załogą, zmniejszoną o sześciu marynarzy, posłanych do kierowania łodzią podwodną pod dowództwem mechanika Gibson, śmiałego i zręcznego Anglika.

Stosownie do programu tej ostatecznej próby, łódź miała wykonać najpierw kilka obrotów na powierzchni oceanu, następnie zanurzyć się na kilka godzin pod wodę, dążąc do boi, położonej o kilka mil od statku, ażeby ukazał się na nowo na powierzchni.

W danej chwili wejście, prowadzące do wnętrza, zostało zamknięte i łódź rozpoczęła swe obroty z taką sprawnością i nadzwyczajną szybkością, że wzbudziła powszechny podziw, zresztą całkiem usprawiedliwiony.

Wreszcie na sygnał, dany przez jacht Ebba, łódź zanurzyła się wolno i znikła z powierzchni.

Kilka okrętów popłynęło w stronę, gdzie miała wypłynąć.

Trzy godziny minęły... a statku nie było widać.

Nie wiedziano, że stosownie do umowy z hrabią d'Artigas i inżynierem Serkō łódź ta, przeznaczona do kierowania jachtem, wypłynąć miała o kilka mil dalej. Ale ponieważ nikt nie domyślał się istotnej przyczyny tego zniknięcia, przeto wszyscy byli przekonani, iż zginęła wskutek uszkodzenia kadłubu lub maszyny. Na Ebbie odegrano po mistrzowsku scenę przerażenia, okręty zaś, istotnie zatrużone, posłały nurków dla odszukania rozbitków. Poszukiwania jednak okazały się bezowocne.

Po dwu dniach postoju hrabia d'Artigas wyruszył na pełne morze, a po dwu dobach spotkał się na umówionym miejscu z łodzią podwodną.

W ten sposób Ker Karraje stał się właścicielem tej nadzwyczajnej maszyny o podwójnym użytku: holowania statku i napadania na okręty. Z tem strasznym narzędziem hrabia d'Artigas rozpocząć miał na nowo swe wyprawy korsarskie bezpiecznie i bezkarnie.

O tem wsz.ystkiem dowiedziałem się od inżyniera Serkō, dumnego ze swego dzieła i przeświadczonego o milczeniu więźnia z Back-Cup. Można sobie wyobrazić jaką potężną bronią władał Ker Karraje, ażeby napadać na upatrzone okręty, które domyślić się nawet nie mogły groźnego nieprzyjaciela w niewinnym spacerowym statku. Dokonywał on tego dzieła zniszczenia zwykle w nocy. Zgruchotawszy ostrogą dno okrętu, jacht rzucał się na załogę, mordował ją i zabierał ładunek. W ten sposób zginęła pokaźna liczba okrętów, zapisanych w rubryce nieszczęśliwych wypadków, jako przypadłe bez wieści.

Po odegraniu tej wstrętnej komedji w zatoce Charleston Ker Karraje grasował przez rok cały na Atlantyku w pobliżu Stanów Zjednoczonych. Wzbogacił się niezmiernie. Niepotrzebne towary sprzedawał na dalekich rynkach, zamieniając je na srebro i złoto. Brakowało mu tylko bezpiecznego schronienia, gdzie mógłby złożyć skarby, zanim się podzieli niemi z towarzyszami.

Przypadek przyszedł mu z pomocą. Podczas podwodnych wycieczek w pobliżu wysp Bermudzkich inżynier Serkō i mechanik Gibson natrafili na tunel u podłoża wysepki, którym dostali się do wnętrza Back-Cup. Czy Ker Karraje mógł nawet marzyć o bezpieczniejszem schronieniu?... W ten sposób Back-Cup, będąca dotąd schronieniem dla zwykłych rozbójników, stała się siedzibą bandy nierównie groźniejszej.

Zawładnąwszy wysepkę, hrabia d'Artigas i jego towarzysze urządzili sobie życie, którego obecnie byłem świadkiem. Inżynier Serkō urządził elektrownię bez pomocy maszyn, których zakup mógłby był zwrócić uwagę; posługiwał się jedynie ogniwami, składającymi się z blach metalowych i substancyj chemicznych, w które zaopatrywała się Ebba podczas postojów w Stanach Zjednoczonych.

Dowiedziawszy się o tem wszystkim, zrozumiałem, jaki los spotkał trzymasztowy żaglowiec, w nocy z 19 na 20 bieżącego miesiąca. Okręt, unieruchomiony ciszą morską, znikł wraz z nastaniem dnia, ponieważ napadnięty przez łódź podwodną, zrabowany i zniszczony doszczętnie, poszedł na dno, podczas gdy część jego ładunku powiększyła dobytek jachtu.

W jakież ręce dostałem się i jak skończy się cała ta przygoda?... Będę mógł kiedy wydostać się z Back-Cup, oznajmić światu, kim właściwie jest ten hrabia d'Artigas i tem samem oswobodzić okolice morskie od korsarzy Ker Karraja?

Jeżeli Ker Karraje zdoła pozyskać tajemnicę Tomasza Roch, o ileż groźniejszym stanie się ten niecny człowiek! Przy pomocy nowego narzędzia zniszczenia będzie on panem wszystkich okrętów handlowych, nawet żaden statek wojenny nie będzie mógł stawić mu oporu.

Nie jestem w stanie otrząsnąć się z myśli, które mi nasuwa nazwisko Ker Karraja. Wszystko, w tylko wiedziałem o tym sławnym korsarzu, stoi mi żywo w pamięci, jego działalność na oceanie Wielkim, bezowocne poszukiwania jego statku przez państwo nadmorskie, niewytłumaczone znikanie okrętów na okolicznych morzach wybrzeża amerykańskiego. Podczas gdy sądzono, iż znikł z widowni, on tylko zmienił pole działania, przeniósłszy się na bardziej uczęszczane morza oceanu Atlantyckiego, dzięki swej łodzi podwodnej, którą uważano za pogrzebaną na dnie zatoki Charleston.

Obecnie wiem, że mam do czynienia z Ker Karrajem i że znajduje się na Back-Cup. Ale, jeżeli inżynier Serkō wymówił przede mną to nazwisko, niezawodnie był do tego upoważniony... prawdopodobnie, ażebym się pożegnał z myślą o wolności...

Inżynier Serkō widział dobrze wrażenie, jakie na mnie uczyniło jego wyznanie. Po rozmowie. ze mną udał się wprost do mieszkania Ker Karraja; przypuszczam, że chciał go powiadomić o tem, co zaszło.

Wracając ze swojej długiej przechadzki po wybrzeżu jeziora, usłyszałem kroki tuż za mną.

Obejrzałem się.

Za mną stał hrabia d'Artigas i kapitan Spade. Hrabia spojrzał na mnie wzrokiem badawczym. Nie mogąc zapanować nad swem rozdrażnieniem, zwróciłem się do niego z temi słowy.

– Panie, więzisz mnie na tej wysepce bezprawnie!... Jeżeli uprowadziłeś mnie z Healthful-House dla pielęgnowania Tomasza Roch, to oświadczam, że odmawiam udzielania mu wszelkiej pomocy i proszę, ażebyś mnie odesłał...

Przywódca korsarzy nie odezwał się ani słowem, ani ruchem.

Gniew wezbrał we mnie ponad miarę.

– Odpowiedz pan, hrabio d'Artigas albo raczej – gdyż wiem, kim jesteś... odpowiedz... Ker Karraju...

On zaś na to:

– Hrabia d'Artigas jest Ker Karrajem tak samo, jak dozorca Gaydon jest inżynierem Simonem Hart, i Ker Karraje nie wróci nigdy wolności inżynierowi Simonowi Hart, który zna jego tajemnicę!...

ROZDZIAŁ XI

Pięć dalszych tygodni.

Położenie moje wyświeciło się. Ker Karraje wie, kim jestem... W chwili gdy dokonywany był zamach na Tomasza Roch, wiedział, kim jest jego dozorca.

W jaki sposób człowiek ten dowiedział się o tem, co było tajemnicą dla wszystkich w Healthful-House, w jaki sposób dowiedział się, że inżynier francuski pełni służbę dozorca przy Tomaszu Roch?... Tak czy owak, stoję przed faktem niezaprzeczonem.

Oczywiście musiały go te informacje drogo kosztować. Czyż jednak nie ciągnął z nich korzyści i czy osobnik tego rodzaju liczy się z pieniędzmi, jeżeli dąży do celu?

Odtąd Ker Karraje, a raczej jego wspólnik inżynier Serkō, zajmie moje miejsce przy Tomaszu Roch. Czy będzie szczęśliwszy ode mnie?... Dałby Bóg, żeby jego usiłowania spełzyły na niczem i żeby to nowe nieszczęście ominęło świat cywilizowany!

Nie odpowiedziałem na przemówienie Ker Karraja. Miałem wrażenie, że kula ugodziła wprost we mnie. Nie straciłem jednak równowagi, jak się tego może spodziewał rzekomy hrabia d'Artigas.

Przeciwnie spojrziałem prosto w jego roziskrzone oczy; nie spuścił ich wszakże. Skrzyżowałem ręce za jego przykładem. A jednak był panem mego życia... Jedna chwila, a ciało moje, wrzucone do jeziora, poprzez tunel dostałoby się na pełne morze...

Po tem zajściu pozostawiono mi nadal swobodę. Nie broniono przechadzek po pieczarze, która, rzecz oczywista, nie miała innego wyjścia nad tunel.

Dostawszy się do mojej celi na drugim krańcu Bee-Hive, zacząłem rozmyślać nad swoim nowym położeniem.

Jeżeli Ker Karraje wie, że jestem Simonem Hart, niech przynajmniej nie dowie się nigdy, iż znam dokładnie położenie wysepki Back-Cup.

Co zaś do pielęgnowania Tomasza Roch, to prawdopodobnie hrabia d'Artigas nie myślał nigdy o powierzeniu mi tej czynności. Poniękać żałuję tego, gdyż niezaprzeczenie wynalazca będzie przedmiotem szczególniejszych starań, inżynier Serkō zaś nie oszczędzi sobie trudu, aby wydobyć z niego tajemnicę materiału wybuchowego i zapalnika, mających oddać tak oplakane w skutkach usługi korsarzom... Tak, lepiejby było, gdybym był w dalszym ciągu dozorcą Tomasza Roch... tu... czy w Healthful-House...

Dwa tygodnie minęły, a Tomasza Roch nie spotkałem ani razu. Nikt, powtarzam, nie przeszkadzał mi w codziennych przechadzkach. Materjalną stroną mojej egzystencji nie potrzebuję zajmować się wcale. Przysyłają mi o jednej porze posiłki z kuchni hrabiego d'Artigas, nie mogę bowiem odzwyczaić się jeszcze od nadawania mu niekiedy tego tytułu i nazwiska. Nie jestem wybredny w jedzeniu, ale muszę przyznać, że nie pozostawia nic do życzenia. Dzięki zapasom odnawianym przez Ebbę przy każdej podróży, pożywienie jest doborowe.

Nie brak również przyborów do pisania, które dostarcza mi niemałej rozrywki w mem życiu beczynnem. Dzięki temu mogę zapisywać w mym dzienniku najdrobniejsze fakty, poczynszy od porwania z Healthful-House. Pracy mej nie przerwę, dopóki nie wytrąca mi pióra z rąk. Być może, że przyczyni się ona do odkrycia tajemnicy Back-Cup.

Od 5 do 25 lipca. – Napróżno staram się od dwu tygodni zbliżyć do Tomasza Roch. Najwidoczniej chodzi o to, ażeby ustrzec go od mojego wpływu, jakkolwiek dotąd nieskutecznego. Mam jednak nadzieję, że i usiłowania hrabiego d'Artigas, inżyniera Serkō i kapitana Spade będą również bezowocne.

O ile wiem, Tomasz Roch i inżynier Serkō przechadzali się kilkakrotnie dokoła jeziora. Mogłem nawet zauważyć, że wynalazca uważnie słuchał, co mu przekładał jego towarzysz. Inżynier Serkō oprowadzał go po całej pieczarze, pokazał mu elektrownię, wtajemniczył w szczegóły łodzi podwodnej... Widocznie stan umysłowy Tomasza Roch uległ znacznemu polepszeniu.

Tomasz Roch zajmuje oddzielny pokój w mieszkaniu Ker Karraja. Nie wątpię, że jest codziennie przedmiotem badania przede wszystkim inżyniera Serkō. Zapewne zgodzą się na sumę żadaną za wynalazek; straciwszy pojęcie wartości pieniędzy, może ulegnie pokusie. Wszak ci nędznicy mogą olśnić go stosem złota, nagromadzonego zbrodniczo przez lat tyle!... W stanie umysłu, w jakim się znajduje, wszystkiego spodziewać się można... Skoro wyjawi swój wynalazek, dość będzie sprowadzić do Back-Cup potrzebne substancje, aby wziął się zaraz do pracy. Potrzebne zaś przyrządy zamówią w pierwszej lepszej fabryce stałego ładu... poszczególnymi częściami dla uniknięcia podejrzeń... Włosy na głowie powstają na myśl, czem stać się może w rękach tych bandytów narzędzie destrukcyjne tej miary!

Myśli te nie dają mi chwili wytchnienia, wyczerpują mnie i odbijają się na moim zdrowiu. Pomimo czystego powietrza w Back-Cup, doznaję często duszności. Zdaje mi się, że te grube ściany przygniatają mnie całym ciężarem. A przytem czuję się odcięty od reszty świata, jak gdybym przebywał poza ziemią, nieświadomy tego, co się dzieje w krajach zamorskich! Ach! gdybym mógł wyrwać się przez otwór w sklepieniu, lub przez tunel u podłoża wysepki!...

25 lipca. – W rannych godzinach spotykam wreszcie Tomasza Roch. Stoi sam na przeciwległym brzegu jeziora... Czyżby Ker Karraje, inżynier Serkō i kapitan Spade wyruszyli na nową „wycieczkę” na pełne morze?

Kieruję się w stronę Tomasza Roch, przyglądam mu się bacznie.

Twarz jego zamyślona, poważna nie ma już obłądnego wyrazu. Kroczy wolno, z oczami spuszczone, nie ogląda się dokoła siebie, pod ręką trzyma deseczkę nakrytą kartką papieru, na której widnieją narysowane różne szkice.

Nagle podniósł głowę i zwróciwszy się ku mnie, woła:

– A, to ty... Gaydon!... uciekłem od ciebie!... jestem wolny!

Może się czuć wolnym, wolniejszym tu niż w Healthful-House. Ale obecność moja wywołuje w nim nieprzyjemne wspomnienia, które skończyć się mogą atakiem, gdyż mówi z niezwykłym ożywieniem:

– Tak... to ty... Gaydon!... Nie zbliżaj się do mnie... nie zbliżaj... chciałbyś mnie zabrać... odprowadzić mnie do domu warjatów... Nigdy!... Mam przyjaciół, którzy mnie obronią... Są potężni, są bogaci!... Hrabia d'Artigas jest moim odbiorcą!... Inżynier Serkō moim współnikiem!... Będziemy wyrabiali pociski mego wynalazku... pocisk „Fulgurator Roch”... idź sobie... idź sobie!...

Tomasz Roch wpadł w stan bezmiernego gniewu. Głos podnosi coraz bardziej, zaczyna wymachiwać rękoma, wydobywając z kieszeni garście banknotów i dolarów. Z jego rąk wysuwają się pieniądze złote angielskie, francuskie, amerykańskie, niemieckie. Skądżeby je miał, jeśli nie od Ker Karraja, któremu sprzedał swą tajemnicę...

Na hałas, wywołany naszym spotkaniem, przybiega kilku ludzi... porywają Tomasza Roch, powstrzymują i odnoszą do mieszkania. Zresztą, dość było go usunąć z pod mego wzroku, aby odzyskał spokój i dał się prowadzić.

27 lipca. – W dwa dni później, idąc wzdłuż brzegu, zaszedłem do kamiennej tamy.

Łodzi: podwodnej niema na zwykłym miejscu i nie widać jej nigdzie na jeziorku. Ker Karraje i inżynier Serkō nie mogli wyjechać wczoraj, spostrzegłem ich bowiem nad wieczorem.

Ale dzisiaj mam wszelkie dane twierdzić, że wyruszyli wraz z załogą i kapitanem Spade łodzią podwodną, która ich podwiozła do Ebby, i że w tej chwili są w drodze.

Czyżby znów chodziło o jaki zamach korsarski?... Wszystko jest możliwe... Ale również przypuszczać można, że Ker Karraje, pod postacią hrabiego d'Artigas, dąży na swym statku Ebba do wybrzeża dla zakupu potrzebnych materiałów, których wymaga wyrób fulguratora Roch.

Ach! gdybym mógł się być schować na łodzi podwodnej, dostać się do spodu Ebby i pozostać ukrytym aż do przybycia statku do portu!... Może udałoby mi się uciec... i oswobodzić świat od tej bandy korsarzy!

Nie mogę się pozbyć myśli o ucieczce... Uciec... uciec... Ale ucieczka jest możliwa jedynie przez tunel przy pomocy łodzi podwodnej!... Jest to szaleństwo z mej strony myśleć o tem... a jednak niema innego sposobu wydostania się z Back-Cup...

Gdy tak gubię się w swych rozmyślaniach, spostrzegam, że o dwadzieścia metrów od tamy wody jeziorka rozdzielają się, ukazując łódź podwodną; wieko wejścia podnosi się, na platformę wchodzi mechanik Gibson i kilku marynarzy. Inni od strony Back-Cup przybiegają, aby pomóc przy wylądowaniu. Po chwili łódź spoczywa na swym miejscu.

Tym razem widocznie jacht żegluje bez pomocy łodzi, która odwiozła tylko Ker Karraja i towarzyszy do statku, pomagając im do wydostania się z przesmyków wysepki.

To utrzymuje mnie w mniemaniu, iż hrabia d'Artigas udał się na wybrzeże amerykańskie jedynie w celu zaopatrzenia się w potrzebne materiały do wyrabiania pocisku i zamówienia potrzebnych do tego przyrządów. W dniu oznaczonym, łódź podwodna wyjedzie na spotkanie Ebby, i Ker Karraje powróci do Back-Cup...

Stanowczo zamiary tego złoczyńcy są bliskie spełnienia i to prędzej, niż przypuszczałem!

3 sierpnia. – Dziś jeziorko było widownią ciekawego zdarzenia, powtarzającego się zapewne bardzo rzadko.

Około trzeciej po południu wrzenie, trwające minutę, mąci wodę jeziorka, poczem po upływie dwu minut wrzenie się powtarza w części środkowej.

Kilkunastu korsarzy, zaciekawionych tem zjawiskiem niewytłumaczonym, dąży ku brzegowi z pewnym zdziwieniem i trwogą, o ile mogą sądzić.

Zjawisko to nie jest wywołane łodzią, ponieważ ta stoi przy tamie. Niepodobieństwo zaś przypuszczać, ażeby jaki statek podwodny dostał się do jeziora.

W tej samej chwili rozlegają się krzyki na przeciwległej stronie jeziorka. Jest to wołanie kilku ludzi, przemawiających twardą, niezrozumiałą mową do towarzyszy z przeciwległego brzegu, poczem ci dążą w stronę Bee-Hive.

Czyżby spostrzegli jakiego potwora morskiego błędzącego w wodach jeziorka?... Może pobiegli po odpowiednią broń z zamiarem złowienia go....

Zgadłem, gdyż po chwili wracają, uzbrojeni w strzelby o kulach wybuchowych i harpuny o długich wędkach.

Jest to wieloryb – z rodzaju potfiszów, krążących w znacznej liczbie w bliskości wysp Bermudzkich. Musiał przedostać się przez tunel do jeziorka. Jeżeli zwierzę szukało schronienia wewnątrz Back-Cup, musiało, jak przypuszczam, być tu zagnane przez poławiaczy wielorybów...

Po kilku minutach wieloryb wypływa znów na powierzchnię wody. Widnieje jego ciało olbrzymie, błyszczące, zielonkawe, rzucające się, jak gdyby walczył z nieprzyjacielem. Z nozdrzy tryskają dwie fontanny z głośnym szelestem...

Jeżeli zwierzę uciekło przed połowem wielorybów, to znaczy, że w bliskości Back-Cup jest okręt... może na kilkaset sążni od wybrzeża... Ale zapewne na zachodnim brzegu wysepki... I nie móc się z nim porozumieć!...

A nawet gdyby tak było, jakże mógłbym się do niego dostać przez ściany Back-Cup?

Wreszcie przyczyna tego zjawiska wyjaśnia się. Nie rybacy zagnali tu wieloryba, lecz stado rekinów, przebywających w wielkiej liczbie w okolicach wysp Bermudzkich. Spostrzegam je z łatwością wśród wód. Jest ich pięć do sześciu; otwierają ogromne paszczęki, najeżone zębami jak zgrzebło kolcami. Rzucają się na wieloryba, który się broni, wymachując ogonem. Na jego ciele widać szerokie rany, z których ociekająca krew zabarwia wodę, podczas gdy on zanurza się, wypływa, nie mogąc uchronić się od tych zdradliwych ukąszeń.

A jednak zwycięstwo nie będzie udziałem tych żarłocznych stworzeń. Na brzegu stoją towarzysze Ker Karraja, warci tyle, co te rekiny, korsarze bowiem, a te tygrysy morskie – to jedno! Czyhają na wieloryba, który przyda się bardzo mieszkańcom Back-Cup!

W tej chwili wieloryb zbliża się do tamy, na której stoi malajczyk hrabiego d'Artigas wraz z innymi, niemniej od niego silnymi marynarzami.

Malajczyk trzyma w ręku harpun, do którego przywiązana jest długa lina. Wstrząsnawszy nim silnie, rzuca go z równą siłą jak zręcznością.

Wieloryb, ugodzony pod lewą płetwą, zanurza się nagle, a za nim rekiny. Lina harpuna rozwija się na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu metrów. Pozostaje tylko pociągnąć linę ku sobie, ażeby zwierzę, ukazawszy się na powierzchni, wydało ostatnie tchnienie.

Malajczyk i jego towarzysze postępują ostrożnie, obawiając się wyrwać harpun z ciała zwierzęcia. Po chwili wieloryb ukazuje się przy ścianie przylegającej do tunelu.

Olbrzymi ssak, ugodzony śmiertelnie, rzuca się w drgawkach agonji, wypuszczając kłęby pary, powietrza i wody zabarwionej krwią. W ostatnim wysiłku odrzuca jednego z rekinów na skały.

Poczem nagle szarpnięciem wyrywa harpun z pod płetwy i znika pod wodą. Niebawem jednak wypływa na powierzchnię, a uderzenie jego ogona jest jeszcze tak potężne, że wody ustępują i ukazuje się górna część wejścia do tunelu.

Rekiny rzucają się na zdobycz, ale spłoszone gradem kul, padają ugodzone lub ratują się ucieczką.

Prawdopodobnie znalazły wejście do tunelu. W każdym razie bezpieczniej jest nie kapać się dni kilka w wodach jeziora.

Do wieloryba zaś, dwu ludzi popłynęło łodzią, ażeby go wciągnąć na tamę, poczem jego ciało poćwiartował malajczyk, widocznie wprawny w tego rodzaju zajęcia.

Dowiedziałem się wreszcie, że wejście do tunelu znajduje się w ścianie zachodniej wysepki... Wejście to jest tylko o trzy metry pod wodą. Do czego jednak służyć mi może ta wiadomość?

7 sierpnia. – już dwanaście dni minęło od chwili, kiedy hrabia d'Artigas, inżynier Serkō i kapitan Spade wypłynęli na morze. Nie wróży nic ich prędkiego powrotu. Zauważyłem jednak, że łódź stoi w pogotowiu i że mechanik Gibson nie przerywa działania ogniw. Przypuszczam, że jacht zawita nocą do Back-Cup, bo o ile pożądana jest dzienna wycieczka do portów amerykańskich wybrzeża, o tyle bezpieczniejszy powrót do wysepki o zmroku.

10 sierpnia. – Przewidzenia moje sprawdziły się. Wczoraj wieczorem łódź podwodna wyjechała na spotkanie Ebby dla przeprowadzenia goszczących na niej pasażerów.

Dziś rano widzę Tomasza Roch i inżyniera Serkō rozmawiających nad brzegiem jeziora. Nietrudno się domyślić, o co im chodzi. W oddaleniu dwudziestu kroków mogłem się dobrze przypatrzeć mojemu eks-towarzyszowi.

Oczy mu błyszczą, czoło się rozjaśnia, wyraz twarzy się zmienia pod wpływem słów inżyniera Serkō. Nie może ustać na miejscu. Spieszy ku tamie.

Inżynier Serkō podąża za nim i obaj zatrzymują się na brzegu w bliskości łodzi.

Załoga, zajęta wyładowywaniem, składa pomiędzy skały dziesięć skrzyń średniej wielkości.

Na pokrywach tych skrzyń widnieją litery czerwonej barwy, którym Tomasz Roch przygląda się bacznie.

Inżynier Serkō tymczasem wydaje rozkaz, ażeby skrzynie te, pojemności hektolitra każda, zaniezione były do składów na lewym wybrzeżu, co też natychmiast uskutecznił przy pomocy łódki.

Moim zdaniem skrzynie te zawierają substancje, które razem wzięte, służą do wytworzenia materiału wybuchowego i zapalnika. Co do przyrządów, musiały być zamówione w jednej z fabryk kontynentu i statek Ebba je przywiezie, kiedy będą gotowe.

Tym razem więc Ebba nie powróciła z kradzionym ładunkiem i nie powiększyła liczby swych zbrodni. Ale odtąd jak potężną bronią władać będzie Ker Karraje w walce morskiej! Jeżeli wierzyć mamy Tomaszowi Roch, cała kula ziemską jest na łasce jego niszczycielskiego pocisku... Kto wie, czy nie skorzysta z tego pewnego dnia.

ROZDZIAŁ XII

Rady inżyniera Serkō.

Na lewej stronie wybrzeża urządzono Tomaszowi Roch pracownię w szopie. Zajęty jest całymi godzinami. Nikt do niego nie wchodzi. Prawdopodobnie nie wtajemnicza nikogo w swe prace. Sposób użytkowania fulguratora Roch wydaje mi się niezmiernie prosty. Tego rodzaju bowiem pocisk nie wymaga ani działa, ani moździerza, ani lufy rzutowej jak kula armatnia Żalińskiego. Ponieważ porusza się sam przez się, zawiera więc w sobie samym siłę, potrzebną do jego wyrzucenia; okręt zaś, znajdujący się w jego obrębie działania, narażony jest na zniszczenie samem działaniem zgęszczonych warstw atmosferycznych. Któż będzie w stanie oprzeć się Ker Karrajowi, rozporządzającemu takim niewyciężonym narzędziem destrukcyjnym?...

Od 11 do 17 sierpnia. – Przez cały ten tydzień Tomasz Roch był zajęty bez przerwy. Co rano wynalazca wchodzi do swej pracowni, gdzie pozostaje do późnej nocy. Nie staram się ani go widzieć, ani rozmawiać z nim. Jakkolwiek pozostaje obojętny na wszystko, co nie dotyczy jego pracy, wydaje się zupełnie zrównoważony. I dlaczegóżby nie miał odzyskać pełni swych władz umysłowych?... Wszak zaspokoił pragnienie swej żądzы twórczej, wprowadzając w czyn zamierzenia lat wielu...

Noc z 17 na 18 sierpnia. – O pierwszej w nocy zerwałem się ze snu pod wpływem wystrzałów, dochodzących z zewnątrz.

Byłbyż to napad na Back-Cup?... Czy kto zwrócił uwagę na jacht i śledził go aż do wejścia do przesmyku? Czy chcą zniszczyć wysepkę, bombardując ją?... Może wreszcie sprawiedliwość dosięgnie tych złoczyńców, zanim Tomasz Roch skończy swą pracę i narzędzia zamówione przybędą do Back-Cup...

Wystrzały te, niezmiernie gwałtowne, powtarzają się kilkakrotnie w różnych odstępach. Przychodzi mi na myśl, że jacht jest zgładzony, że wszelka komunikacja ze stałym lądem jest przerwana, zaopatrywanie wysepki uniemożliwione...

Wprawdzie łódź podwodna zawiezie w każdej chwili hrabiego d'Artigas na wybrzeże amerykańskie; rozporządzając zaś dostateczną ilością pieniędzy, będzie mógł z łatwością zbudować inny statek spacerowy... Mniejsza o to! Bogu dzięki, jeżeli Back-Cup ulegnie zniszczeniu, zanim fulgurator Roch dostanie się w ręce Ker Karraja!...

Z nastaniem dnia wychodzę czem prędzej ze swojej celi...

Nic nowego w Bee-Hive.

Marynarze przy zwykłej pracy, Tomasz Roch dąży do swej pracowni. Ker Karraje i inżynier Serkō przechadzają się spokojnie po brzegu jeziora. Ani śladu nocnego napadu. A jednak wystrzały zbudziły mnie ze snu.

W tej chwili Ker Karraje wraca do swego mieszkania, inżynier Serkō zaś zbliża się do mnie uśmiechnięty, z wyrazem twarzy ironicznym jak zwykle.

– I cóż, panie Simonie Hart, przyzwyczał się pan wreszcie do naszego życia w środowisku tak spokojnym?... Ocenia li pan należycie dodatnie strony tej zaczarowanej groty? Rozstał się pan z myślą o odzyskaniu wolności... o opuszczeniu tej cudownej pieczary

i

„...tych miejsc czarujących,

*Gdzie dusza moja, pełna zachwytu,
z lubością patrzyła na Sylwję”...*

Gniew byłby nie na miejscu wobec tego szyderycy, to też odpowiedziałem spokojnie:

– Nie, panie, nie rozstałem się z swoją myślą i ufam zawsze, że wolność wróconą mi będzie...

– Jakto, panie Hart, mielibyśmy rozstać się z człowiekiem, którego wszyscy cenimy, a ja z moim kolegą, który może posiada część tajemnicy Tomasza Roch!... Pan nie myśli na serjo!

Więc to dla tego powodu trzymają mnie w więzieniu Back-Cup!

Przypuszczają, że wynalazek Tomasza Roch jest mi części znany... że zmuszą mnie do mówienia, o ile Tomasz Roch milczeć będzie... Dlatego to uprowadzili mnie wraz z nim... dlatego nie przywiązali mi kamienia do szyi i nie odesłali na dno jeziora... Dobrze o tem wiedzieć...

I odpowiadając na ostatnie słowa inżyniera Serkō, powtarzam:

– Myślę bardzo na serjo!

– A ja – ciągnie dalej mój rozmówca – gdybym miał zaszczyt nazywać się Simonem Hart, rozumowałbym w ten sposób: biorąc pod uwagę z jednej strony, osobistość Ker Karraja, powody, dla których wybrał jako siedzibę tę tajemniczą pieczarę, konieczność, zmuszającą do ukrywania tej pieczary w interesie nietylko hrabiego d’Artigas, lecz i jego towarzyszy...

– Wspólników, chciał pan powiedzieć...

– Niech będzie wspólników... A z drugiej strony zważywszy, iż nieobce jest panu istotne nazwisko hrabiego d’Artigas i że pan wie, w jak tajemniczej kasie chowa on swoje bogactwa...

– Bogactwa skradzione i skalane krwią, panie Serkō!...

– Niech i tak będzie!... powinien pan zrozumieć, że sprawa pana wolności nie może być rozwiązana po myśli pana.

Wobec tego wszelka dyskusja upada. To też zwracam rozmowę na inny przedmiot.

– Czy mógłbym wiedzieć, jakim sposobem dowiedział się pan, że dozorca Gaydon jest Simonem Hart?

– Nie mam żadnego powodu ukrywać tego przed panem, kochany kolego... Zawdzięczam to poniekąd przypadkowi... Utrzymywaliśmy stosunki z fabryką, w której pracował pan i którą opuścił pan pewnego dnia w warunkach dość osobliwych... Otóż, zwiedzając Healthful-House na kilka miesięcy przed hrabią d’Artigas, widziałem tam pana... i poznałem...

– Pan?...

– Ja sam i od tej chwili obiecałem sobie, że pan będzie moim towarzyszem na pokładzie Ebby...

Nie przypominałem sobie wcale jego bytności w Healthful-House, ale być może, że mówił prawdę...

„Mam nadzieję, że ta zachcianka kosztować cię będzie drogo, prędzej czy później”, pomyślałem.

A głośno dodałem:

– Jeżeli się nie mylę, pan skłonił Tomasza Roch do odkrycia tajemnicy.

– Tak panie, za miliony... o, miliony, te mamy na zawołanie... To też napełniliśmy niemi kieszenie wynalazcy!

– I poco mu te miliony, skoro nie może z nich korzystać na swobodzie?

– Nie troszczy się bynajmniej o to, panie Hart. Genjalny ten człowiek nie zajmuje się wcale przyszłością... żyje jedynie teraźniejszością... Gdy w Ameryce wykonywają jego przyrządy według podanych planów, on zajmuje się przygotowaniem substancji chemicznej, którą rozporządza w dowolnej ilości... A znakomity jest ten jego pocisk samorzutny, zdolny sam przez się zwiększać swą szybkość w miarę zbliżania się do celu, dzięki właściwości pewnego prochu o stopniowym spalaniu się!... Jest to wynalazek, który zmieni zupełnie dotychczasowe sposoby prowadzenia walki...

– Defensywnej, panie Serkō?

– I ofensywnej, panie Hart.

– Naturalnie – odpowiedziałem.

A chcąc się jeszcze czegoś dowiedzieć od inżyniera Serkō, dodałem:

– A więc to, czego nie mógł dowiedzieć się nikt od Tomasza Roch...

– Dowiedzieliśmy się bez wielkiej trudności.

– Za cenę...

– Za cenę nieprawdopodobną... i równocześnie pobudzając w nim strunę niezmiernie wrażliwą...

– Jaką strunę?...

– Zemsty!

– Zemsty?... nad kim?

– Nad wszystkimi, którzy stali się jego wrogami, zniechęcając go, odpychając; odmawiając mu gościny, zmuszając go do żebrania od kraju do kraju zapłaty za wynalazek tak niezaprzeczonej wartości! Uczucie patriotyzmu zgasło na zawsze w jego duszy. I żyje w nim tylko jedna jedyna myśl... pragnienie okrutne zemsty nad tymi, którzy go zapoznali... nawet nad całą ludzkością!... Doprawdy, panie Hart, rządy Europy i Ameryki są nie do usprawiedliwienia, że nie chciały zapłacić żądanej sumy za jego niebywały wynalazek!...

I inżynier Serkō z zapalem opowiada mi o różnych korzyściach nowego pocisku, nieskończenie przewyższającego pocisk otrzymany zapomocą nitro-metanu, zastępujący atomem sodu jeden z trzech atomów wodoru, bardzo głośny w tym czasie.

– A co za siła niszczycielska! – dodaje. – Podobny jest do pocisku Żalińskiego, lecz daleko większy i nie wymaga osobnego przyrządu do wyrzucania go, ponieważ unosi się jak gdyby na własnych skrzydłach w przestrzeni!

Słuchałem uważnie w nadziei, że uchwycę choć w części jego tajemnicę. Naprawdę – inżynier Serkō nie powiedział tego, czego powiedzieć nie chciał.

– Czy Tomasz Roch wtajemniczył pana w skład swego materiału wybuchowego?

– Tak, panie Hart, choć to może panu się nie podoba, i wkrótce będziemy go mieli pod dostatkiem.

– Czyż nagromadzenie tak wielkiej ilości tego materiału nie przedstawia niebezpieczeństwa? Pierwszy wybuch groziłby zagładą wysepce...

I znów o mało nie wymówiłem jej nazwy. Zbyt wiele wiadomości z mej strony co do osobistości Ker Karraja i pochodzenia wysepki mogło im być nie na rękę.

Na szczęście inżynier Serkō nie spostrzegł mego niedomówienia.

– Nie obawiamy się niczego – rzekł. – Wybuch nastąpić może pod wpływem tylko swoistego zapalnika. Ani uderzenie, ani ogień nie mają tu żadnego znaczenia.

– Czy Tomasz Roch sprzedał również tajemnicę swego zapalnika?

– Jeszcze nie, panie Hart, ale wkrótce dobijemy targu. Niema zatem niebezpieczeństwa i może pan spać spokojnie!... Nie mamy wcale ochoty wylecieć w powietrze wraz z naszym skarbem! Jeszcze kilka lań pracy, a podzielimy się zdobyczą... wystarczy, ażeby każdemu z

nas zapewnić życie dostatnie... po zlikwidowaniu Towarzystwa Ker Karraje i S-ka! Przytem dodaję, że jak nie boimy się wybuchu, tak również nie grozi nam żadne doniesienie... które skutecznie mógłby pan tylko, kochany panie Hart! Dlatego radzę panu zrezygnować ze swoich żądań i uzbroić się w cierpliwość aż do chwili zlikwidowania naszego towarzystwa... Wtedy, zobaczymy, co z panem uczynić należy, aby zapewnić nam bezpieczeństwo!

Słowa te, przyznać muszę, nie uspokoiły mnie bynajmniej. Co prawda mamy jeszcze czas. Ale obecnie utrwalam sobie w pamięci, że jakkolwiek Tomasz Roch sprzedał tajemnicę swego pocisku towarzystwu Ker Karraje i S-ka, zachował dla siebie tajemnicę zapalnika, bez którego pocisk wart tyle, co pył przydrożny.

Uważam jednak, że przed zakończeniem rozmowy powinienem zwrócić uwagę inżyniera Serkō na rzecz zresztą całkiem naturalną.

– Panie – mówię – obecnie, gdy pan wie, jaki jest skład pocisku, czy pan może twierdzić, że istotnie posiada on tak wielką siłę, jaką wynalazca mu przypisuje? Czyż został wypróbowany?... Czy nie kupiliście czasem mieszaniny tak błahej, jak szczypta tabaki?

– Może pan wie więcej, niż pan chce to okazać, panie Hart. Niemniej dziękuję panu za zajęcie się naszą sprawą i niech pan będzie zupełnie spokojny. Przeszłej nocy wykonaliśmy cały szereg prób. Kilka gramów tej mieszaniny wystarczyło, aby w proch obrócić olbrzymie skały.

Widocznie odnosiło się to do wybuchów, które mnie w nocy przebudziły.

– Mogę więc upewnić pana, kochany kolego, że nie obawiamy się żadnego rozczarowania. Działanie tego materiału wybuchowego przechodzi wszelkie wyobrażenie. Byłby w stanie, w ilości kilku tysięcy tonn, zburzyć naszą planetę i rozrzucić ją kawałkami w przestrzeni na podobieństwo wypadku z planetą, która wybuchła pomiędzy Marsem i Jowiszem. Niech pan będzie pewny, że może w proch obrócić każdy okręt na odległość niedostępną dotąd dla żadnego pocisku i to w obrębie dobrej mili... Słabą stroną tego wynalazku jest regulacja ognia, której zmiana wymaga dłuższego czasu...

Inżynier Serkō zatrzymuje się, nie chcąc więcej powiedzieć, a po chwili dodaje:

– Kończę, panie Hart, tem od czego zacząłem. Zgódź się ze swem nowem położeniem i nie zaprzataj sobie myśli niepotrzebnie!... Zastosuj swe życie do rozkoszy tego podziemnego bytowania... Zachowuje ono zdrowie, o ile się je posiada, uzdrawia, o ile szwankuje... Masz przykład na swoim ziomku... Jest to najlepsza rada, jaką służyć mogę!

To mówiąc, ten dobry doradca wstawia mnie, skłoniwszy się przyjaźnie, jak człowiek ożywiony najlepszymi chęciami, które powinny być należycie ocenione. Ileż jednak w tem wszystkim ironji, wyrażającej się w jego słowach, spojrzeniu, postawie! Będę się mógł za to zemścić kiedykolwiek?

W każdym razie zapamiętałem z tej rozmowy jedno, że regulacja ognia jest rzeczą dość zawikłaną. A zatem, prawdopodobnie to milowe pole działania fulguratora Roch przedstawia granicę, przed którą lub poza którą okręt jest bezpieczny... Gdybym mógł zawiadomić o tem, kogo należy...

20 sierpnia. – Dwa dni przeszły bez żadnego wypadku, godnego zaznaczenia.

Codziennie przedłużam swoje przechadzki do ostatecznych granic Back-Cup. Wieczorem, patrząc na długą perspektywę łuków, oświetlonych światłem lamp elektrycznych, nie mogę się oprzeć nieomal religijnemu wrażeniu i podziwiam cuda natury tej pieczary, która stała się mojem więzieniem. Zresztą nie rozstaję się nigdy z nadzieją odkrycia jakiejś szczeliny niedostrzeżonej przez tych korsarzy, która ułatwiłaby mi ucieczkę! Wprawdzie, gdybym się przez nią przedarł, musiałbym czekać na zbliżający się okręt..., Ucieczkę moją zauważyliby niebawem w Bee-Hive... Pochwyconoby mnie wkrótce... o ile... o ile łódka... łódka Ebby, która stoi w przystani... Gdybym mógł się do niej dostać... wypłynąć z przesmyków... podążyć do St. Georges lub Hamiltonu...

Wieczorem, około dziewiątej, rozciągnąłem się na piasku, mi stóp jednego ze słupów, o sto metrów na wschód od jeziora. W kilka chwil później usłyszałem najpierw kroki, następnie głosy w niedalekiej ode mnie odległości.

Ukryty za urwiskiem podnożem słupa nasłuchuję...

Poznaję głosy Ker Kerra i inżyniera Serkō. Zatrzymali się i mówią po angielsku – język to ogólnie używany w Back-Cup. Będę mógł zatem zrozumieć, o co im chodzi.

Rozmawiają właśnie o Tomaszu Roch, a raczej o jego fulguratorze.

– Za tydzień – mówił Ker Karraje – pojadę do Wirginji po zamówione części przyrządów; muszą już być gotowe...

– O ile będziemy je mieli – odpowiada inżynier Serkō – zajmę się ich zmontowaniem i urządzeniem koźłów do ich wyrzucania. Ale przede wszystkim należy wykonać pracę, która wydaje mi się niezbędną...

– A która polega? – pyta Ker Karraje.

– Na przebiciu ściany wysepki...

– Przebiciu?

– Tak, ale jedynie wąskiego korytarza, przez który wydostaćby się mógł tylko jeden człowiek i którego wejście dałoby się zamknąć łatwo, zewnętrzne zaś wejście ukryłoby się całkowicie w skałach.

– I naco to, Serkō?

– Nieraz myślałem o tym, że powinniśmy mieć, oprócz tunelu podmorskiego, jeszcze inne połączenie ze światem zewnętrznym... Niewiadomo, co może się zdarzyć...

– Ależ te ściany są tak grube i tak twarde – zauważył Ker Karraje.

– Kilka ziarenek wybuchowego materiału Tomasza Roch wystarczy – odparł inżynier Serkō – do zmiżdżenia tej skały na proch tak znikomy, że dość będzie dmuchnąć, by się rozleciał!...

Nietrudno domyślić się, z jaką uwagą słuchałem tej rozmowy.

Wszak mówili o zetknięciu się ze światem inną drogą niż tunelem... Kto wie, czy nie będę mógł z tego skorzystać?

W tej chwili Ker Karraje odpowiada.

– Zgadza się, Serkō, przyda się nam ono w razie obrony Back-Cup... dla przeszkodzenia zbliżaniu się okrętu... Wprawdzie jest to możliwe tylko w razie, gdyby nasze schronienie było odkryte, czy to przypadkiem, czy wskutek doniesienia...

– Nie potrzebujemy się obawiać ani przypadku, ani doniesienia...

– Ze strony naszych towarzyszy – nie, z pewnością, ale ze strony tego Simona Hart.

– On – zawołał inżynier Serkō – musiałby wpierw uciec... a z Back-Cup nie można uciec!... Zresztą, przyznaję, ten człowiek mnie zajmuje... W każdym razie jest to mój kolega i podejrzewam go, że wie więcej o wynalazku Tomasza Roch, niż się wydaje... Podejdę go w ten sposób, iż wkońcu porozumiemy się; będziemy rozmawiali o fizyce, mechanice, balistyce, jak para przyjaciół...

– Wszystko jedno! – odpowiada szlachetny i czuły hrabia d'Artigas. – Skoro posiadziemy całkowitą tajemnicę Tomasza Roch, lepiej pozbyć się...

– Mamy jeszcze czas, Ker Karraje...

„O ile bóg wam go pozostawi, nędznicy!”, pomyślałem, powstrzymując gwałtowne bicie serca.

A jednak bez zrzędzenia opatrności, na czym oprzeć mogłem moją nadzieję?...

Rozmowa przeszła na inne tory.

– Teraz – mówi Ker Karraje – kiedy znamy skład chemiczny materiału wybuchowego, musimy za wszelką cenę otrzymać od Tomasza Roch tajemnicę jego zapalnika...

– To jest niezbędne – odpowiada inżynier Serkō – staram się nakłonić go do tego. Na nieszczęście Tomasz Roch trzyma się odpornie. Zresztą, przygotował już kilka kropli tego zapalnika; zużytkowaliśmy go do próby, dostarczy go zatem również do przebicia otworu...

– Ale... do naszych morskich wycieczek – zaczyna Ker Karraje.

– Cierpliwości... osiągniemy wszystko od Tomasza Roch.

– Jesteś tego pewny, Serkō?

– Pewny... za odpowiednią cenę, Ker Karraje.

Rozmowa urwała się na tych słowach, poczem obaj oddalili się, nie spostrzegłszy na szczęście mojej obecności. Inżynier Serkō bronił poniekąd swego kolegi, ale hrabia d'Artigas nie okazał się dlań życzliwym wcale. Przy najmniejszym podejrzeniu wrzuconoby mnie do jeziora, a stąd wy dostałbym się jako trup na pełne morze.

21 sierpnia. – Nazajutrz inżynier Serkō oglądał miejsca, nadające się najbardziej do przebicia korytarza. Po drobiazgowych poszukiwaniach zdecydowano, że przebicie wykonane będzie w ścianie położonej o dziesięć metrów od pierwszych cel Bee-Hive.

Z niecierpliwością oczekuję na dokonanie tej pracy. Kto wie, czy nie ułatwi mi ucieczki... Ach! gdybym umiał pływać, może próbowałbym uciec przez tunel teraz, gdy wiem dokładnie, jak się doń dostać. Przyjrzałem się wejściu podczas zdarzenia na jeziorze. W chwili gdy pod uderzeniem ogona wieloryba wody usunęły się, wierzchnia część otworu stała się przez chwilę widoczną. Przypuszczałem, że podczas największego odpływu morza przy pełni księżyca lub jego zmianie będę mógł... zresztą upewnię się o tem!...

Nie wiem, naco mi się przyda to upewnienie, w każdym razie nie pomnę żadnej sposobności wydostania się z Back-Cup.

29 sierpnia. – Tego rana jestem obecny przy odjeździe łodzi podwodnej. Zapewne chodzi tu o podróż, o której wspominał hrabia d'Artigas, do jednego z portów amerykańskich po ładunek, zamówionych przyrządów.

Hrabia d'Artigas rozmawia przez chwilę z inżynierem Serkō, pozostającym na miejscu, i daje mu zlecenia, dotyczące się, o ile mi się zdaje, mojej osoby. Poczem wchodzi na platformę łodzi, a stąd udaje się do wnętrza w towarzystwie kapitana Spade i załogi Ebby. Wnet wieko zamyka się, i łódź zanurza się pod wodę, mącąc na chwilę gładką jej powierzchnię.

Godziny mijają, dzień się kończy. Łódź nie wraca, znaczy, iż holuje jacht podczas podróży...a może również niszczy okręty, napotkane po drodze...

W każdym razie statek prawdopodobnie wróci niedługo, gdyż tydzień wystarczy na podróż w obie strony.

Pogoda sprzyja żegludze, o ile wnieść mogę ze stanu atmosfery we wnętrzu pieczary. Przytem jest to najpiękniejsza pora roku na tej szerokości wysp Bermudzkich. Ach! gdybym mógł się przedostać przez ściany mego więzienia!...

ROZDZIAŁ XIII

Na los szczęścia.

Od 29 sierpnia do 10 września. – Trzynaście dni minęło, a Ebby nie widać. Czyżby zatrzymała się w drodze do wybrzeża amerykańskiego w celu nowego korsarskiego napadu? Zdawałoby się jednak, że Ker Karrajowi zależy na jak najprędszym sprowadzeniu zamówionych przyrządów... chyba że jeszcze niegotowe.

Co więcej, wydaje mi się, że inżynier Serkō nie jest zniecierpliwiony tem opóźnieniem. Obdarza mnie stale swą uprzejmością. Mam jednak powody strzec się jego względów. Pyta się o stan mego zdrowia, doradza mi zachowanie zupełnego spokoju, nazywa mnie Alibabą, wmawia we mnie, że na świecie całym niema czarowniejszego miejsca, niż ta grota z Tysiąca i jednej nocy, że mam mieszkanie, opał, pożywienie, odzież, a nie potrzebuję myśleć ani o zapłacie, ani o podatkach, że nawet w Monako nie znalazłbym dogodniejszych warunków...

Chwilami wobec tej ciągłej jego ironji krew uderza mi do głowy. Chęć mnie bierze niekiedy chwycić za gardło tego zatwardziałego kpiarza i udusić za jednym zamachem... Zabijają mnie potem... Mniejsza o to... Czy nie lepiej umrzeć, niż żyć lata całe w tem nieczym środowisku?

Rozum wszakże nakazuje mi co innego... wreszcie wzruszam ramionami.

Tomasza Roch nie widzę prawie wcale, odkąd Ebba wyruszyła. Zamknięty w pracowni oddaje się bez przerwy swemu zajęciu. Jeżeli zużyje cały zapas nagromadzonych substancyj, będzie mógł wysadzić w powietrze nie tylko Back-Cup, lecz całe Bermudy!...

Pociesza mnie myśl, że nie zechce odkryć tajemnicy swego zapalnika i że inżynier Serkō na próżno starać się będzie go przekupić... Czy jednak nie mylę się?...

13 września. – Dziś własnymi oczami przekonałem się o sile materiału wybuchowego i o sposobie użycia zapalnika.

W rannych godzinach zaczyna się praca przebicia skały.

Pod kierownictwem inżyniera Serkō pracownicy zaczynają kuć u podnóża skały, której wapień posiada twardość granitu. Praca ta rozpoczyna się przy pomocy kilofów. Gdyby jednak zadowolono się tylko temi narzędziami, praca przeciągnęłaby się do nieskończoności, zważywszy grubość ściany, wynoszącą od dwudziestu do dwudziestu pięciu metrów w tej części podstawy Back-Cup. Ale od czegoż jest fulgurator Roch?

To co widziałem, wprawiło mnie w zdumienie. Zburzenie ściany, z którą walczył kilof z takim wysiłkiem, dokonane zostało z nadzwyczajną łatwością.

Kilka gramów wybuchowego materiału wystarczyło do zmiążdżenia tej masy skalnej, do obrócenia jej w proch prawie nienamacalny, unoszący się za najlżejszym podmuchem. Tak! – powtarzam – pięć do dziesięciu gramów było w stanie wytworzyć wklęsłość objętości sześciennego metra, z hukiem, podobnym do wystrzału armatniego, a wywołanym gwałtownym wstrząsem powietrza.

Przy pierwszym użyciu tego materiału, jakkolwiek w niezmiernie drobnej ilości, kilku ludzi, zbyt zbliżonych da ściany, uległo przewróceniu. Dwu z nich otrzymało poważne rany, nawet inżynier Serkō został odrzucony wtył z silnemi obrażeniami.

Użycie tej substancji, której siła przechodzi moc wszystkich dotychczasowych odkryć, dokonywa się w sposób następujący.

Do wykutego w skale otworu długości pięciu centymetrów, a szerokości dziesięciu milimetrów w kierunku ukośnym, wprowadza się kilka gramów wybuchowego matetru. Otworu nie potrzeba nawet zasłaniać.

Wtedy Tomasz Roch, trzymając w ręku małą szklaną rurkę z płynem niebieskawym, tłustym i ścinającym się przy zetknięciu z powietrzem, wlewa jedną kroplę do otworu, poczem oddala się bez zbytego pośpiechu. W istocie, dopiero po upływie trzydziestu pięciu minut następuje połączenie płynu z materiałem wybuchowym, którego destrukcyjny skutek jest tak wielkiej siły, że wydaje się nieskończony, a w każdym razie nieporównanie przewyższający siłę wszystkich dotychczasowych materiałów wybuchowych.

W tych warunkach przebicie tej twardej i grubej ściany będzie trwało około tygodnia.

19 września. – Zauważyłem od pewnego czasu, że zjawisko przyływu i odpływu, dotąd skutecznijące się bardzo prawidłowo poprzez tunel podmorski, powoduje dwa razy na dobę prądy w kierunkach przeciwnych. Nie ulega więc wątpliwości, że przedmiot, pływający na jeziorze, zostałby uniesiony na zewnątrz przez odpływ, gdyby wejście do tunelu odkryło się w górnej jego części. Chodzi o to czy zjawisko to nie następuje podczas najniższego przyływu i odpływu?... Będę się mógł o tem przekonać, ponieważ jesteśmy właśnie w tej porze roku. Pojutrze, 21 września, jest porównanie dnia z nocą, a już dziś 19 widziałem wierzchołek otworu, wystający przy odpływie nad powierzchnię wody.

Otóż, jeżeli ja sam nie mogę przedostać się przez tunel, czy nie mogłaby tego dokonać butelka, rzucona na powierzchnię jeziora podczas ostatnich chwil odpływu? I dlaczegoż przypadek, oczywiście niezwykle opatrnościowy, nie miałby zrzucić, że ta butelka dostrzeżona będzie przez okręt, płynący w okolicy Back-Cup? Dlaczegożby prądy morskie nie miały jej wyrzucić na jedno z wybrzeży wysp Bermudzkich?... A gdyby ta butelka zawierała jaką wskazówkę...

Myśl ta zaczyna mnie nurtować. Ale jednocześnie wystawiam sobie wszystkie trudności tego przedsięwzięcia, a między innymi to, że butelka może ulec rozbiciu w swej drodze przez tunel, lub też zaczepiając o rafy, znajdujące się w jego bliskości... Przychodzi mi jednak na myśl, że baryłka, szczelnie zamknięta, w rodzaju tych, jakie się używa do podtrzymywania sieci, byłaby odporniejszą niż zwyczajna butelka i przedstawiałaby więcej szans przedostania się na pełne morze.

20 września. – Dziś wieczorem wszedłem niepostrzeżony do jednego ze składów, w którym były nagromadzone różnego rodzaju przedmioty, zrabowane podczas napadu na okręty, wybrałem sobie odpowiednią baryłkę.

Ukrywszy ją pod ubranie, wracam do mej celi i nie tracąc chwili czasu, przystępuję do dzieła.

Biorę papier i oto co piszę:

„Od 19 czerwca, po podwójnym porwaniu, dokonaniem 15 tego samego miesiąca na osobie Tomasza Roch i jego dozorca Gaydona, a raczej inżyniera francuskiego Simona Hart, zajmujących pawilon 17 w Healthful-House, w bliskości New-Berne, w Karolinie Północnej Stanów Zjednoczonych Ameryki, i uprowadzeniu ich na jacht Ebba, którego właścicielem jest hrabia d'Artigas, znajdują się oni obecnie uwięzieni we wnętrzu pieczary, służącej za schronienie owemu hrabiemu d'Artigas i setce jego towarzyszy, współników jego zbrodni. Prawdziwe jego nazwisko jest Ker Karraje, jest on korsarzem, ongi grasującym na morzach oceanu Wielkiego. Skoro będzie w posiadaniu fulguratora Roch, o sile nieograniczonej, bezkarność jego niecznych postępów będzie zapewniona.

W interesie przeto państw leży, ażeby ta jaskinia złoczyńców jak najprędzej była zburzona...

Pieczara, służąca za schronienie Ker Karraja, znajduje się we wnętrzu wysepki Back-Cup, zupełnie niesłusznie uważanej za czynny wulkan. Położona na zachodnim krańcu archipelagu Bermudzkiego, jest otoczona od wschodu rafami, lecz dostępna od południa, zachodu i północy.

Do wnętrza dostać się można narazie tylko przez tunel, którego wejście znajduje się o kilka metrów pod średnią powierzchnią wód na dnie wąskiego przesmyku na zachodniej stronie. To też niezbędną do tego celu jest łódź podwodna, przynajmniej dopóki nie wykończą korytarza, który obecnie przebijają w północno-zachodniej ścianie.

Korsarz Ker Karraje rozporządza taką łodzią. Jest to ta sama łódź, którą zbudować kazał hrabia d'Artigas, i która zginąć miała w zatoce Charleston podczas prób z nią czynionych. Statek ten jest używany nie tylko do komunikacji z tunelem, lecz i do holowania jachtu podczas napadów na okręty handlowe, kursujące w okolicy wysp Bermudzkich.

Jacht Ebba, dobrze znany na zachodnim wybrzeżu Ameryki, zatrzymuje się na wysepce w małej przystani, ukrytej w skałach, niewidocznej od strony morza i położonej na zachód od wysepki.

Gdyby jaki okręt miał wylądować w Back-Cup, najlepiej byłoby, ażeby skierował się ku zachodniej stronie, gdzie były dawniej siedziby rybackie, próbując zrobić wyłom w skałe najpotężniejszymi pociskami melinitowemi. Tym wyłomem możnaby dotrzeć do Back-Cup.

Należy również liczyć się z tem, że fulgurator Roch może już być gotowy do użytku. O ile wysepka byłaby atakowana, Ker Karraje nie omieszkaby zapewne bronić się tym niebezpiecznym środkiem. Muszę dodać, że jakkolwiek siła tego pocisku przechodzi wszelkie wyobrażenia, działa tylko w obrębie tysiąc siedmiuset do tysiąc ośmiuset metrów. Odległość tego niebezpiecznego obrębu może być rozmaita, lecz skoro jest już ustalona, daje się zmienić z trudnością, tak że okręt, któryby zdołał go przekroczyć, mógłby bez narażenia zbliżyć się do wysepki.

Dokument ten jest napisany dzisiaj, 20-go września, o ósmej wieczorem i podpisany moim nazwiskiem.

Inżynier Simon Hart”.

Taką jest treść mego doniesienia. Zawiera ona wszystko, co się tyczy wysepki, której położenie jest dokładnie wskazane na nowoczesnych mapach, jak również wszystko, co się tyczy obrony Back-Cup, której podejmie się Ker Karraje niezawodnie, jak również zwraca uwagę na konieczność szybkiego działania. Dołączyłem plan pieczary, zarysy wewnętrzne, miejsce jeziora, rozkład Bee-Hive, mieszkanie Ker Karraja, moją celę, pracownię Tomasza Roch. Czyż jednak doniesienie to dojdzie kiedykolwiek rąk czyich?...

Zawinąwszy dokument w płótno nasmołowane, wkładam go do baryłki okutej żelazem, długiej na piętnaście, szerokiej na ośm centymetrów. Wypróbowałem ją; jest zupełnie szczelnie zbita i wytrzymała na uderzenia, czy to podczas przejścia przez tunel, czy też przepływania koło raf zewnętrznych.

Wprawdzie, zamiast wpaść w ręce pewne, może być odrzucona przyplływem na skały wysepki, znaleziona przez załogę Ebby. Jeżeli dokumentem tym zawładnie Ker Karraje, nie będę potrzebował już przemyśliwać o ucieczce, los mój rozstrzygnie się szybko.

Nadeszła noc. Można sobie wyobrazić, z jaką gorączkową niecierpliwością jej oczekiwałem! Według moich obliczeń, opartych na poprzednich obserwacjach, odpływ morza nastąpić ma o ósmej czterdzieści pięć minut. Wtedy to górna strona otworu odkryje się na mniej więcej pięćdziesiąt centymetrów. Odległość powierzchni wód od sklepienia tunelu będzie dostateczna dla przejścia baryłki. Chcę ją rzucić na pół godziny przed odpływem, ażeby z ustąpieniem wód została uniesiona nazewnątrz.

Okolo ósmej o zmroku opuszczam celę. Na wybrzeżu nie widać nikogo. Kieruję się ku ścianie, do której przylega tunel. Przy świetle ostatniej lampy elektrycznej widzę otwór wznoszący się łukiem ponad powierzchnię wód, podczas gdy prąd zmierza w tym kierunku.

Doszedłszy do poziomego jeziora, rzucam baryłkę z drogocennym dokumentem, a wraz z nim całą moją nadzieję:

„Na szczęście losu – powtarzam – na szczęście losu”.

Baryłka zatrzymuje się, wraca następnie ku wybrzeżu pod wpływem fali. Muszę ją pchnąć z całej siły, aby odpływ uniósł ją za sobą.

Stało się, zanim dwadzieścia sekund upłynęło, baryłka znikła w otchłani tunelu.

Tak... na los szczęścia... Niech Bóg cię prowadzi, mała baryłko... Niech opieka boska strzeże tych, którym grozi niebezpieczeństwo ze strony Ker Karraja, oby tę bandę korsarzy nie ominęła sprawiedliwość ludzka!

ROZDZIAŁ XIV

Sword w walce z łodzią podwodną.

Noc całą spędziłem bezsennie, towarzysząc w myśli baryłce. Zdawało mi się, że zawadziła o skały, że zatrzymała się u przystani, że ugrzęzła w jakiejś wklęsłości... Oblewałem się zimnym potem... To znów pocieszałem się, że przebyła tunel... że jest w przesmyku... że odpływ zabiera ją z sobą na pełne morze... Wielki Boże! jeżeli powrotną falą wróci do wejścia tunelu, a stąd do wnętrza Back-Cup... jeżeli ujrzę ją znów na brzegu...

Wraz ze świtem dążę do jeziora. Patrę... na gładkiej powierzchni wód nie dostrzegam żadnego przedmiotu.

Dni następne upływają na pracy około przebicia korytarza. 23 września o czwartej po południu inżynier Serkő wysadza w powietrze ostatni odłam skały. Wyłom zrobiony – wąskie przejście – ale to wystarcza. Nazewnątrz otwór gubi się w zwaliskach wybrzeża; łatwo go zamknąć w razie potrzeby.

Nie ulega wątpliwości, że korytarz będzie pilnie strzeżony. Nikt, bez upoważnienia, nie będzie mógł go przekroczyć... Nie mógłbym przeto uciec tą drogą...

25 września. – Dziś, w rannych godzinach łódź wynurzyła się z głębin jeziora na powierzchnię. Hrabia d'Artigas, kapitan Spade, cała załoga statku wchodzi na tamę. Następuje wyładowanie towarów przywiezionych jachtem. Dostrzegam paki z żywnością, mięsem, konserwami, beczki z winem i wódką – a oprócz tego pakunki dla Tomasza Roch. Równocześnie marynarze przynoszą przyrządy różnego rodzaju.

Tomasz Roch jest obecny przy tem zajęciu. Oczy błyszczą mu niezwykle. Sięgnąwszy po jedną sztukę, ogląda ją uważnie, poczem kiwa głową z zadowoleniem. Patrę na niego i podziwiam przemianę, jaka w nim nastąpiła. Radość jego jest całkiem naturalna. Pytam się nawet, czy ten częściowy obłęd, którym był dotknięty, nie znikł na zawsze...

Wreszcie Tomasz Roch wsiada do łódki wraz z inżynierem Serkő i dąży do swej pracowni. W przeciąg godziny przewieziono cały ładunek łodzi podwodnej na przeciwległy brzeg.

Ker Karraje zamienił tylko kilka słów z inżynierem Serkő. Dopiero po południu spotkali się w Bee-Hive i przechadzając się, prowadzili długą rozmowę, po której udali się do korytarza w towarzystwie kapitana Spade. Czemuż nie mogę wejść wraz z nimi! Czemu nie mogę odetchnąć, bodaj na chwilę, ożywczem powietrzem Atlantyku, którego jak gdyby ostatnie tchnienie otrzymuje Back-Cup.

Od 26 września do 10 października. – Dwa tygodnie minęły. Pracowano najpierw pod kierownictwem Tomasza Roch i inżyniera. Serkő nad zmontowaniem przyrządów, następnie nad ustawieniem podstaw, potrzebnych do wyrzucania pocisków. Są to zwyczajne kozły, zaopatrzone w korytka ruchome o zmiennem nachyleniu, które będzie można ustawić, czy to na pokładzie Ebby, czy nawet na platformie łodzi podwodnej, stojącej na powierzchni wód.

Tak więc Ker Karraje stanie się władcą mórz tylko dzięki swemu jachtowi!

Żaden okręt nie będzie mógł bezkarnie przekroczyć niebezpiecznej strefy, a Ebby nie dosięgną żadne pociski!... Gdybyż przynajmniej doniesienie moje wpadło w szczęśliwe ręce... gdyby wiedziano o tej jaskini w Back-Cup!... Jeżeli nie zdołanoby jej zniszczyć, przerwanoby przynajmniej przywóz żywności!...

20 października. – Ku wielkiemu swemu zdziwieniu nie spostrzegłem łodzi na zwykłym miejscu. Przypominam sobie, że wczoraj odnowiono jej ogniwa, sądziłem wszakże, że ma to na celu jedynie utrzymanie łodzi w pogotowiu. Jeżeli zaś pojechała teraz, kiedy korytarz jest gotowy do użytku, znaczy, że wyruszyła na jakąś wyprawę. Nie brak już bowiem Tomaszowi Roch żadnego z materiałów, potrzebnych do wyrobu pocisków.

Wszelako pora roku jest nieodpowiednia. Morze Bermudzkie nawiedzają częste burze. Prądy powietrzne działają z niezwykłą siłą. Dale się to odczuć w kraterze Back-Cup, gdzie fale powietrzne gwałtownie napływają, wytwarzając opary pomieszane z deszczem, zalewającym jezioro i jego brzegi. Niewiadomo jednak czy jacht opuścił przystań Back-Cup?... Czyż budowa jego nie jest za słaba, ażeby wytrzymać tak burzliwe morze nawet z pomocą łodzi podwodnej?

Skądinąd, jakże przypuszczać, że łódź podwodna, jakkolwiek zabezpieczona od nawałnicy na kilka metrów pod wodą, wyruszyła w podróż bez jachtu?

Nie wiem zgoła, czemu mam przypisać ten niespodziewany wyjazd, obliczony widać na dłuższą metę, skoro łódź nie wróciła dnia tego.

Tym razem inżynier Serkō został w Back-Cup. Tylko Ker Karraje, kapitan Spade i załoga łodzi podwodnej i Ebby opuścili wysepkę.

Życie w Back-Cup upływa nadal w swej zwykłej nużącej monotonii. Przepędzam godziny całe w mojej celi, rozmyślając, pocieszając się nadzieją, rozpaczając, zwracając myśl swoją ku tej baryłce, jako ostatniej możliwości ratunku... rzuconej na los tych fal tak niepewnych i tak zdradliwych...

Tomasz Roch zajęty jest w pracowni wyrobem swego zapalnika, tak sądzę przynajmniej. Jestem prawie pewny, że nie zechce go sprzedać Ker Karrajowi, ale nie wątpię, że zechce go użyć na usługi tego korsarza.

Spotykam często inżyniera Serkō podczas przechadzek po Bee-Hive. Objawia on zawsze gotowość rozmowy ze mną, ale nie pozbywa się swego ironicznego tonu nigdy.

Rozmawiamy o tem i o owem – rzadko o mnie, bo i nacóżby się to zdało.

22 października. – Dziś spytałem inżyniera Serkō, czy Ebba wyruszyła wraz z łodzią podwodną?

– Tak, panie Hart – odpowiedział – kochana nasza Ebba nie obawia się wcale nawałnicy, szalejącej na morzu.

– Czy jej nieobecność przeciągnie się?

– Oczekujemy jej za czterdzieści ośm godzin... Jest to ostatnia podróż hrabiego d'Artigas w tym czasie burzliwym; wkrótce morze stanie się niedostępne.

– Podróż dla przyjemności... czy dla interesu? – spytałem.

Inżynier Serkō odpowiada z uśmiechem:

– Podróż dla interesu, panie Hart, podróż dla interesu! Pociski nasze już są gotowe, przeto skoro nastanie pogoda, zaczniemy ofensywę...

– Przeciwno biednym okrętom...

– O tyle biednym... o ile bogatym w ładunek!

– Są to czyny korsarskie, które, sądzę, niezawsze ujdą wam bezkarnie! – zawołałem.

– Uspokój się, kochany kolego, uspokój się! Wiesz pan zresztą, że nikt nie odkryje naszego schronienia w Back-Cup, że nikt nie jest w stanie donieść o niem!... Zresztą, z temi pociskami, tak łatwymi do użycia i o tak niezwykłej sile, zburzymy łatwo każdy okręt, któryby się chciał zbliżyć do wysepki.

– Pod warunkiem, że Tomasz Roch sprzeda wam tajemnicę swego zapalnika...

– Jest to już spełnione, panie Hart, mogę pana zupełnie uspokoić w tym względzie.

Z tej kategorycznej odpowiedzi mógłbym być wnosić, że nieszczęście jest rzeczą nieuniknioną, gdyby lekkie wahanie w głosie inżyniera Serkő nie podało w wątpliwość pewności słów jego.

25 października. – Przeszedłem straszne chwile i dziwię się, że jestem jeszcze przy życiu!... Uważam to za cud, że mogę w tej chwili pisać te słowa po przerwie dwudniowej... Gdyby mi los więcej sprzyjał, mógłbym być obecnie wolny... Znajdowałbym się teraz w jednym z portów Bermudów, Georges czy Hamilton... Tajemnica Back-Cup byłaby odkryta... Powiadomiono by wszystkie państwa o pochodzeniu jachtu... nie mógłby się pokazać w żadnym porcie... Zaopatrzenie Back-Cup stałoby się niepodobieństwem... Bandyci z Ker Karrajem na czele byłiby skazani na śmierć...

Oto, co zaszło:

23 października, około ósmej wieczorem opuściłem swoją celę w stanie niebywałego podniecenia nerwowego, jak gdybym przeczuwał, że coś ważnego, a niespodziewanego ma mnie spotkać. Napróżno starałem się opanować, Nie mogąc znaleźć spokoju, wyszedłem.

Na pełnym morzu musiała szaleć burza. Wiatr dostawał się do krateru i mącił powierzchnię jeziora.

Udałem się w stronę wybrzeża Bee-Hive.

Nie spotkałem nikogo. Powietrze było dość chłodne i wilgotne. Wszystkie szerszenie ułaskrzyły się w swoich komórkach.

Na straży stał tylko jeden człowiek przy wejściu do korytarza pomimo że korytarz był zamknięty od strony zewnętrznej. Nie mógł on wszakże dojrzeć brzegów ze swego posterunku. Zresztą, zobaczyłem tylko dwie lampy elektryczne po dwu stronach jeziora, tak że zupełny mrok panował pod lasem słupów.

Szedłem tak w ciemności, gdy ktoś przeszedł mimo.

Poznałem Tomasza Roch.

Kroczył wolno, zagłębiony w swych myślach, nie zwracając na nic uwagi.

Nadarzała się doskonała sposobność porozmawiania z nim, wytłumaczenia mu tego, czego nie wiedział... Nie może bowiem wiedzieć, w jakich rękach znajduje się... Nie domyśla się nawet, że hrabia d'Artigas jest korsarzem Ker Karrajem, któremu powierzył część swej tajemnicy... Muszę mu powiedzieć, że z otrzymanych milionów korzystać nigdy nie będzie, że nie odzyska nigdy wolności tak samo, jak ja... Odwołam się do jego uczuć ludzkich, do nieszczęść, za które będzie odpowiedzialny, jeżeli nie zachowa reszty swej tajemnicy przy sobie.

Byłem pogrążony w swych rozmyślaniach, gdy nagle uczułem, że ktoś mnie chwytą z tyłu.

Dwu ludzi trzymało mnie za ramiona, trzeci stanął przede mną.

Chciałem zawołać.

– Ani słowa! – przemówił po angielsku. – Czy pan jesteś Simonem Hart?...

– Skąd pan wie o tem?

– Widziałem, jak pan wychodził ze swej celi...

– Kimże pan jest?

– Davon, porucznik marynarki angielskiej, oficer z okrętu Standard w postoju na Bermudach.

Głos mi zamarł ze wzruszenia.

– Przychodzimy oswobodzić pana z rąk Ker Karraja i porwać zarazem wynalazcę francuskiego Tomasza Roch – dodał porucznik Davon.

– Tomasza Roch? – szepnąłem.

– Tak... Dokument, podpisany pańskim nazwiskiem, znaleziony został na wybrzeżu St. Georges...

– W baryłce, poruczniku Davon... baryłce, którą wrzuciłem w wody tego jeziora.

– I która zawierała – dodał oficer – zawiadomienie o schronieniu Ker Karraja na tej wysepce... Ker Karraje więc jest sprawcą tego podwójnego porwania z Healthful-House...

– Tak, poruczniku Davon...

– Niema chwili do stracenia... trzeba korzystać z ciemności...

– Słówko tylko, poruczniku... Jakim sposobem dostał się pan do wnętrza Back-Cup?...

– Przy pomocy łodzi podwodnej Sword, odbywającej od sześciu miesięcy próby w porcie St. Georges.

– Statek podwodny?

– Tak... oczekuje na nas pod temi skałami.

– Tam... tam... – powtarzałem.

– Panie Hart, gdzie jest łódź Ker Karraja?

– Niema go od trzech tygodni...

– Jakto? Ker Karraja niema w Back-Cup?

– Niema... ale czekamy go z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę.

– Mniejsza o to – odpowiada porucznik Davon. – Nie o Ker Karraja tu chodzi, ale o Tomasza Roch... którego polecono mi zabrać wraz z panem, panie Hart... Sword nie opuści bez was jeziora... Jeżeli się nie zjawi w St. Georges, znaczy, że nie powiodła mi się wyprawa... i wyślą drugą...

– A gdzie jest Sword?

– Z tej strony... w cieniu wybrzeża, gdzie nie można go spostrzec. Dzięki pańskim objaśnieniom, odszukaliśmy wejście do tunelu... Sword przepłynął go szczęśliwie... Dziesięć minut temu wypłynął na powierzchnię jeziora... Dwu marynarzy towarzyszy mi... Widziałem, gdy pan wychodził z celi... Czy pan wie, gdzie jest w tej chwili Tomasz Roch?

– O kilka stąd kroków... Dopiero co szedł tędy do swej pracowni...

– Bogu dzięki, panie Hart...

– Niech będą Bogu dzięki, poruczniku Davon!

Porucznik, dwaj marynarze i ja okrążyliśmy jezioro. Niebawem spotkaliśmy na drodze Tomasza Roch. Po chwili był już związany, skrupowany i odniesiony na statek Sword.

Sword była to łódź podwodna o pojemności dwunastu tonn zaledwie, a zatem o sile i objętości daleko mniejszej od łodzi Ker Karraja. Dwa motory poruszane prądem akumulatorów, naładowanych dwanaście godzin temu w porcie St. Georges, poruszały śrubą statku. Bądź co bądź, ten Sword ma być naszym wybawicielem, ma nas wydostać z tego więzienia. – Nareszcie Tomasz Roch wydostanie się z rąk Ker Karraja i inżyniera Serkő. Ci łotrzy nie będą mogli zużytkować jego wynalazku... I nic nie przeszkodzi okrętom zbliżyć się do wysepki, wylądować, odwalić korytarz i zawładnąć korsarzami...

Nie spotkaliśmy nikogo w powrotnej drodze. Zeszliśmy spokojnie do wnętrza Swordu... wieko wejścia zamknęło się za nami... pomieszczenie dla wody napełnione... Sword się zanurzył... Jesteśmy uratowani...

Sword, podzielony na trzy przedziały szczelnymi ścianami, zbudowany był w ten sposób, że pierwszy przedział, zawierający akumulatory i całą maszynę, znajdował się w tyle statku. Drugi, stanowiący pomieszczenie dla sternika, zajmował środkową część statku. Wreszcie trzeci, na przodzie, był przeznaczony dla Tomasza Roch i dla mnie.

Towarzysz mój, oswobodzony z duszącego go knebla, pozostał skrupowany i był jakby nieprzytomny...

Spieszno nam było wracać w nadzieję, że jeszcze tej nocy zawitamy do St. Georges, o ile coś nieprzewidzianego nie stanie na przeszkodzie...

Zamknawszy drzwi, udałem się do porucznika Davon, który był w drugim oddziale, przy sterniku.

W tyle statku trzej marynarze wraz z mechanikiem czekali odpowiedniego rozkazu, ażeby puścić w ruch akumulatory.

– Poruczniku, sądzę, że mogę zostawić Tomasza Roch samego – i pomóc panu w czymkolwiek przy wejściu do tunelu.

– Tak... panie Hart... zostań pan przy mnie.

Było równo trzydzieści siedm minut po ósmej. Światło elektryczne, rzucone z łodzi, oświetlało niewyraźnie warstwę wody, w której się znajdował Sword. Należało przepłynąć całą długość jeziora, ażeby dostać się do wejścia tunelu. Było to rzeczą trudną, lecz do pokonania. Niebezpieczeństwo jednak było wielkie. Nawet gdybyśmy się trzymali brzegów jeziora i płynęli bardzo szybko, mogliśmy być dostrzeżeni. Następnie trzeba przepływać tunel wolno, aby ominąć zetknięcie ze ścianami... dopiero wypłynąwszy na pełne morze, mogliśmy być pewni naszej drogi do St. Georges.

– Na jakiej głębokości znajdujemy się? spytałem porucznika.

– Na cztery i pół metra..

– Nie trzeba zanurzać się bardziej odpowiedziałem. – Według moich spostrzeżeń znajdujemy się na głębokości osi tunelu...

– All right! – odpowiedział porucznik.

Tak. All right... zdawało mi się, że Opatrzność przemawia przez usta tego oficera... I doprawdy, nie mogła wybrać lepszego wykonawcy swej woli!...

Spojrzałem na porucznika, stojącego w blasku latarni. Był to człowiek trzydziestoletni, flegmatyczny, o wyrazie twarzy stanowczym, działający z zimną krwią, powiem nawet automatycznie, jak gdyby znajdował się na pokładzie Standardu.

– Przepływając tunel, zdawało mi się, że jest długości czterdziestu metrów.

– Tak... od jednego końca do drugiego, poruczniku. Davon, około czterdziestu metrów.

I rzeczywiście, cyfra ta musiała być dokładna, ponieważ przebity korytarz na poziomie wybrzeża posiadał trzydzieści metrów długości.

Wydano rozkaz puszczenia w ruch śruby. Sword posuwał się niezmiernie wolno, obawiając się zetknięcia z wybrzeżem.

Niekiedy jednak zbliżał się doń na tyle, że w świetle jego latarni zarysowywała się czarniawa masa brzegu. Jedno pchnięcie steru prostowało kierunek. Ale droga była ciężka, bo jeżeli trudno kierować statkiem podwodnym na pełnym morzu, to o ileż trudniej dać sobie z nim radę w wodach tego jeziora!

Pięć minut upłynęło, a Sword nie dosięgnął jeszcze wejścia tunelu.

W tej chwili rzekłem:

– Poruczniku Davon, może roztropniej będzie powrócić na powierzchnię, ażeby przekonać się dokładnie, w której ścianie znajduje się wejście do tunelu?...

– Jestem tego samego zdania, panie Hart, o ile możesz pan go wskazać dokładnie.

– Mogę.

– Dobrze.

Dla ostrożności zgaszono latarnię, mrok więc był zupełny. Na rozkaz dany, pompy zaczęły działać i Sword, pozbawiony ciężaru, powoli wypłynął na powierzchnię jeziora.

Pozostałem na miejscu, chcąc rozejrzeć się w naszym położeniu poprzez okienko łodzi.

Wreszcie Sword zatrzymał się, wynurzywszy się najwyżej na stopę.

Poznałem ścianę Bee-Hive oświetloną lampą wybrzeża.

– Co pan myśli... – pyta porucznik Davon.

– Posunęliśmy się za bardzo na północ... Wejście do tunelu jest w zachodniej części pieczary.

– Niema nikogo na wybrzeżu?

– Nikogo.

– Tem lepiej, panie Hart. Pozostaniemy na powierzchni. Poczem, gdy pan nam wskaże wejście, statek się zanurzy...

Niczego innego przedsięwzięć nie było można, to też sternik ustawił łódź w kierunku osi tunelu, i Sword posunął się naprzód.

O jakie dziesięć metrów od tunelu kazałem się zatrzymać. Prąd elektryczny przerwano, Sword zatrzymał się, zaczerpnął potrzebną ilość wody i wolno począł się zanurzać.

Wtedy latarnię zapalono, a w ścianie ukazał się krąg czarny, w którym nie odbijało się jej światło.

– Tunel... tunel!... – zawołałem.

Czyż nie był on wyjściem z mego więzienia?...

Czyż nie o wolność moją chodziło?

Sword powoli dążył ku otworowi.

Ach!... co za straszny los! Dziw, że mi serce nie pękło na ten widok...

Niewyraźne światło ukazało się o jakie dwadzieścia metrów w głębi tunelu. Światło to nie mogło być czem innym, jak światłem wychodzącym z łodzi Ker Karraja.

– Łódź wraca! – zawołałem. – Poruczniku... łódź Ker Karraja.

– Cofnąć się! – rozkazał porucznik.

I Sword cofnął się w chwili, gdy miał wchodzić do tunelu.

Może uda się nam ominąć łódź, bo porucznik szybkim ruchem zgasił latarnię. Może zdołamy cofnąć się, i łódź przepłynie, nie domyślając się naszej obecności... Może ciemna masa statku zniknie w mroku jeziora?... Może łódź go nie dostrzeże, a gdy osiągnie swej ostoi, Sword zawróci ku otworowi...

Skierowaliśmy się ku południowemu wybrzeżu. Jeszcze kilka chwil, a Sword zatrzyma się...

Nie!... kapitan Spade zauważył obecność łodzi, wchodzącej do tunelu, i dąży za nią pod wodami jeziora... Jakże się oprze ten słaby statek sile łodzi Ker Karraja?...

– Niech pan wraca do swego przedziału, panie Hart – rzekł porucznik. – Niech pan zamknie drzwi, ja zaś zamknę drzwi do tylnego przedziału... Jeżeli na nas uderzą, być może utrzymamy się dzięki, tym ścianom poprzecznym...

Uściskawszy dłoń porucznika, który nie stracił zimnej krwi wobec grożącego niebezpieczeństwa, wróciłem do Tomasza Roch... Zamknawszy drzwi, czekałem w ciemności.

Odczuwałem, a raczej miałem wrażenie, że Sword broni się zajadle. To ucieka, aby ominąć uderzenia, to wznosi się, to dosięga głębin jeziora. Czy można wyobrazić sobie, jaką musiała być walka tych dwu łodzi w nurtach skłębionych wód, walka dwu potworów morskich nierównej siły?

Kilka minut upłynęło... Zdawało mi się, że walka skończona, że Sword zdoła osiągnąć otworu...

Nagle uczułem zderzenie... niezbyt silne wprawdzie... Łudzić się jednak nie mogłem... Sword był ugodzony w prawy burt... Może kadłub żelazny zdoła się oprzeć... A nawet, w razie przeciwnym może woda osiągnie tylko jeden przedział...

Prawie równocześnie nastąpiło drugie zderzenie, tym razem silniejsze. Sword był jak gdyby podniesiony ostrogą łodzi, od której się wtył odrzucił. Następnie czułem, że powstaje przodem do góry i spada prostopadle zalany wodą od tylnej części.

Nagle, nie mogąc utrzymać równowagi, Tomasz Roch i ja przewróciliśmy się jeden na drugiego... Wreszcie ostatnie zderzenie, po którym nastąpił odgłos rozdzierających się blach, poczem Sword z pęknięciem dnem zatrzymał się nieruchomy...

Co się dalej stało, nie wiem, straciłem bowiem przytomność.

Od tej chwili, jak się dowiaduję, upłynęły długie, niezmiernie długie godziny. Przypominam sobie tylko, że w ostatniej chwili pomyślałem:

„Jeżeli umrę, przynajmniej ze mną umrze również Tomasz Roch i jego wynalazek... a korsarzy i Back-Cup nie ominie kara za ich zbrodnie!...”

ROZDZIAŁ XV

Oczekiwanie.

Odzyskawszy przytomność, stwierdzam, iż znajduję się na łóżku mojej celi, na którym spoczywam, podobno już od trzydziestu godzin.

Nie jestem sam. Jest przy mnie inżynier Serkō. Zajął się mną, przypuszczam, nie jako przyjacielem, lecz jako człowiekiem, od którego oczekuje się niezbędnych wyjaśnień, pozostawiając na później rozstrzygnięcie jego losu.

Jestem tak osłabiony, że ruszyć się nie mogę. Mało brakowało, żebym został uduszony w ciasnym przedziale Swarda, spoczywającego pod wodami jeziora. Czy jestem w stanie odpowiedzieć na pytania inżyniera Serkō, pragnącego dowiedzieć się szczegółów owej przygody?.. Tak... ale będę bardzo ostrożny.

Najpierw przychodzi mi na myśl: co się stało z porucznikiem Davon i załogą Swarda? Czy polegli, czy też są żywi i zdrowi jak my? Przypuszczam bowiem, że Tomasz Roch wyszedł obronną ręką zarówno jak ja z tego podwójnego zderzenia łodzi i Swarda...

Opowiedziałem mu, jak wieczorem około ósmej przechadzałem się na wybrzeżu, jak zobaczyłem Tomasza Roch dążącego do pracowni, jak trzech ludzie, zaskoczywszy mnie z tyłu, zakneblowali mi usta i zawiązali oczy, jak czułem się porwany do jakiegoś otworu równocześnie z innym osobnikiem, przypominającym dawniejszego chorego z Healthful-House... Przyszło mi zaraz na myśl, że znajdujemy się na łodzi podwodnej... i naturalnie nie mogłem przypuszczać czego innego, jak to, że łodzią tą jest statek Ker Karraja!... Następnie zdawało mi się, że łódź ta zanurza się w wodę... Następnie uczułem jakieś wstrząśnienie, poczem upadłem i straciłem przytomność...

Inżynier Serkō słuchał mnie uważnie, z czołem zmarszczonym, spojrzeniem nieufnym, a jednak nie ma powodu, aby mi nie wierzyć.

– Pan twierdzi, że trzech ludzi rzuciło się na pana? – pyta.

– Tak... i myślałem, że to ktoś z mieszkańców Back-Cup... Nie widziałem, jak się zbliżali... Kto to był?

– Obcy, których pan powinien był poznać po mowie.

– Nie mówili wcale.

– Pan nie domyśla się jakiej narodowości?

– Nie.

Pierwsze pytanie inżyniera Serkō zawierało się w tem zdaniu:

– Niech mi pan wytłumaczy, panie Hart, co zaszło.

Zamiast odpowiedzi, zadaję pytanie:

– A Tomasz Roch?

– Zdrów, panie Hart... Co zaszło?... – powtarza tonem rozkazującym.

– Przedewszystkiem, niech pan mi powie – mówię – co się stało z innymi?...

– Jacy inni? – odpowiada inżynier Serkō z błyskiem gniewu w oczach...

– Z ludźmi, którzy się rzucili na Tomasza Roch i na mnie, a po skrępowaniu, porwali i uwięzili... gdzie? dotąd nie wiem!

Po namyśle przyszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, gdy powiem, iż zostałem tego wieczora napadnięty zniemacka, nie mogąc zdać sobie sprawy, kto był sprawcą napadu.

– Dowie się pan później, jaki koniec spotkał tych ludzi... Ale musi pan wpieryw powiedzieć mi, co zaszło...

Po groźnym brzmieniu głosu, którym po raz trzeci powtórzył to pytanie, zrozumiałem, jakie podejrzenie ciąży na mnie. A jednak nie mogli mnie podejrzewać o porozumienie się z kimś z zewnątrz, ponieważ baryłka była w rękach władz bermudzkich... Przypuszczenie to zatem nie może mieć poważniejszego znaczenia.

– Pan nie wie, w jakim zamiarze dotarli do pieczary?

– Nie wiem..

– Co pan myśli o tem?..

– Co ja myślę, panie Serkō... Powtarzam, przypuszczałem, że trzech waszych korsarzy dostało zlecenie od hrabiego d'Artigas wrzucenia mnie do jeziora, że to samo uczynić mieli z Tomaszem Roch. Myślałem, że będąc w posiadaniu całkowitego wynalazku Tomasza Roch, jak to pan twierdził – chcieliście się pozbyć nas obu...

– Doprawdy, panie Hart, myśl ta mogła zrodzić się w pańskim umyśle – potwierdza inżynier Serkō tonem poważnym..

– Tak, ale nie trwała długo, skoro zauważyłem, że znajduję się w łodzi podwodnej...

– Nie była to łódź Ker Karraja, ale statek podwodny podobny do niej.

– Statek podwodny? – zawałem.

– Tak... statek, który miał pana porwać wraz z Tomaszem Roch...

– Porwać nas? – wykrzyknąłem udając zdziwienie.

– I pytam pana – dodał inżynier Serkō – co pan myśli o całej tej sprawie.

– Co ja myślę?... Ależ nasuwa mi się jedno tylko rozwiązanie, mianowicie, jeżeli ktoś nie doniósł o waszym schronieniu – a nie przypuszczam, żeby mógł się kto tego dopuścić, ani żeby kto z załogi, mógł popełnić jakąś nieostrożność – to moim zdaniem, musi to być statek podwodny, który przypadkiem dostał się do tunelu, przepłynął go, wypłynął na powierzchnię jeziora... że załoga zdziwiona znalezieniem się w jakiejś pieczarze zaludnionej, porwała pierwszych lepszych jej mieszkańców... Tomasza Roch... i mnie... innych jeszcze... wreszcie cóż wiedzieć mogę...

Inżynier Serkō zamyślił się poważnie. Czy odczuł czość mego dowodzenia?... Czy myśli, że wiem więcej, niż chcę powiedzieć?... Bądź co bądź, zdaje się jak gdyby przyjął moją odpowiedź, gdyż dodaje:

– W istocie, panie Hart, sądzę, że rzecz miała się tak, jak pan twierdzi, i że w chwili, gdy statek wchodził do tunelu, nastąpiło jego zderzenie z łodzią, którego padł ofiarą... Ale my nie należymy do rzędu ludzi, którzy pozwalają ginąć bliźnim... Zresztą zniknięcie Tomasza Roch i pana było niebawem stwierdzone... Należało za wszelką cenę ratować tak drogie życia... Zaczęto poszukiwania... Mamy sprawnych nurków wśród nas... Zagłębili się w wodach jeziora... zarzucili liny pod kadłub Swarda...

– Swarda?... – spytałem?

– To nazwa wypisana na przodzie statku... Z jakimże zadowoleniem odnaleźliśmy panów, prawda nieprzytomnych, ale jeszcze przy życiu... jakie szczęście, że mogliśmy panów przywrócić do przytomności... Niestety! co się tyczy oficera, dowodzącego statkiem i jego załogi, starania nasze były niepotrzebne... Wskutek zderzenia woda dostała się do tylnej części statku i smutny los ich spotkał... zrzędzeniem nieprzewidzianego przypadku, jak pan twierdzi... za to dostanie się do naszej tajemniczej kryjówki.

Żał mnie ogarniał na wiadomość o śmierci porucznika Davon i jego towarzyszy. Ale chcąc się utrzymać w narzuconej sobie roli, że nie znam wcale tych ludzi, nie okazałem po sobie mego wzruszenia. Głównym bowiem dążeniem moim było nie wzbudzić najłżejszego podejrzenia o mój udział w tej sprawie... Kto wie, czy inżynier Serkō przypisuje tylko „przypadkowi” przyjazd Sworda, czy nie ma powodów do poddania w wątpliwość moich objaśnień?

Ostatecznie, niespodziewana sposobność odzyskania wolności znikła... czy zjawi się znowu?... W każdym razie dowiedziano się o Ker Karraju... Zwrócą uwagę na zniknięcie Sworda i nie ulega wątpliwości, że nowe wysiłki będą przedsięwzięte dla dostania się do wysepki Back-Cup! Gdyby nie to nieszczęśliwe spotkanie z łodzią Ker Karraja, byłbym wolny w tej chwili!

Powróciłem do swych zwykłych zajęć. Widać, że nie wzbudziłem żadnych podejrzeń, skoro mogłem jak dawniej swobodnie przechadzać się po wnętrzu pieczary.

Przygoda ostatnia nie odbiła się ujemnie na Tomaszu Roch. Troskliwe zajęcie się nim uratowało go również jak mnie. W pełni władz umysłowych wrócił do swego całodziennego zajęcia w pracowni.

Ebba z ostatniej wycieczki przywiozła moc pak, pakunków, przedmiotów najróżnorodniejszego pochodzenia; wywnioskowałem stąd, że kilka okrętów musiało paść ofiarą niecnym korsarzom.

Wzięto, się znów gorliwie do montowania kozłów. Liczba pocisków dochodzi do pięćdziesięciu. Gdyby Ker Karraje i inżynier Serkō zmuszeni byli do obrony Back-Cup, trzy lub cztery z nich wystarczyłyby do trzymania w odpowiedniej odległości okrętów, gdyż wszelkie wkroczenie w ich sferę działania pociągnęłoby za sobą zniweczenie najpotężniejszego nawet statku. A zresztą czyż nie jest rzeczą prawdopodobną, iż rozumują w następujący sposób:

Jeżeli zjawienie się Sworda było dziełem czystego przypadku, położenie nasze powstaje bez zmiany, żadne bowiem państwo, nawet Anglja nie będzie go szukała pod skorupą wysepki. Jeżeli zaś przeciwnie, wskutek jakiegoś niewytłumaczonego doniesienia dowiedziano się, że Back-Cup jest schronieniem Ker Karraja, i jeżeli wyprawa Sworda była pierwszą próbą zdobycia wysepki, należy spodziewać się nowej próby, czy to ataku, czy też wylądowania. Zatem, zanim będziemy mogli opuścić wysepkę wraz z nagromadzonemi w niej bogactwami, musimy użyć fulguratora Roch dla naszej obrony”.

Wydaje mi się nawet, że to rozumowanie musiało pójść jeszcze dalej, i że ci złoczyńcy wnioskują w ten sposób:

„Czy niema czasem związku między tą przygodą, a podwójnem porwaniem z Healthful-House?... A może dowiedziano się, że Tomasz Roch i jego dozorca są uwięzieni w Back-Cup... że Ker Karraje jest sprawcą tego porwania... Czyż Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Niemcy, Rosjanie mogliby się obawiać, że wszelka ofensywa skierowana ku wysepce byłaby bezowocną?...”

Przypuściwszy, że Ker Karraje zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie narażonoby się, chcąc zdobyć Back-Cup, czyż nie rozumie, że państwa nie zaniechają tego postanowienia. Przynagli je do tego konieczność, obowiązek społeczny oswobodzenia ludzkości od jego działalności korsarskiej i zniszczenie jego kryjówki. Panował on bezkarnie nad morzami zachodniej części oceanu Spokojnego, obecnie przeniósł swą działalność zbrodniczą na zachód Atlantyku... Za wszelką cenę osiągnąć go należy!

W każdym bądź razie, choćby biorąc pod uwagę ostatnie tylko przypuszczenie, czuwanie nad Back-Cup staje się niezbędne. To też od tego dnia nakazane jest ono ściśle mieszkańcom wysepki. Dzięki korytarzowi korsarze czuwają ustawicznie nazewnątrz wysepki. Ukryci w niskich skałach wybrzeża dniem i nocą wpatrzeni są w różne strony horyzontu, zmieniając się

rano i wieczór na swych posterunkach. Wszelkie ukazanie się okrętu, zbliżenie jakiegokolwiek łodzi byłoby zaraz podane do wiadomości,

Dni następne przeszły w rozpaczliwej jednostajności. Odczuć się jednak daje, że pierwotne bezpieczeństwo wysepki znikło na zawsze. Niepokój panuje w powietrzu, jak gdyby obawiano się usłyszeć z chwili na chwilę straszne alarmujące słowo: Bacność! bacność! rzucone z posterunku. Sword dokonał tego. O, dzielny poruczniku Davon, dzielna załoga! Bodaj Anglja, a z nią cały świat cywilizowany nie zapomniał nigdy, że złożyliście swe życie dla sprawy całej ludzkości!

Widoczna, że pomimo potężnych środków obrony, jakimi rozporządzają, potężniejszych od wszelkiej zagrody i torped, Ker Karraje, inżynier Serkō i kapitan Spade są w stanie ciągłego podniecenia napróżno ukrywanego. Naradzają się często. Być może, że mają zamiar opuścić wysepkę wraz z nagromadzonemi w niej bogactwami, bo jeżeli ich schronienie odkryto, to zgładzona być musi choćby zapomocą głodu.

Właściwie jestem tylko pewien jednej rzeczy, to jest, że nikt mnie nie podejrzewa o wysłanie baryłki, która tak opatrnościowo dostała się na wybrzeże wysp Bermudzkich. Nigdy – stwierdzam to stanowczo – inżynier Serkō nie posądził mnie o nic podobnego. Nie! Jestem wolny od wszelkich podejrzeń. Gdyby było inaczej, hrabia d'Artigas postarałby się do tego czasu, abym dzielił los porucznika Davon i jego załogi na dnie przepaści.

Straszne burze zimowe szaleją codziennie na oceanie. Groźne wichry wyją w kraterze wysepki.

Prądy powietrzne, rozchodzące się w lesie słupów, odzywają się wspaniałemi tony, jak gdyby pieczara ta była pudłem rezonansu jakiegoś potężnego instrumentu. A głosy te zawierają w sobie tyle siły, że zagłuszyłyby wystrzały całej eskadry wojennej. Całe rzesze morskich ptaków, zapędzonych do pieczary nawałnicą, ogłuszają nas swojemi krzykami podczas rzadkich chwil ciszy.

Przypuszczać należy, że jacht nie podołałby tym burzom morskim. Zresztą niema mowy o żadnej wycieczce. Back-Cup jest zaopatrzone na kilka miesięcy, a skądinąd przypuszczam, że hrabia d'Artigas będzie odtąd ostrożniejszy i nie będzie się śpieszył w odwiedzaniu wybrzeża amerykańskiego, gdzie mogłoby go spotkać przyjęcie należne nie bogatemu jachtmanowi, ale korsarzowi Ker Karraje!

W każdym razie myślę, że jeżeli zjawienie się Sworda było zapoczątkowaniem walki przeciwko wysepce, to Back-Cup stoi przed zagadnieniem niezmiernie ważnem dla swej przyszłości.

To też pewnego dnia, odważam się z całą ostrożnością poruszyć tę sprawę z inżynierem Serkō.

Staliśmy w pobliżu pracowni Tomasza Roch. Po kilku chwilach rozmowy inżynier Serkō zaczął wspominać o tem niezwykłym ukazaniu się statku angielskiego w wodach jeziora, dodając, że jednak przypuszcza, iż było ono wyprawą przeciwko Ker Karrajowi.

– Nie podzielam pańskiego zdania – odpowiedziałem, chcąc jak najprędzej zadać mu nurtujące mnie pytanie.

– A dlaczego? – spytał.

– Dlatego, że gdyby wiedziano o schronieniu Ker Karraja, staranoby się do tej pory dotrzeć do wnętrza pieczary, a przynajmniej zburzyć Back-Cup.

– Zburzyć?... – zawołał inżynier Serkō – zburzyć!... Byłoby to co najmniej niebezpieczne wobec środków obrony, któremi rozporządzamy obecnie.

– O tem nie wiedzą, panie Serkō. Ani na starym ani na nowym kontynencie nie wiedzą, że porwanie z Healthful-House dokonane zostało w celu waszym osobistym... że potrafiliście zawładnąć tajemnicą Tomasza Roch...

Inżynier Serkō nie odpowiada, twierdzenie moje bowiem odpowiedzi mieć nie może.

Ciągnę dalej:

– Zatem eskadra wysłana przez państwa zainteresowane, nie zawahałaby się zbliżyć do wysepki... skierować na nią swe pociski... Otóż, ponieważ nie dokonano tego dotąd, znaczy, że nie wiedzą o miejscu pobytu Ker Karraja... I chyba pan przyzna, że to przypuszczenie wam dogadza...

– Niech i tak będzie – odpowiada inżynier Serkō – ale, wiedzą, czy nie wiedzą, faktem jest, że jeżeli statki wojenne zbliżą się o cztery lub pięć mil od wysepki, zostaną zgładzone, zanim zdołają spróbować swych pocisków!...

– Niech i tak będzie – powtarzam zkolei – ale co potem?...

– Potem?... przypuszczamy, że inne nie będą chciały się narażać...

– Niech i tak będzie! Ale te okręty obsaczą was poza obrębem niebezpiecznym, tak że Ebba nie będzie mogła dostać się do portów, do których uczęszczał hrabia d'Artigas!... A wtedy jakim sposobem skutecznie będziecie zaopatrywanie wysepki?

Inżynier Serkō milczy...

Na pytanie to, które musiał sobie zadawać nieraz, odpowiedzieć nie umiał... Myślę przeto, że korsarze mają zamiar opuścić wysepkę...

Nie chcąc jednak dać za wygrane, mówi:

– Pozostanie nam zawsze łódź podwodna i to, czego Ebba dokonać nie zdoła...

– Łódź podwodna?! – zawołałem. – Jeżeli odkryto tajemnicę Ker Karraja, czyż można przypuszczać, że nie wiedzą o istnieniu statku podwodnego hrabiego d'Artigas?...

Inżynier Serkō rzuca na mnie podejrzliwe spojrzenie.

– Panie Hart, zdaje mi się, że pan za daleko posuwa swoje wnioski...

– Ja, panie Serkō?...

– Tak... i zdaje mi się, że pan mówi o tem wszystkim, jak gdyby pan wiedział więcej, niż należy!

Uwaga ta opamiętała mnie. Wiadomą jest rzeczą, że dowodzenie moje mogło wzbudzić podejrzenie o moim udziale w ostatniej przygodzie. Inżynier Serkō nie spuszcza mnie z oka, wpatrując się we mnie przenikliwie, jakby chcąc dotrzeć do wnętrza mych myśli.

Wszelako nie tracąc zimnej krwi, odpowiadam głosem spokojnym:

– Panie Serkō, z zawodu jak i z upodobania przywykłem zastanawiać się nad każdą rzeczą. Dlatego podzieliłem się z panem swojemi wnioskami, a pan zrobisz z niemi, co uważasz.

Po tych słowach rozstajemy się. Powiedziałem stanowczo za wiele i mogłem wzbudzić podejrzenie, któremu przeciwdziałać będzie trudno....

Z tej rozmowy wszakże dowiedziałem się rzeczy bardzo cennej, mianowicie, że niebezpieczny obręb działania fulguratora Roch znajduje się w odległości czterech do pięciu mil od wysepki... Może podczas następnego porównania dnia z nocą... zawiadomienie w drugiej baryłce... Prawda, że trzeba długo czekać, zanim otwór tunelu wzniesie się ponad wodę... A przytem, czy ten nowy dokument dopłynie tak szczęśliwie jak pierwszy?...

Niepogoda trwa wciąż, wichry są silniejsze, niż kiedykolwiek, rzecz zwykła w porze zimowej w okolicach Bermudów... Czyżby burzliwy stan morza stał na przeszkodzie nowej wyprawie na Back-Cup?... Porucznik Davon upewnił mnie wszakże, że o ile nie powiedzie się jego przedsięwzięcie, o ile Sword nie powróci do St. Georges, inne środki będą zastosowane, ażeby raz skończyć z tą jaskinią bandytów... Dzieło sprawiedliwości musi być dokonane wcześniej, czy później, Back-Cup musi być zburzone... choćbym nie miał przeżyć tego zburzenia!...

Ach! czemu nie mogę odetchnąć bodaj na chwilę ożywcem powietrzem zewnętrznym!... Czemuż nie mogę spojrzeć na daleki horyzont wysp Bermudzkich! Życie całe skupia się w tem mojem pragnieniu przedostania się przez korytarz na wybrzeże i ukrycia się w skałach... Kto wie, czy nie ja pierwszy spostrzegłbym dym, unoszący się nad eskadrą, dążącą ku wysepce?...

Na nieszczęście pragnienie to jest nie do urzeczywistnienia, ponieważ dwu ludzi pilnuje wejścia dniem i nocą z dwu stron korytarza. Nikt nie może doń wejść bez upoważnienia inżyniera Serkō. Gdybym spróbował, może nie wolnoby mi było swobodnie przechadza się po pieczarze... a może co gorszego spotkałoby mnie...

Tem bardziej, że zdaje mi się, iż od ostatniej naszej rozmowy inżynier Serkō zmienił swe zachowanie względem mnie. Jego spojrzenie, dotąd kpiące, stało się nieufne, podejrzliwe, prawie tak ostre jak Ker Karraja.

17 listopada. – Dziś po południu, niezwykle ruch zapanował w Bee-Hive. Ludzie wychodzą ze swych cel... Wołania unoszą się zewsząd.

Wstaję jak najspieszniej z łóżka, wychodzę.

Korsarze biegną w stronę korytarza, gdzie u wejścia znajduje się Ker Karraje, inżynier Serkō, kapitan Spade, starszy marynarz Effrondat, mechanik Gibson, malajczyk służący hrabiego d'Artigas.

Niebawem dowiaduję się, co spowodowało to zamieszanie, straż bowiem wraca, rzucając okrzyki trwogi.

Kilka okrętów płynie ku północo-wschodowi wysepki, – statki wojenne, płynące całą siłą pary w kierunku Back-Cup.

ROZDZIAŁ XVI

Jeszcze kilka godzin.

Wiadomość ta niewypowiedzianem wzruszeniem ogarnia mą duszę!... Położenie wreszcie zaczyna się wyjaśniać... czuję to... Oby zwyciężyła cywilizacja i ludzkość!

Dotąd spisywałem swoje wrażenia dzień po dniu. Odtąd spisywać je muszę godzina po godzinie, minuta po minucie. Kto wie, czy nie odkryję ostatniej tajemnicy Tomasza Roch, czy nie przekażę jej w tym dzienniku?... Jeżeli zginę w tej walce, niech Bóg pozwoli, komu należy, znaleźć na mym trupie opowiadanie dziejów pięciomiesięcznego mego pobytu w pieczarze Back-Cup!...

Przedewszystkiem Ker Karraje, inżynier Serkō, kapitan Spade i kilku ich towarzyszy udali się na wybrzeże wysepki. Gdybym mógł za nimi podążyć, wcisnąć się między skały, patrzeć na zbliżające się okręty...

Po upływie godziny wszyscy wracają do Bee-Hive, pozostawiwszy kilkunastu ludzi na straży. Ponieważ w tej porze roku dni są krótkie, do rana nic grozić nie może. Oblegający, wiedząc w jakim stanie obrony znajduje się Back-Cup, nie odważą się wylądować, a zatem atak nocny jest wykluczony.

Do wieczora pracowano nad ustawieniem sześciu kozłów w różnych punktach wybrzeża, upatrzonych zgóry.

Poczem inżynier Serkō udaje się do pracowni Tomasza Roch. Czyż chciałby go powiadomić o tem, co zaszło... donieść mu o eskadrze zbliżającej się ku Back-Cup... powiedzieć mu, że fulgurator Roch ma bronić wysepki?

Wtem tylko na pewno, że z pięćdziesiąt pocisków, naładowanych każdy kilkoma kilogramami materiału wybuchowego o niebywałej sile, jest gotowych do wykonania dzieła zniszczenia.

Co zaś do płynu zapalnika, Tomasz przygotował go w dostatecznej ilości w kilku rurkach i, jestem tego aż nadto pewny, nie odmówi swej pomocy korsarzom Ker Karraja!

Przy tych przygotowaniach zeszedł dzień. Nadeszła noc. Półmrok panuje w pieczarze, zapalono bowiem tylko lampy w Bee-Hive.

Wracam do celi, starając się być jak najmniej na widoku. Czy podejrzenia, które mogłem wzbudzić w inżynierze Serkō, nie zwiększyły się wraz ze zbliżeniem się eskadry do Back-Cup?...

Ale czy okręty dążą rzeczywiście ku wysepce?... Czy nie płyną jedynie przez morze Bermudzkie i nie znikną niebawem z horyzontu?... Wątpliwość ta nasunęła mi się mimowoli... Nie, nie!... A zresztą, sądząc z tego, co mówił sam kapitan Spade... okręty zatrzymały się w pewnej odległości od wysepki.

Do jakiego państwa należą?... Czy Anglicy, chcąc pomścić zgładzenie Swarda, podjęli się na swoją rękę trudów tej wyprawy? Czy inne krażowniki nie przyłączyły się do niej?... Nic nie wiem... i nic wiedzieć nie mogę!... Ale, mniejsza o to!... Oby tylko zburzono tę jaskinię, choćbym miał być zmiażdżony przez jej zwaliska, choćbym miał zginąć, jak bohaterski porucznik Davon i jego dzielna załoga!

Przygotowania do obrony nie ustają. Odbywają się według pewnego planu, z rozwagą, pod kierownictwem inżyniera Serkō. Widoczna, że korsarze są pewni, iż statki ulegną zniszczeniu, o ile przekroczą niebezpieczny obręb. Ufają bezwzględnie fulguratorowi Roch. Oddani catkowicie okrutnej myśli zglądzenia okrętów, zapomnieli o przeszłości!...

Przypuszczam, że kozły ustawione są na północno-zachodniej stronie wybrzeża, a korytka skierowane na północ, zachód i południe. Wschodnia bowiem część wysepki jest zabezpieczona rafami, które się ciągną aż do wysp Bermudzkich.

Około dziewiątej odważam się wyjść z celi. Nie zwracają na mnie uwagi, może więc uda mi się przejść niepostrzeżenie. Gdybym mógł dostać się do korytarza, a stąd do wybrzeża i ukryć się w skałach!... Doczekać tam wschodu słońca!... Dlaczegoż nie miałbym tego dokonać, skoro Ker Karraje, inżynier Serkō, kapitan Spade i korsarze są nazewnątrż wysepki?...

W tej chwili brzegi jeziora są puste, ale wejścia do korytarza pilnuje malajczyk. Wychodzę i niewiele myśląc, udaję się w stronę pracowni Tomasza Roch. Myśl moja skupia się wyłącznie na osobie mojego ziomka!... Zastanowiwszy się, przychodzę do przekonania, że nie wie on nic o obecności eskadry na wodach Back-Cup. Zapewne w ostatniej dopiero chwili inżynier Serkō postawi go w obliczu zemsty, którą tak zręcznie podniecał w jego sercu!

Błyskawicznie przychodzi mi na myśl, żebym ja mianowicie uświadomił Tomasza Roch w tej ostatecznej godzinie, kim są ci ludzie, którzy wciągają go do swych zbrodniczych postępów i żebym mu przedstawił całą odpowiedzialność, jaką ponosi za swe czyny...

Tak... spróbuję i obym mógł wykrzesać z tej duszy zbuntowanej przeciwko niesprawiedliwości ludzkiej, niewygasłą iskrę patriotyzmu!

Tomasz Roch znajduje się w swej pracowni. Musi być sam, gdyż zajęty jest wyrobem swego zapalnika, a wtedy nikomu wejść nie wolno...

Idę w tę stronę; po drodze stwierdzam, że łódź jest na zwykłym miejscu przy tamie.

Dla ostrożności chowam się poza pierwszy rząd słupów i boczną drogą podążam do pracowni, z myślą przekonania się, czy niema w niej nikogo oprócz Tomasza Roch.

Zagłębiwszy się pod ciemne łuki, dostrzegam z przeciwległej strony jeziora silne światło, wydostające się poprzez wąskie okno pracowni.

Zresztą cały ten południowy brzeg jest ciemny, naprzeciw zaś Bee-Hive jest częściowo oświetlona aż do północnej ściany. Poprzez otwór sklepienia błyszczą kilka gwiazd. Niebo jest pogodne, burza ustala, wiatr nie przenika do wnętrza Back-Cup.

Dotarwszy do pracowni, pełzam wzdłuż ściany i wspiąwszy się do okna, widzę Tomasza Roch.

Jest sam. Przypatruję się jego głowie, odbijającej wyraźnie od jasnego tła pracowni. Rysy twarzy wydłużyły się, głęboka zmarszczka osiadła na czole, ale jego oblicze wyraża spokój i zrównoważenie. Nie przypomina on bynajmniej pacjenta Healthful-House, zagrożonego zaciemnieniem umysłu pod wpływem nowego ataku...

Tomasz Roch położył na stole dwie rurki szklane, trzecią podnosi ku światłu, bada czystość zawartego w niej płynu.

Mam ochotę wpaść do pracowni, schwytać te rurki i połamać... Ale czyż Tomasz Roch nie zastąpi ich innemi? Powracam do mego pierwszego zamiaru.

Otwieram drzwi, wchodzę i mówię:

– Tomaszu Roch.

Ani mnie widział, ani słyszał.

– Tomaszu Roch! – powtarzam.

Podnosi głowę, odwraca się, spogląda na mnie...

– A, to pan, Simonie Hart? – odpowiada spokojnie, nawet obojętnie.

A zatem dowiedział się o mojem nazwisku od inżyniera Serkő, który go objaśnił, że nie dozorca Gaydon, ale Simon Hart pilnował go w Healthful-House.

– Pan wie? – rzekłem.

– Tak, jak wiem, w jakim celu pełniłeś przy mnie swą służbę... Miałeś nadzieję dowiedzenia się tajemnicy, za którą nie chciano mi zapłacić żądanej sumy!...

Tomasz Roch wie o wszystkim, może jednak ułatwi mi to spełnienie mego zamiaru.

– Nie udało ci się, Simonie Hart, a co do tego – dodał, potrząsając rurką – tego nie wie nikt... i wiedzieć nikt nie będzie!

Jak się tego spodziewałem, Tomasz Roch nie wyjawiał tajemnicy swego zapalnika!

Spojrzałem mu prosto w oczy i rzekłem:

– Tomasz Roch, wiesz kim ja jestem, ale czy wiesz u kogo jesteś?...

– U siebie! – zawołał.

Widocznie Ker Karraje przekonał go o tem... Wynalazca uważa Back-Cup za swoją siedzibę... Bogactwa nagromadzone w tej pieczarze za swoją własność... jeżeli Back-Cup będzie atakowane, to w celu zabrania mu skarbów... a będzie ich bronił, ma prawo ich bronić!

– Tomasz Roch – mówię – posłuchaj mnie.

– Co masz mi powiedzieć, Simonie Hart?

– Tę pieczarę, do której wprowadzono nas obu, zamieszkuje banda korsarzy...

Tomasz Roch przerywa mi – nie wiem nawet, czy mnie rozumie – i woła gwałtownie:

– Powtarzam ci, że bogactwa nagromadzone tutaj są ceną mego wynalazku... Należą do mnie... Zapłacono za fulguratora tyle, co zażądałem... sumę, której mi odmówiono wszędzie... nawet w moim własnym kraju... a więc i w twoim... nie pozwolę się ograbić!

Cóż miałem odpowiedzieć na te bezsensowne twierdzenia? Ciągnąłem wszakże dalej:

– Tomasz Roch... przypominasz sobie Healthful-House?

– Healthful-House... gdzie mnie zamknięto, polecając dozorczy Gaydon, aby śledził każde moje słowo, aby ukraść moją tajemnicę...

– Tomasz Roch, nie myślałem nigdy o zapłacie za twą tajemnicę... nie podjąłbym się nigdy takiego zlecenia... Ale byłeś chory... a raczej twój rozum... a nie chciałem, żeby tajemnica twoja była stracona... Tak, gdybyś mi ją był odkrył podczas jednego z twych ataków, zachowałbym dla ciebie całą sławę i zapłatę!

– Doprawdy, Simonie Hart! – odpowiada wzgardliwie Tomasz Roch. – Sława i zapłata... za późno mówisz mi o tem!... Zapominasz, że nałożono na mnie kaftan warjatów... pod pozorem obłądu... tak! pod pozorem, gdyż nie straciłem rozumu nigdy, nawet na jedną godzinę, o czym się możesz przekonać sam, patrząc na mnie, odkąd jestem wolny...

– Wolny!... Myślisz, że jesteś wolny, Tomasz Roch!... Wśród murów tej pieczary nie jesteś bardziej zamknięty, niż w murach Healthful-House!

– Człowiek, który jest u siebie – odpowiada Tomasz Roch – z wzrastającym gniewem – wchodzi i wychodzi, jak mu się podoba i kiedy mu się podoba!... – Słowo moje wystarczy, aby wszystkie drzwi otworzyły się przede mną!... To mieszkanie jest moje!... Hrabia d'Artigas oddał mi je na własność z wszystkim, co zawiera!... Niech strzeże się ten, kto zechce mi je odebrać!... Mam czym go zgładzić, Simonie Hart!

Przy tych słowach wynalazca porusza gorączkowo rurką, którą trzyma w ręku.

Wtedy zawołałem:

– Hrabia d'Artigas oszukał cię, Tomaszu Roch, jak oszukał tylu innych!... Pod tem nazwiskiem kryje się jeden z najstraszniejszych złoczyńców, grasujących na morzach oceanu Spokojnego i Atlantyckiego!... Jest to bandyta obciążony szeregiem zbrodni... jest to wstrętny Ker Karraje!

– Ker Karraje! – powtórzył Tomasz Roch.

Zastanawiam się, czy to nazwisko nie zrobiło na niego wrażenia, czy nie przypomina sobie kim był ten, który je nosił. W każdym razie stwierdzam, że wrażenie to znika szybko...

– Nie znam tego Ker Karraja – rzekł Tomasz Roch, wskazując mi ręką, abym wyszedł. – Znam tylko hrabiego d'Artigas.

– Tomaszu Roch – powiedziałem, czyniąc ostatni wysiłek – hrabia d'Artigas i Ker Karraje są tą samą osobą!... jeżeli ten człowiek kupił od ciebie twą tajemnicę, to uczynił to w celu zapewnienia sobie bezkarności swych zbrodni, ułatwienia sobie popełnienia nowych. Tak... jest to przywódca korsarzy...

– Korsarze... – woła Tomasz Roch, którego rozdrażnienie wzmaga się w miarę rozmowy. – Korsarze – to ci, którzy odważyli się niepokoić mnie w mej siedzibie, którzy próbowali to uczynić zapomocą Sworda... Serkō powiedział mi wszystko... chcieli mi zabrać całe moje mienie... sprawiedliwą nagrodę za mój wynalazek...

– Nie, Tomaszu Roch, to są ci, którzy uwięzili cię w tej pieczarze Back-Cup, którzy chcieli wyzyskać twój genjusz dla swej obrony i którzy pozbędą się ciebie, skoro posiadają wszystkie twoje tajemnice!...

Tomasz Roch przerywa mi przy tych słowach... Zdaje się, iż nic już nie słyszy, co mówię... Podąża za swoją myślą, tą natrętną myślą zemsty, tak zrecznie wyzyskaną przez inżyniera Serkō, a w której skupiła się cała jego nienawiść.

– Bandyci – mówi – są to ci ludzie, którzy mnie odepchnęli, nie wysłuchawszy... którzy mnie poili niesprawiedliwością... którzy mnie przygnietli wzgardą i odmową... którzy mnie wyganiali z kraju do kraju, podczas gdy niosłem przewagę, niezwykłość i wszechpotęgę!...

Tak! wieczna historia wynalazcy, którego nie chcą wysłuchać, któremu obojętni lub zazdrośni odmawiają środków do wypróbowania wynalazków, do kupienia ich za cenę przez nich podaną... Znam ją... i wiem, ile zawiera w sobie przesady...

Nie jest to odpowiednia chwila do dyskusowania z Tomaszem Roch... Przychodzę do przekonania, że dowodzenia moje nie trafiają do tej duszy wzburzonej, do tego serca, w którym rozczarowanie wznieciło tyle nienawiści, do tego nieszczęśliwca, ofiary Ker Karraja i jego współników!... Odkrywając mu istotne nazwisko Hrabiego d'Artigas, mówiąc mu o tej bandzie i o jej przywódcy, myślałem, że wyrwę go z pod ich wpływów, że wskażę mu zbrodniczy cel, do którego go pchają... Omyliłem się!... Nie wierzy mi!... A zresztą, Artigas, czy Ker Karraje, mniejsza o to!... Czyż nie Tomasz Roch jest panem wysepki Back-Cup? Nie jestże on posiadaczem bogactw nagromadzonych tu przez dwadzieścia lat zbrodni i napadów?...

W poczuciu mej bezsilności wobec tego zwyrodnienia moralnego, nie wiedząc, którą trafić do tej istoty zranionej, do tej duszy nieświadomej odpowiedzialności swych czynów, cofam się powoli ku drzwiom pracowni... Co ma się spełnić, spełnić się musi, nie w mojej bowiem jest mocy przeszkodzić straszemu rozwiązaniu, od którego dzieli nas zaledwie godzin kilka.

Zresztą Tomasz Roch nawet mnie nie widzi. Wydaje mi się, że zapomniał, iż tu jestem, jak zapomniał o wszystkim, o czym mówiliśmy. Wrócił do swych zajęć, nie zwróciwszy uwagi, że nie jest sam...

Jest jeden sposób, aby uprzędzić katastrofę... Rzucić się na Tomasza Roch... ubezwładnić go... zabić... tak, zabić! Nakazuje mi to prawo... obowiązek...

Nie mam broni... ale na tym stole widzę narzędzia... dłóto... młotek... Kto mnie powstrzyma od rozbicia głowy temu wynalazcy?.. Skoro go nie stanie... rozbiję jego rurki... i jego wynalazek istnieć przestanie, jak on sam... Okręty będą mogły się zbliżyć... wylądować... zburzyć wysepkę swemi działami... Ker Karraje i jego wspólnicy zginą do ostatniego... Przed zabójstwem, które będzie karą za tyle zbrodni, czyż mogę się wahać?...

Kieruję się w stronę stołu... Dłóto stalowe leży na nim... tylko rękę wyciągnąć...

Tomasz Roch odwraca się.

Za późno... Powstałaby walka... walka... hałas... Posłyszano by krzyki... Kilku korsarzy jest w tych stronach... Słyszę nawet odgłos kroków na piasku wybrzeża... Zaledwie mi starczy czasu do ucieczki, o ile nie chcę być zaskoczony...

Jednakże raz jeszcze, raz ostatni próbuję obudzić uczucie patriotyzmu u wynalazcy i mówię:

– Tomaszu Roch, okręty się zbliżają... chcą zburzyć tę jaskinię korsarzy... Może na którym z nich powiewa sztandar francuski?

Tomasz Roch patrzy na mnie... Nie wiedział, że Back-Cup ma być atakowane. Ja dopiero mówię mu o tem... Czoło jego zaczyna się marszczyć... zjawia się błysk w oczach...

– Tomaszu Roch... czy ośmielisz się skierować swój pocisk na sztandar swej Ojczyzny... sztandar trójkolorowy?...

Tomasz Roch podnosi głowę, potrzęsa nią nerwowo, poczem robi ruch pogardliwy.

– Na ojczyznę twoją, Tomaszu Roch...

– Ja nie mam już ojczyzny, Simonie Hart! – woła. – Wynalazca odepchnięty nie ma ojczyzny!... Tam gdzie znalazł przytułek, tam jest jego ojczyzna!... Chcą zabrać moje dobro... będę się bronił... i gore, gore tym, którzy mnie zaczepią!...

Po czym, przystąpiwszy gwałtownie do drzwi swej pracowni:

– Wyjdź... wyjdź... – powtarzał głosem tak donośnym, że musiano go słyszeć w Bee-Hive.

Zaledwie starczy mi czasu, ażeby uciec.

ROZDZIAŁ XVII

Jeden przeciwko pięciu.

Błądziłem przez całą godzinę pod ciemnymi łukami Back-Cup, wśród drzew kamiennych, dochodząc do krańca pieczary. Ileż razy już szukałem jakiegokolwiek szczeliny w ścianie, przez którą mógłbym wysunąć się na wybrzeże wyspy!

Poszukiwania moje były bezowocne. Obecnie pod wpływem zwiększającego się wciąż podniecenia, wydaje mi się, że te ściany są coraz grubsze... że mury mego więzienia zacieśniają się stopniowo... że przygniotą mnie niebawem...

Ile czasu trwał ten stan... nie mógłbym powiedzieć.

Doszedłem do swojej celi, w której nie znajdę ani snu, ani spokoju... Spać, gdy umysł jest w stanie takiego podniecenia... Spać, gdy waży się mój los, dotąd tak beznadziejny! Rozwiązanie mego położenia się zbliża...

Ale co mi przyniesie to rozwiązanie?.. Czego spodziewać się mogę od ataku na Back-Cup, nie zdolawszy ubezwładnić Tomasza Roch?... Jeżeli okręty przepłyną niebezpieczny obręb, a nawet przedtem... jego pociski je osiągną...

Bądź co bądź, jestem skazany na przepędzenie w mej celi ostatnich godzin tej nocy. Dopiero rano będę mógł coś postanowić. Kto wie jednak, czy nie usłyszę jeszcze tej nocy wystrzału fulguratora Roch, niszczącego okręty?

W tej chwili obrzucam ostatniem spojrzeniem Bee-Hive. Dostrzegam tylko jedno światełko... jedyne... światełko pracowni odbijające się w falach jeziora...

Wybrzeże jest puste... nikogo na grobli... A zatem w Bee-Hive niema nikogo... Korsarze muszą być w pogotowiu na wybrzeżu...

Nieprzewyciężony instykt ciągnie mnie w stronę korytarza... zamiast wejść do mojej celi, posuwam się wzdłuż ściany, nasłuchując skąd głosy dochodzą, abym się mógł ukryć w razie potrzeby w jakim załomie skały...

Dochodzę do otworu...

Boże wszechmocny... nikt nie strzeże korytarza... Wejście wolne...

Nie zastanawiam się ani chwili... Poomacku przeciskam się przez wąską szczelinę... Niebawem ogarnia mnie świeże powietrze... powietrze morskie, za którym tęskniłem od pięciu miesięcy... Wciągam je pełną piersią...

Przez otwór korytarza widzę niebo zasiane gwiazdami... Żaden cień go nie zastania... może będę mógł wyjść z Back-Cup.

Kładę się i pełzam wolno, bez szelestu. Dotarłem do wyjścia... wychylam głowę... patrzę... Nikogo... nikogo!

Pełzając na wschód wysepki, niedostępnej z tej strony przez rafy ją otaczające, a przez to niestrzeżonej, dochodzę do załomu, znajdującego się o jakie dwieście metrów od krańca wysepki, wysuniętego na północo-zachód.

Wreszcie opuściłem tę pieczarę... nie jest to jeszcze wolność, lecz początek wolności.

Na krańcu snują się cienie straży, zlewając się w jedno ze skałami.

Niebo jest czyste, gwiazdy świecą silnym blaskiem nocy zimowych.

Na horyzoncie, jak gdyby linja świetlna, widnieją ognie przybyłych okrętów.

Sądząc z białych oparów, ukazujących się na wschodzie, wnoszę, że musi być około piętej.

18 listopada. – Już dzień... mogę pisać... Muszę upamiętnić odwiedziny moje w pracowni Tomasza Roch... może to po raz ostatni ręka moja włada piórem....

Zaczynam pisać... w miarę rozwoju wypadków, zapisywać je będę.

Ostatnie mgły, unoszące się nad morzem, znikły... Widzę okręty...

Jest ich pięć... stoją w jednym szeregu w odległości mniej więcej sześciu mil... a zatem poza obrębem działania pocisków Tomasza Roch.

Nie potrzebuję się więc obawiać, że okręty te miną wysepkę, dążąc ku wyspom Antylskim lub Meksykowi... Nie! stoją na miejscu, przygotowując się do ataku...

W tej chwili powstał ruch na wybrzeżu. Kilku korsarzy wyłania się ze skał. Straż, stojąca na krańcu wysepki, cofa się wtył. Cała banda jest w komplecie.

Nie potrzebują ukrywać się w pieczarze, wiedząc, że okręty nie zbliżą się na tyle, aby ich pociski dosięgnąć mogły wysepki.

W wyłomie, który mnie ukrywa całego, jestem pewny, że mnie nie dostrzegą. Oby tylko inżynier Serkō lub kto inny, nie zechciał sprawdzić, czy jestem w mej celi... Ale właściwie dlaczego mieliby się mnie obawiać?

Około pół do ósmej Ker Karraje, inżynier Serkō, kapitan Spade zdążają do wysuniętego na północo-zachód krańca wysepki, aby zbadać horyzont. Za nimi stoi sześć kozłów z gotowymi pociskami w korytkach. Stąd to zakreślą one długą linję przebiegu, dążąc do obrębu, gdzie ich wybuch wstrząśnie warstwą powietrzną.

Siódma trzydzieści pięć. – Kilka dymów unosi się nad okrętami, zapewne mają zamiar zbliżyć się do obrębu działania fulguratora.

Straszne krzyki radości, a raczej wycia dzikich zwierząt, wydobywają się z piersi tej hordy bandytów.

Równocześnie inżynier Serkō opuszcza Ker Karraja i kapitana Spade i poprzez otwór korytarza dąży do pieczary zapewne po Tomasza Roch.

Jak się zachowa Tomasz Roch? Czy przypomni sobie moje słowa i nie zechce posłuchać Ker Karraja?... Nie łudzę się pod tym względem... Czyż wynalazca nie jest u siebie?... Czyż nie powtarzał tego... Czy nie jest przekonany o tem... Atakują go... będzie się bronił...

Tymczasem okręty zbliżają się powoli prosto ku wysepce. Może łudzą się, że Tomasz Roch nie odkrył ostatek swej tajemnicy korsarzom z Back-Cup – jak to miało miejsce w chwili, gdy wysyłałem baryłkę. – Jeżeli dowódcy okrętów przekroczą obręb niebezpieczny, wkrótce pozostaną z nich tylko szczątki na oceanie!...

Otóż i Tomasz Roch w towarzystwie inżyniera Serkō. Obaj dążą w stronę kozła, znajdującego się na krańcu wysepki.

Ker Karraje i kapitan Spade oczekują go w tem miejscu.

O ile wnioskować mogę, Tomasz Roch jest spokojny. Wie, czego ma dokonać. Żadna wątpliwość nie wkradnie się do jego duszy, ogarniętej żądzą zemsty!

W jego ręku lśni się rurka szklana, zawierająca płyn zapalnika.

Patrzy w stronę najbliższego okrętu, oddalonego na pięć tysięcy metrów.

Jest to krążownik średniej pojemności – najwyżej dwu tysięcy pięciuset tonn.

Nie widać bandery, ale z budowy wnoszę, że należy do narodowości niezbyt sympatycznej dla Francuza.

Cztery inne statki pozostają wtył.

Krążownik ten ma pierwszy atakować wysepkę.

Niechże więc strzela i niech pierwszy pocisk dosięgnie Tomasza Roch!

Podczas gdy inżynier Serkő śledzi badawczo ruch krążownika, Tomasz Roch staje przed kozłem. Znajdują się na nim trzy pociski, napełnione materiałem wybuchowym i innego rodzaju materiałem, który ma im zapewnić, spalając się, osiągnięcie celu. Wystarczy zresztą, aby wybuch nastąpiło kilkaset metrów od okrętu dla doszczętnego jego zniszczenia.

Nadeszła chwila decydująca.

– Tomaszu Roch! – woła inżynier Serkő.

Wskazuje mu palcem krążownik, który kieruje się z wolna ku północno-zachodniemu krańcowi i jest już od czterech do pięciu mil od wysepki.

Tomasz Roch potakuje głową, i ruchem ręki pokazuje, że chce być sam przy pocisku.

Ker Karraje, kapitan Spade i inni cofają się o pięćdziesiąt kroków.

Wtedy Tomasz Roch otwiera szklaną rurkę i wlewa kolejno po kilka kropli płynu w niej zawartego, do otworów, znajdujących się u wierzchołka pocisków...

Czterdzieści pięć sekund upływa, czas potrzebny do wywołania wybuchu, czterdzieści pięć sekund, w ciągu których zdawało mi się, iż serce zamiera mi w piersi.

Ostry gwizd rozdziera powietrze i trzy pociski pędzą ku krążownikowi...

Czyżby chybiły?... Niebezpieczeństwo minęło?...

Nie! Niebawem następuje wstrząs powietrza tak silny, jak gdyby prochownia z melinitem lub dynamitem wysadzona została w powietrze. Dolne warstwy atmosferyczne, odrzucone na wysepkę, wstrząsają nią tak silnie, że drży w swej podstawie.

Patrząc, krążownik znikł, zgruchotany od spodu. Fulgurator Roch działa na podobieństwo pocisku Żalińskiego, tylko z siłą stokrotnie zwiększoną.

Bandyci rzucili się na kraniec wybrzeża z niewypowiedzianym hałasem. Ker Karraje, inżynier Serkő i kapitan Spade stoją wpatrzeni, nie wierząc swoim oczom.

Tomasz Roch zaś, z okiem błyszczącym, rękoma skrzyżowanymi, promienieje...

Nienawidzę go, lecz rozumiem triumf wynalazcy, którego uczucie nienawiści, podsycane zemstą, zaspokojone zostało!...

Jeżeli inne okręty zechcą się zbliżyć, spotka je ten sam los... Uciekajcie czem prędzej, zaniechajcie tego bezowocnego ataku, a wraz z wami niech zginie ostatnia moja nadzieja!... Państwa wyślą inny środek do zburzenia Back-Cup!... Otoczą je pierścieniem okrętów i korsarze zginą z głodu w swej pieczarze, jak dzikie zwierzęta w swych jamach...

Lecz – wiem o tem – żaden statek wojenny nie cofnie się nawet przed niechybną zgubą. Jeden po drugim będą stawiały czoło niebezpieczeństwu, choćby miały być zatopione w głębiach oceanu!

I, w istocie, oto statki zamieniają liczne sygnały. Niebawem na horyzoncie ukazują się kłęby zgęszczonej pary, partej wiatrem północno-zachodnim, i cztery okręty ruszają

Jeden z nich wyprzedza inne, płynąc całą siłą pary: śpieszno mu dojść do miejsca, skąd jego działa zagraćby mogły...

Wychodzę z ukrycia... Patrząc rozgorączkowanymi oczyma... Oczekuję bezsilny na drugą katastrofę...

Okręt ten, zwiększający się w mgnieniu oka, jest krążownikiem prawie tej samej pojemności, co poprzedni. Żadna flaga nie powiewa na nim, nie mogę poznać do jakiego państwa należy. Widocznie, że pośpiesza, ażeby ominąć niebezpieczny obręb, zanim nowy pocisk zostanie rzucony. Ale jakże ujdzie jego sile destrukcyjnej?

Tomasz Roch stanął przy drugim kozle w chwili, gdy okręt przechodzi nad otchłanią, w której zginął pierwszy, a w którą pograży się niebawem.

Cisza panuje w przestworzu, pomimo że lekki powiew ciągnie z pełni morza.

Nagle bębny zahuczały na pokładzie krążownika... pobudka się rozlega... jej głos miedziany dochodzi do mnie... poznaje go... to pobudka francuska... wielki Boże!... wszak to okręt mojego kraju... i on to padnie ofiarą zemsty Tomasza Roch!

Nie!... to być nie może... Pobiegnę do niego... Powiem mu, że to okręt francuski... nie poznaje go... ale go pozna...

W tej chwili, na znak dany przez inżyniera Serko, Tomasz Roch podnosi rękę, w której błyszczy rurka szklana...

Bębny zahuczały silniej... Salutują sztandar, który zjawia się na maszcie... sztandar trójkolorowy, którego troista barwa zajaśniała na tle nieba...

Co się stało?... Rozumiem!... Na widok swego sztandaru Tomasz Roch stanął jak pod wpływem czaru! – Jego ręka opada w miarę, jak unosi się w powietrzu ten sztandar... Cofa się... zakrywa twarz ręką, jak gdyby patrzeć na niego nie chciał...

O nieba!... a więc miłość ojczyzny nie zamarła całkowicie w tem sercu zranionem, skoro wzrusza go widok narodowego sztandaru!...

Wzruszenie moje nie zna granic... Nie myśląc o tem, że mogą mnie dostrzec, pcham się wzdłuż skał... Chcę dotrzeć do Tomasza Roch, podtrzymać go w razie potrzeby... Choćbym miał to życiem przypłacić, błagać go będę w imię ojczyzny...

„Francuzie, zawołam, to sztandar trójkolorowy powiewa na tym statku... Francuzie, to część Francji się zbliża!... Francuzie, byłbyś na tyle wyzutym z czci, abyś miał jej zadać cios!....

Moje współdziałanie jest niepotrzebne... Tomasz Roch nie jest pod wpływem bezmyślnego wzruszenia... wie, co czyni...

W obliczu sztandaru zrozumiał... i cofnął się...

Kilku korsarzy zbliża się... chcąc go przyprowadzić do kozła...

Odpycha ich... wrywa się...

Ker Karraje i inżynier Serkō przybiegają... wskazują mu okręt zbliżający się szybko... każą mu wprawić w ruch pociski...

Tomasz Roch odmawia.

Kapitan Spade i inni grożą mu... obrzucają go obelgami... biją... chcą mu wyrwać rurkę z ręki... Tomasz Roch rzuca rurkę na ziemię i miażdży ją pod swoją stopą...

Przestрах ogarnia ńedzników!... Krążownik przekroczył niebezpieczny obręb, a oni stoją bezsilni wobec pocisków, które padają z okrętu, druzgocąc skały...

Gdzie jest Tomasz Roch?... Czy dosięgnął go jeden z pocisków... Nie... spostrzegam go po raz ostatni, jak wpada do korytarza...

Ker Karraje, inżynier Serkō i reszta korsarzy biegnie za nim skryć się we wnętrzu Back-Cup...

Ja... za żadną cenę nie wrócę do pieczary, gdybym nawet miał być zabity na miejscu! Idę zapisać ostatnie zdarzenia, a skoro francuscy marynarze wylądują, pójdę...

Na tem kończy się dziennik inżyniera Simona Hart.

ROZDZIAŁ XVIII

Na pokładzie statku Tonnant.

Po nieszczęśliwej wyprawie porucznika Davon, który dostał zlecenie dotarcia do Back-Cup, władze angielskie nie wątpiły ani na chwilę, że musiał zginąć wraz ze statkiem Sword. Rzeczywiście nie ukazał się on więcej na wodach morza Bermudzkiego. Nie wiedziano, czy rozbił się o skały podwodne, czy też został zniszczony przez korsarzy.

Celem tej wyprawy, przedsięwziętej na skutek wiadomości, dostarczonych przy pomocy baryłki, znalezionej na wybrzeżu St. Georges, było porwanie Tomasza Roch, zanim wyrób jego pocisków będzie ukończony. Wynalazca francuski miał być oddany w ręce władz bermudzkich. Nie potrzebuję dodawać, że nie zapomnianoby przy tej sposobności o Simonie Hart. Poczem z łatwością można byłoby się dostać do Back-Cup...

Gdy jednak Sword nie wracał, władze postanowiły wysłać nową wyprawę tylko w warunkach zgoła odmiennych.

Istotnie należało się liczyć z czasem. Upłynęło bowiem ośm tygodni od chwili, gdy Simon Hart wysłał baryłkę z dokumentami. Ker Karraje mógł już być w posiadaniu całej tajemnicy Tomasza Roch.

Po wzajemnem porozumieniu, państwa morskie zdecydowały wysłać pięć okrętów na morze Bermudzkie. Miano zburzyć przy pomocy dział artyleryjskich ściany skaliste Back-Cup, aby się dostać do wnętrza pieczary.

Eskadra zebrała się w Chesapeake w Wirginji, skąd przybyła na morze Bermudzkie 17 listopada.

Nazajutrz statek, przeznaczony do pierwszego ataku, skierował się ku wysepce. Był od niej oddalony jeszcze na cztery i pół mili, gdy trzy pociski Tomasza Roch wybuchły o pięćdziesiąt metrów od statku, który zatonał w kilka sekund.

Skutek tego wybuchu był natychmiastowy. Wybuch wywołał tak silne wstrząśnienie, warstw atmosferycznych i całej przestrzeni, o jakim nawet marzyć nie mógł żaden z dotychczasowych wynalazców. Jego działanie dosięgło cztery statki, znajdujące się w tyle, pomimo znacznej odległości od miejsca katastrofy.

Można było stąd wyciągnąć dwa wnioski:

- 1°. Ker Karraje był w posiadaniu fulguratora Roch;
- 2°. nowy pocisk posiadał rzeczywiście siłę destrukcyjną, przypisywaną mu przez wynalazcę.

Po zniszczeniu krążownika, pozostałe statki wysłały łodzie ratunkowe celem odszukania pozostałych ludzi z jego załogi, uczepionych do szczątków statku.

Wtedy to okręty zamieniły sygnały i skierowały się ku Back-Cup.

Najszybszy z nich Tonnant – statek wojenny francuski – popłynął całą siłą pary naprzód.

Tonnant, nie zważając na zatonięcie pierwszego krążownika, popłynął jego śladami, narażając się na niechybną zagładę. W chwili, gdy manewrował w celu ustawienia swych ciężkich dział, wzniósł się jego sztandar trójkolorowy.

Z wysokości mostków oficerowie mogli dostrzec bandę Ker Karraja rozproszoną po wysepce.

Nadarzała się sposobność zmiżdżenia tych złoczyńców, a następnie rozbicia ich kryjówek wystrzałami z dział. To też działa zagrały, korsarze spłoszeni ratowali się ucieczką w głąb Back-Cup.

W kilka minut później nastąpiło tak silne wstrząśnienie, iż zdawało się, że sklepienie niebieskie upadło w otchłanie Atlantyku.

Z wysepki nie pozostało nic... na jej miejscu ukazała się masa skał dymiących i spadających na siebie, jak toczące się z gór kamienie. Zamiast przewróconej czary, zjawiała się czara rozbita! Zamiast Back-Cup, stos skał, nad którymi pieniało się morze, tworząc olbrzymi zwał, spowodowany wybuchem.

Co było przyczyną tego wybuchu? Czy spowodowali go korsarze, widząc, że wszelka obrona byłaby bezskuteczną?...

Tonnant był tylko lekko uszkodzony przez odłamy skał. Dowódca rozkazał spuścić łódzie na morze, aby dostać się było można do szczątków wysepki.

Pod kierunkiem oficerów załoga oddała się poszukiwaniom wśród tych odłamów zlewających się w jedno z rafami, ciągnącymi się aż do wysp Bermudzkich.

Gdzie niegdzie spotykano członki ciał ludzkich, lub trupy przerażająco uszkodzone, masa krwi i mięsa, zamienionych w błoto... Pieczary nie było ani śladu... Wszystko było pogrzebane pod ruinami wysepki.

Jedno tylko ciało spoczywało nietknięte w części północno-wschodniej skał. Słaby jego oddech budził nadzieję utrzymania go przy życiu.

Był to inżynier Simon Hart. Leżał rozciągnięty na boku, trzymając w ręku notatnik z niedokończonym zdaniem. Przeniesiono go na pokład Tonnantu.

Narazie jednak przytomności nie odzyskał.

Wszelako, z dziennika, który prowadził do chwili wybuchu w pieczarze, można było dowiedzieć się o tem, co zaszło w ostatnich godzinach w Back-Cup.

Ale sądzone było Simonowi Hart – jemu jednemu – przeżyć te straszną przygodę. Słuszna kara dosięgła innych.

Po odzyskaniu przytomności oto co powiedział, co zresztą stoi w zgodzie z prawdą.

Widok ojczystego sztandaru wstrząsnął do głębi duszą Tomasza Roch, budząc w nim poczucie zbrodni, jakiej się miał dopuścić względem swej ojczyzny. Sztandar zwyciężył! W poczuciu swej winy rzucił się w głąb pieczary, dotarł do składu materiałów wybuchowych i zanim zdołano mu przeszkodzić, wywołał wybuch, niszczący wysepkę Back-Cup.

Znikli na zawsze z powierzchni ziemi Ker Karraje i jego towarzysze korsarze, a wraz z nimi Tomasz Roch i tajemnica jego strasznego wynalazku.

KONIEC.